

- Klęska „Cytadeli”
- Dalszy ciąg sprawy Agnieszki
- Lato: plaża w Spale i nad morzem, topielcy, zdjęcia z zatłoczonego dworca

Czekając na talenty

JAK ZOSTAĆ AKTOREM?

1

BOHDAN GADOMSKI

I. PRZED STARTEM

— Dlaczego chce pan zostać aktorem?

JANUSZ BORKOWSKI

kandydat z Gdyni:

— Zawsze lubiłem wygłupy, potem coś się we mnie zmieniło i stały się one bardziej poważne. Poza tym nie widzę żadnego innego kierunku studiów, który by mnie zainteresował.

— Miał pan już jakieś kontakty z zawodowym teatrem?

— Tak, pracowałem na etacie montażysty dekoracji w Teatrze Dramatycznym w Elblągu, ponadto statystkowałem tam w 3 sztukach, m. in. w „Romeo i Julii” w reż. Jana Machulskiego, dziekana Wydziału Aktorskiego PWSFTiIT w Łodzi, który, jak wiem, przewodniczy tuższej komisji egzaminacyjnej.

— I licząc na protekcję przyjechał pan z Gdyni do Łodzi?

— Nie, ale tu jest szkoła filmowa, a mnie interesuje głównie granie w filmach.

MARIA TOKARSKA, kandydatka z Wrocławia:

— Zdaje po raz trzeci, w tym dwukrotnie na Wydział Łaskarski PWST we Wrocławiu.

— Rozumiem. Nie jest pani pięknością?

— Wiem, ale wielka baba, która czasami wygarnie coś komuś też może być przydatna w teatrze. W górze mięsa tkwi czasami wielka wrażliwość, o czym często się zapomina.

— Daleko pani do „góry mięsa”, co chce pani przekazać komisji, z którą za chwilę się spotka?

— Wiem, że mam im coś do przekazania od siebie i w ogóle ludzi, którzy mnie słuchają. Nie wiem tylko, czy ta komisja da mi tę możliwość.

— A jak się nie powiedzie?

— I tak będę pracować w teatrze, niekoniecznie zawodowym.

JACEK OSOWSKI, kandydat z Józefowa k. Warszawy:

— Z wykształcenia jestem technikiem budowlanym. Z polskiego nie zdałem matury. Na razie pracuję w prywatnym przedsiębiorstwie projektowym u ojca.

— Długo przygotowywał się pan do egzaminu na aktora?

— Dwa tygodnie. Chyba za mało.

— A jeżeli będzie pan musiał jeszcze pracować przez następny rok?

— W lipcu będę zdawał na filozofię UW. A za rok znowu

próbuję do Łodzi. Znam kilku aktorów warszawskich, to pomogą mi się przygotować.

ELŻBIETA CZERCZYK, kandydatka z Wrocławia:

— Zdaje po raz trzeci. Pracowałam sama nad sobą oraz przez rok w Studium Pantomimicznym pod kierunkiem mima Marka Oleksego.

— Jakże samopoczucie przed wejściem na salę egzaminacyjną?

— Dobrze. Mam nadzieję, że w tym roku dostanę się, aby tylko komisja wysłuchała mnie i powstał jakiś kontakt między nami.

KRZYSZTOF CHALIŃSKI, kandydat ze wsi Biskupice Radłowskie:

— W naszym zagłębiowskim środowisku jest położony nacisk na kulturę. Teatrem zainteresowałem się przypadkowo, kiedy to znajomy kierownik świetlicy z naszej wsi zaprosił mnie do obejrzenia sprzętu elektrycznego w prowadzonym przez siebie teatryku. Z wykształcenia jestem technikiem-elektrykiem-górnikiem. Ale wtedy bardziej niż sprzęt elektryczny, urzekł mnie teatr.

— I pewnie zaczął pan grać?

— Nie, bo nie odpowiadał mi styl pracy.

— Obecnie zdaje pan egzamin konkursowy na aktora i...

— ...i nie czuję zdenerwowania. Przygotowałem się sam w ciągu 2 tygodni.

— No to do ataku!

II. PIERWSZE ELIMINACJE

Prolog

Sala jest nieduża z małą scenką do ćwiczeń, z czerwonymi kotarami, zamkniętymi okiennicami i reflektorami skierowanymi na pustą jeszcze scenę. Za chwilę będą tu kandydaci na aktorów, którzy zaczną recytować, mówić od siebie i różnych autorów, śmiać się i płakać, szeptać i krzyzczeć, modlić i bluźnić, pić wodę z butelki po pepsi coli, gdy zaschnie w gardłach.

Za stołem zasiadli „bogowie”, czyli komisja egzaminacyjna, ludzie decydujący o wielu (160) życiowych losach młodych ludzi z całej Polski.

Skład tworzyli: **MICHAŁ DROS**, **BARBARA WALKOWNA**, **BRONISŁAW WROCLAWSKI**, **JAN ZDROJEWSKI**, **EWA MIROWSKA**, **BOGDAN MICHALIK**, **BOGUSŁAW SOCHNAK**, **JAN MACHULSKI** (przewodniczący).

8

MAREK TRUSZKOWSKI

Nagusy na pastwisku

Foto: M. Zajdler

Przez wiele lat ludziska narzekali, że co się na polu urodzi, tego sprzątać nie sposób. Lato deszcze, kłosa w snopkach klekowały. A tak coś zebrano, to ceny skupu były takie, że chłob nie miał ochoty ich sprzedawać.

Teraz ceny poszły w górę. Ale za to wszystkie. Najlepiej typ ciagmika kosztuje od 1 lipca 1026 tys. zł. Ale póki co, to u oręgu zniw, które przyszyły trzy tygodnie wcześniej, lud wiejski zanosi modły o deszcz. Jesienią nie wszędzie można było tasiad. Wjechał na osie, a tu wokół ciebie burza piaskowa, Sahara. Trudno było przeorać spieczoną ziemię Rzyko. Bo jeśli wilożw kosztu orki, bronowania, siewu, nawozów, ziarna kwalifikowanego — wszystko po nowych cenach — to aż strach brać, czy na przyszły rok zbierze się równowartość w piconaple.

Ale na wsi mówią, że chłob bez żyta to jak żołnierz bez karabinu. Żyto to chleb. Węc

rolnik siał i patrzył z trwogą, co z tego wyrośnie.

Okazało się, że wschody były niezłe, wegetacja wprost świetna, a zimowe straty minimalne. W związku z tym zapowiedziano nadzwyczaj wysokie plony, szczególnie w gazetach i telewizji. Martwiło się, że zniwa będą trudniejsze niż w roku ubiegłym, zwłaszcza gdy popada, bo kłosa i snopy ciężkie.

Jednak w połowie lipca wiadać, że zbiory nie są aż tak rewelacyjne, przynajmniej nie wszędzie. Na glebach lekkich, wyższej położonych, posucha zrobiła swoje. Widać puste, przedwcześnie dojrzałe kłosa. Zboża jare — owies i jęczmień — zatrzymały się w rozwoju, bieleją, ale ziarno nie rośnie. Będą więc raczej umiarkowanymi optymistami. 11 lipca popadało trochę, zboże wyłogło, ale to nic. Dzięki deszczowi, możliwe jest wyjście z dolki. Wprawdzie spadku pogłowa trzody chlewnej nie odbuduje się z dnia na

dzień, ale jeśli zbierze się niezłe plony, jeśli uda się wykończyć dwukrotnie ziemię, siewając popłony, to w tym roku możemy mieć prawie tyle paszy, co dawniej w urodzajnych latach.

Rzecz jednak w tym, że zniwa naprawdę są trudne, lecz z zupełnie innego powodu.

Po pierwsze — wczesna kłoba zbóż zbiegła się ze zbiorem rzepaku i siana. Zaskoczonym meliorantom pomylił się kalendarz. Pragnąc uzyć w trudzie zaharowanym chłopom, oni z kolei zaskoczyli ich sprytnie, wtargnęli na pola i skosili lany dorodne... spychaczami, przykrywając ziarno ziemią. Błogosławi ich za to chłop w woj. piotrkowskim. Jeszcze większej melioracji dokonano w dojrzałych zbożach we wsi Krzyworeka, gm. Mokroko. woj. Sieradz, chociaż wokół czekały skoszone łaki, z których sprzątnięto siano. Skromność nakazała meliorantom wykonać zadanie metoda

„Niewidzialnej Ręki”, kiedy bowiem rolnicy podnieśli protest, nikt się do czynu nie przyznał. Nie przyjechał do wsi nikt od meliorantów ani z urzędu gminy.

A po drugie — przez kilka miesięcy trwały przygotowania do zniw. POM-y i SKR-y ogłaszały pełną gotowość bojową. Na posterunku stały wozy techniczne z radiotelefonami, ogłoszono dyżury dla rzemieślników: kowali, ślusarzy, mechaników pojazdowych, elektryków... I dopiero gdy pierwsza kłosa poszła w ruch, w „Trzbie Lodu” podano do wiadomości, że w kraju mamy do zbioru ponad 8 mln ha zbóż. Można by to sprzątać mechanicznie, ale, niestety, część maszyn — od 15 do 30 proc. — stoi niesprawna. Szczególnie dotkliwy jest brak opon i akumulatorów.

W gminach brakuje kos i pałców do kosiarzek oraz płócien do snopowiazek. Ofiarny rzemie-

2

14

Powrotu do normalności ciąg dalszy

22 Lipca 1944 roku na rozplakotanych ulicach Krakowa, manifestem PKWN ulicach wyzwolonego Chelma, zbierający się grupkami ludzie, czytali:

„Rodacy! Wybiła godzina wyzwolenia (...) Kraj czeka na wielki wysiłek twórczy całego narodu...”

39 lat później, w przeddzień Święta Odrodzenia, w drugim dniu historycznego posiedzenia Sejmu PRL, premier W. Jaruzelski kończył swoje wystąpienie słowami:

„Dość już w Polsce nienawistnych spojrzeń. Czas podać sobie ręce, żyć w zgodzie, dobro Ojczyzny uznać za wspólne, jedyną i najwyższą (...). Do Polski wraca nadzieja...”

Jedno i drugie wydarzenie to już dziś historyczne epizody w niełatwych dziejach budowy socjalizmu w Polsce. Nie obeszło się bez błędów i niepragmatycznych, a nawet tragedii. Nieraz wylatywały się „polskie drogi”. Jednakże te blisko 40 lat Polski Ludowej, to także czas ogromnego awansu milionów Polaków. Wkraczając w tak niecodzienną atmosferę w 40 rok PRL, pokusimy się o rzetelną refleksję „nad tym, z czego mamy prawo być dumni, i nad tym, gdzie i w czym błędnie”. Zwalczając nauki z lat ostatnich, powinny służyć jako przestroga i jako drogowskaz”. W te doświadczenia ostatnie wpisanych jest także 19 trudnych miesięcy niedawnego stanu wojennego.

Ogłoszenie w Sejmie decyzji Rady Państwa o zniesieniu stanu wojennego zamyka jeden z najbardziej dramatycznych „okresów” życia naszego narodu. Nie był on wolny od napięć i niepokojów. Był jednak także początkiem dla nowych nadziei na pomyślny rozwój kraju, na kontynuowanie narodowego dzieła odnowy.

„Rozumiemy gorzko i zawiść tysięcy ludzi, zwłaszcza młodych — powiedział premier. — Nie lekceważymy niczyjego bólu, ani poczucia osobistej porażki. Burzliwy był ten czas, powikłany się „polskie drogi”. Chcemy troskliwie oddzielić to, co ludzkie i prawdziwe — od tego, co zartawdziałe, rzeczywiste przestępstwa i wrogię”.

Myślę, że słowa te mogą służyć jako punkt wyjścia do rozważań na temat przesłanek decyzji zniesienia stanu wojennego, jak i ustawy sejmowej o amnestii.

Posiedzenie Sejmu PRL za-

kończono w wigilię lipcowego święta było niebywale brzmienne w skutkach ustrojowych, politycznych i społecznych. Ustawa z 20 lipca br. uczyniła niezwykle istotną nowelizację Konstytucji. Dokonano polityczno-ustrojowego usytuowania PRON jako „placówki jednolitego społeczeństwa”. Potwierdzono zapisem w naczelnej ustawie rolę i znaczenie klasy robotniczej. Zobowiązującym dla postępu procesu demokratyzacji stała się odtąd konstytucyjna zapewnienie, iż Polska Ludowa „urzęduje w imieniu ogólnonarodowego społeczeństwa robotniczego, chłopskiego i ludowego”. Rozszerza udział robotników w rozwiązywaniu spraw państwa, społeczeństwa i gospodarki oraz umacnia sojusz robotniczo-chłopski”. Ostatnia myśl znajduje kontynuację w tzw. zapisie chłopskim, który zapewnia, iż państwo ludowe „opiera się na indywidualnym, rodzinnym gospodarstwie rolnym, pracującym chłopów, gwarantując trwałość tych gospodarstw”. Z punktu widzenia ustrojowego jest to ważna norma konstytucyjna. Będzie ona musiała także znaleźć odzwierciedlenie w przygotowywanej w partii deklaracji ideowo-politycznej, a to z uwagi na nieadekwatność treści podobnego dokumentu z 1948 roku w stosunku do poczynionych zmian.

Czwarta nowela konstytucyjna, wprowadzająca precyzyjne rozróżnienie stanu wojny od stanu wyjątkowego i stanu klęski żywiołowej, stanowi praktyczne potwierdzenie konieczności dokonania tego typu uregulowań. Argumentów za taką potrzebą dostarczył m. in. doświadczenia postępowania.

Chociaż poprawki do Konstytucji wnoszą się rzadko, to zapewne z punktu widzenia politycznego (tak wewnętrznego, jak i międzynarodowego), postanowieniem numer jeden, które padło z trybuny sejmowej, było zniesienie stanu wojennego. Jest to kolejny (po zawieszeniu stanu wojennego) krok na drodze powrotu do normalności. Jak stwierdził poseł sprawozdawca projektu ustawy o szczególnej regulacji prawnej w okresie przewrótowania kryzysu, wraz ze zniesieniem stanu wojennego „nie zniknęły jednak niebezpieczeństwa mogące zakłócić spokojny rozwój kraju. Z uporem muszą być przezwyciężane obiektywne i subiektywne powody różnych niedostatków (...). Nie zostały cofnięte zachodnie restrykcje

gospodarcze. Ciągłe trwa kryzys społeczno-gospodarczy (...). Te i inne powody skłoniły rząd do wystąpienia z inicjatywą dokonania nadzwyczajnych uregulowań o charakterze przejściowym (obowiązujących do 31 grudnia 1985 r.), jak i trwałym (polegających na zniesieniu niektórych uregulowań).

Zakres przyjętych ustaw sejmowa uregulowała oraz zmian i ograniczeń jest dość znaczący. Dotyczy zarówno spraw związanych w sposób bezpośredni z zagwarantowaniem prawidłowego funkcjonowania gospodarki (regulacja norm czasu pracy i stosunku pracy, prerogatywy rządu w stosunku do przedsiębiorstw i nadzwyczajne uprawnienia organów stanowiących), jak i pośrednio (możliwość czasowego zawieszenia organów samorządu, zmiana w ustawie o związkach zawodowych). Ponadto przepisy o szczególnej regulacji prawnej udzielają nadzwyczajnych kompetencji władzom w sferze społecznej, głównie w odniesieniu do stowarzyszeń, związków, organizacji oraz uczelni.

Szczególne regulacje prawne uświadamiają nam, iż do normalności w Polsce jeszcze daleko; stanowią zarazem znaczący pakiet nadzwyczajnych uprawnień i sankcji władz wobec społeczeństwa. Jednakże same one jeszcze niczego na przyszłość nie gwarantują, bowiem gwarancji politycznych nie da się zadekretować tak, aby przez zapis ustawowy rzeczywistość stała się zrazu nową, lepszą. W Polsce wiele się już zmieniło na korzyść. Równocześnie jednak doświadczenia i nauki płynące, jak ze źródła — z genezy sierpniowego robotniczego protestu, uświadamiają nam na co dzień, jak wiele jeszcze zmienić się powinno. Mówił o tym premier W. Jaruzelski słowami, iż „są na naszej ziemi jak gdyby dwie Polski”. Nawigować do tej myśli także i w tym fragmencie swojego sejmowego wystąpienia:

„Nikt nam nie podpisze gwarancji na Polskę silną, sprawiedliwą, dostojną. Mamy przed sobą kilka, kilkanaście lat, które rozstrzygną o randze naszego kraju na całe pokolenia”.

W pamiętną niedzielę grudnia 1981 roku gen. W. Jaruzelski zwracał się do narodu: „nie wznosimy barykad tam, gdzie jest potrzebny pokój”. W ostatni, 583 dzień stanu wojennego, premier rzą-

du z trybuny sejmowej wyzwał: „Czas podać sobie ręce, żyć w zgodzie (...)”. Wzywaniu temu wychodzi naprzeciw sejmowa ustawa o amnestii. Stwarza ona warunki tym, którzy z powodów politycznych albo nieumyślnie naruszyli surowy porządek prawny stanu wojennego.

Jak stwierdziła posłanka B. Krzemińska (PZPR), „obydwie ustawy są konieczne i niezbędne (ustawa o szczególnej regulacji prawnej i amnestii — przyp. red.). Obydwie się uzupełniają. Pierwsza, dotycząca regulacji na okres wychodzenia z kryzysu, jest wyrazem realizmu. Druga, amnestyjna, jest aktem wielkiego humanitaryzmu i stałego wyciągania ręki do wszystkich, u których bije polskie serce; do wszystkich, dla których liczą się tylko fakty i którzy mierzą siły na zamiary (...)”.

Trzeba jednak dodać, iż amnestia nie jest bezwarunkowym aktem łaski. Ustawa przewiduje możliwość uchylecia orzeczenia o jej zastosowaniu w przypadku ponownego popełnienia w okresie do 31.12.1985 r. przestępstw z powodów politycznych lub naruszających ustawę o szczególnej regulacji prawnej.

W toku poselskiej debaty wielokrotnie podkreślano, iż zniesienie stanu wojennego, czy też zapisy pozostałych sejmowych ustaw nie likwidują znanych niedostatków dnia codziennego, nie niwelują napiętej skali trudności, które jeszcze przed nami. Kraj nasz, czeka kilka rozstrzygnięć, niełatwych lat. Wiary i siły na tę drogę winna nam podsuwać świadomość tego, iż towarzyszyć nam na przyszłość będą wnioski i przestrogi płynące z bolesnych doświadczeń i nauk niedawnej przeszłości.

„Żyjemy nadal w szczególnym ważnym okresie dzieł naszego państwa — powiedział poseł E. Osmańczyk — Znowu nasz Sejm bierze na siebie ogromną odpowiedzialność, stanowiąc prawa, które będą kształtować przyszłość narodu i państwa po dramatycznym epizodzie: 13 grudnia 1981 — 21 lipca 1983. Głos każdego z nas — za lub przeciw — będzie osądzone przez współczesnych i potomnych, podobnie jak będzie osądzony rząd za stopień korzystania z nadzwyczajnych pełnomocnictw. Są to sprawy kardynalne — bo są to w rzeczy samej sprawy zaufania Sejmowi i rządowi do społeczeństwa i do programu odrodzenia narodowego.

To skłania do refleksji”.

Myślę, iż podobna, głęboka refleksja nad ustrojowo-prawnymi regulacjami Sejmu PRL, podjętymi w przeddzień lipcowego święta, jest potrzebna każdemu z nas. Ta refleksja, to w istocie poszukiwanie odpowiedzi na pytanie o własne miejsce na nowym etapie wspólnej drogi wszystkich, „u których bije polskie serce”.

KAROL JÓZEF STRYJSKI

Dokończenie ze strony 1

opatrzenie sklepów wiejskich będzie tym razem na medal. W Łodzi wiceprezydent Lech Krowczyński, któremu sprawa żniwa faktycznie leży na sercu, okazał się człowiekiem podejrzliwym. Do spółki z wydziałem handlu pchnął w teren inspektorów i wyszło, że w wielu sklepach wiejskich brakuje nawet podstawowych artykułów spożywczych.

A w kraju bywa tak, że sklepy zamyka się już o piętnastej, a za chlebem czeka się godzinami. Jest trochę więcej butów gumowych. Co jeszcze mogą zaoferować GS-y? Chleb, tłuszcz, olej i pieczywo cukiernicze. Konserwy jest bardzo mało. Brak kapsli sprawia, że z napojami chłodzącymi też kłopot. Są kłopoty z przydziałami wędlin poza reglamentacją, gdyż masarnie geosowskie albo nie mają surowca, albo nie nadążają z produkcją. Najłatwiej stwierdzić, że zawińli sami chłopci. Skup żywności zalał, bo rolnicy czekali na nową cenę. Teraz ruszył, lecz kielbasa będzie dopiero po żniwach.

Po czwarte — mówi się, że dla chleba należy wyrzec się innych przyjemności. Tymczasem z różnych gmin nadchodzi sygnały, że nie ma czym dowieźć żywności do sklepu. Z braku paliwa. A konia w żniwa też nie znajdzie. Sprawa dostatecznej ilości paliwa jest zagrożona. Jeśli ktoś nie wierzy, to proszę, przykład pierwszy z brzegu: SKR w Grabicy, woj. Piotrków, zamiast 44 ton paliwa otrzymała zaledwie połowę.

Trudne żniwa

A w kraju trwa także akcja skupu. Planuje się skupić 4 mln ton zboża i 500 tys. ton rzepaku. Trzeba to wszystko przewieźć. Jeśli zabraknie paliwa, trudno będzie odbierać z chłopskich pół partię ziarna powyżej 3 ton, nie pomogą zwroty kosztów za transport własny dla rolników.

Tysiące punktów skupu czeka na zboże. Chłop kręci głową. Jak przewieźć wilgotne ziarno, zapłacić mu mniej. Na to żeby mokre ziarno wyspać do suchego, nie ma odpowiednich magazynów. Jeśli suszenie będą potem suszyć wszystko ziarno, to naprawdę zabraknie paliwa.

W te żniwa pierwsze ruszyły kosy. Trzeba było wykoszyć wyłęgłe zboże, wokół słupów trakcyjnoelektrycznych, na wąskich działkach i przy wąskich miedzach, żeby maszyna mogła wjechać. Szczególnie kłopotliwa sprawa w woj. łódzkim.

Ala to nie dlatego na początku lipca pojawiły się na polach snopy ustawione w mende. Jeśli chłoporobnik łódzki ma na działce pół hektara żyta, to może sobie załatwić żniwa w pół godziny. Kiedyś SKR-y nie chciały się paprać drobnymi działkami, bo to przez wąski mostek nie wjechać, trzeba ciągle zawracać i niszczyć sprzęt. Dzisiaj SKR-y martwią się o pełne wykorzystanie kombajnów. Zależnie od gminy, za godzinę koszenia snopowiazałki płaci się średnio 1450 zł, a kombajnem — 4400 zł.

Minister rolnictwa twierdzi, że to jest tanio. No, bo gdyby do tradycyjnego koszenia wynająć dziesięcioro ludzi, dać im jeść i zapłacić po 1000 zł za dniówkę, to ho, ho! Ale skąd wziąć ludzi na wsi? Studenci mogliby w dwa tygodnie zarobić na piękne wczasy. Ale kto ich nauczył pracować?

Minister swoje, a chłopowie swoje. 4400 zł za skoszenie hektara stanowi równowartość 2,5 kwintala żyta. A zbiór 4 ha kosztuje tyle, co tona żyta. Doliczmy do tego koszt zbiór słomy prasą wysokiego zginiotu i zwózka, a w głowie się zakręci.

Chodzi o to, że podwyżka cen skupu nie rekompensuje podwyżek cen sprzętu i usług. Ale rolnikowi, który ma 10 ha zboża, opłaci się wynająć kombajn. Natomiast właściciel działki jednohektarowej leży jak Andzia w ogródku. Bo jeśli nawet skosi kosą lub kosiarką, to będzie miał kłopoty z młocką, za którą też trzeba płacić. W kraju tylko 70 proc. młocarni SKR jest czynnych, bo nie ma w zapasie części zamiennych. Drobne gospodarstwa, sięgające tradycyjnie owies i żytko, stają się nierentowne i muszą się wykurszyć.

Ala to nie jest jedyna przyczyna, że na wsi w pierwszej fazie żniw pracowali kosiarki konne. Praca ciężka, trzeba zbierać zboże w garście i wiązać powrośkami. Dlaczego? Bo w kraju zabrakło 5 tys. ton sznurka. To, co było, rozdzielono nierównomiernie, toteż w wielu gminach naczelnicy siedzą z nożycami i całówką i dzielą moliźnie ten cholerny sznurek, który na dodatek się rwie. Sto metrów dla SKR, pięćdziesiąt metrów dla chłopów, albo w innych proporcjach, itd., i dookoła Macieju.

A tu z różnych gmin płyną raporty, że liczba prywatnych snopowiazałek przewyższa ilość maszyn należących do SKR. Jeśli więc kombajny stoją nie wykorzystane, to stoją też prasy do zbiórki słomy. A sznurek leży. Chłopskie snopowiazałki też stoją, bo nie ma sznurka, chłop zaś męczy się z kosą. Zaním w tym skończy się żniwa, warto ruszyć głową i przeprowadzić jakąś przemysłową operację „Sznurek”.

Na szczęście w Łodzi ze sznurkiem nie jest tak źle, i chyba te 45 tys. ha zbóż sprzątnię są na czas. Ale skoro już wiesz, że żniwa to niełatwa sprawa, to rolnikom potrzebna jest przynajmniej otucha i życzliwość. Bo za sprawnym przebiegiem żniw odpowiadają wszyscy. A zaskóżyć i utrudnić też może wielu: leniwa panienska z okienka w kasie, pijany magazynier, traktorzysta na wczasach, nieuczciwy wagowy, przekupny prezes SKR.

Decyduje pomoc, wyrozumiałość i dobre słowo. Chłopa wcale nie trzeba popędzać, on pierwszy staje do roboty. Dzięki niemu w upale, w pyle zapierającym oddech, w tej złośliwej kurzawie, gdy leje się pot i mdleją ramiona, rodzi się chleb.

„Szczęść Boże, żniwiarzu!”

RYSZARD BINKOWSKI

W najbliższych numerach:

- * WYWIAD Z ŁÓDZKIM NAUKOWCEM O WSPÓŁPRACY NAUKI Z PRZEMYSŁEM
- * PŁACE, PODATKI, PIENIĄDZE — DWUGŁOS EKONOMISTÓW
- * REPORTERZY W WOJEWÓDZTWIE PIOTRKOWSKIM — KULTURA I... PIENIĄDZE
- * SYLWETKA TWÓRCZĄ TADEUSZA CHRÓŚCIELEWSKIEGO
- * ROZMOWY Z WALDEMAREM MARSZAŁKIEM I WŁADYSŁAWEM ŻMUDA
- * JAK ZOSTAĆ ARTYSTĄ?
- * O JANIE III SOBIESKIM I JEGO EPOCE — FRAGMENTY NOWEJ POWIEŚCI WŁADYSŁAWA RYMKIEWICZA

Minał tydzień

NAGRODY

Zgodnie już z wieloletnim zwyczajem z okazji 22 Lipca minister kultury i sztuki przyznał doroczne nagrody za twórczość artystyczną w 1983 roku. Wśród laureatów są między innymi: — TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI — który otrzymał nagrodę za całokształt twórczości literackiej, a szczególnie za tom wierszy „Tożsamość”. — TERESA MAY-CZYŻOWSKA — za wybitne osiągnięcia wokalne w Teatrze Wielkim w Łodzi.

— LESZEK SKRZYDŁO — za podejmowanie w filmie oświatowym tematyki laickiej, a w szczególności za cykl „Wielkie religie świata”. Laureatom serdecznie gratulujemy i życzymy dalszych sukcesów w ich twórczości artystycznej.

W SIERADZU

W Sieradzu też przyznano na-

grody z okazji Święta Odrodzenia. Nagrody otrzymali: — Eugenia Kaleniewicz za osiągnięcia w pracy muzealniczej i społeczno-kulturalnej,

— Zespół pracowników ZPW „Wolana” w składzie: Stanisław Barud, Henryk Binka, Jan Salamon, Andrzej Kabza, Władysław Witeczak, Karol Smejda, Adam Jędrzejczak, Włodzimierz Mewald, Mieczysław Barton, Marian Gębarowski, Zdzisław Kowalski i Andrzej Kulesza — za wdrożenie systemu pracy bezzałogowej.

— Władysław Ubysz za działalność na rzecz rozwoju wsi. Laureatom gratulujemy!

W WIEDNIU

Niedawno w Wiedniu bawiła Orkiestra Polskiego Radia i Telewizji w Łodzi, którą od wielu lat dyryguje Henryk Debiel. Opowiedział on na łamach „Życia Warszawy” w rozmowie z Adamem Ciesielskim o okoliczno-

ściach tego pobytu. Otóż obecnie w USA i Europie wyświetlany jest film-gigant Abela Gance’a „Napoleon”. Projekcja trwa 4,5 godziny. W oryginalnym filmie trwa 6 godzin. Nakręcony został w okresie kinu niemelego w 1927 roku. Film ten przypominał Francis Coppola. Muzykę do niego napisał Carmine Coppola — ojciec Francis’a. Włączył do niej m.in. utwory klasyczne, jak choćby „Zwycięstwo Wellingtona” Beethovena czy „Ruy Blass” Mendelssohna. I właśnie tę muzykę wykonywała w Wiedniu podczas projekcji filmu orkiestra Polskiego Radia i Telewizji w Łodzi. Repertuar przygotowano pod dyktando Henryka Debiela, w cztery tygodnie. W Wiedniu dyrygował Carmine Coppola.

TYM RAZEM EWA BEDNARCZYK

Wywiad z Ewą Bednarczyk — prezesem Huty „Laura” w Tarnowie — przeprowadziła i opublikowała w „Życiu Warszawy” Teresa Brodzka. Wywiad nosi znamienity tytuł: „Zrobiło się cicho...”. Ewa Bednarczyk komentuje to jednoznacznie: „Zrobiło się nagle bardzo cicho. Za cicho”. Czyżby cisza przed kolejną burzą?

Ala nie to jest istotne w tym wywiadzie. Istotne jest — po pierwsze — to, że Ewa Bednarczyk nie była jedynym kandydatem na prezesa, inni ustąpili. Po drugie — że poddała pod osąd całej załogi swój wybór, skoro w telewizji padło pytanie: „a co na to załoga?”. I załoga poparła jej wybór jednogłośnie. Po trzecie, że może zarabiać więcej od męża i to zgodnie z wszelkimi przepisami, tyle tylko, że ten zarobek będzie rozmydlony po różnych rubrykach, premiach i Bóg wie czym jeszcze. I o co był ten cały szum?

PORYWACZ

Jak doniósł „Express Ilustrowany” Andrzej S. tak pokochał żądę motorniczego, że porwał tramwaj z zajeźdni i przez kilka godzin jeździł nim po Łodzi. Złapał go dopiero i odebrał tramwaj przy pomocy milicji dyspozytor MPK Andrzej Milczarek. Czy nie lepiej przyjąć Andrzeja S. do pracy w MPK i mieć dobrego motorniczego, zamiast biegać teraz z nim po sądach i kolegiach?

A. B. SEKATOR

O d 5 lipca do 23 sierpnia 1943 roku rozegrała się największa bitwa II wojny światowej, która pod względem zakresu działań i natężenia walk nie miała sobie równych. Trwała niemal 50 dni i nocy. Z obydwu stron uczestniczyło w tym ścisie gigantycznym zmaganiu przeszło 4 mln żołnierzy, około 70 tys. dział i moździerzy, ponad 13 tys. czołgów i dział pancernych oraz 12 tys. samolotów. Ze strony Wehrmachtu w bitwie brało udział ponad 100 dywizji, co stanowiło ponad 43 proc. ich dywizji walczących wówczas na froncie radziecko-niemieckim. Jeśli bitwa pod Stalingradem zwiastowała zmierzch niemieckiej armii, to bitwa pod Kurskiem postawiła ją w obliczu katastrofy.

Po zwycięstwach Armii Radzieckiej w kampanii zimowej 1943, zapoczątkowanych rozbićciem wojsk niemieckich pod Stalingradem, w wojnie radziecko-niemieckiej nastąpił przełom. Zwycięskie operacje w I połowie 1943 roku pozwoliły wojskom radzieckim włamać się głęboko w ugrupowanie wojsk niemieckich i zająć pozycje na linii: Ponyri, Dymitrowsk-Orłowski, Sielsk, Ryłsk, Ugrojedy, Biełgorod, tworząc tzw. łuk kurski.

PRZYGOTOWANIA DO BITWY

Dowództwo niemieckie, chcąc ratować krytyczną sytuację na froncie, a także wzmacnić wśród sojuszników zachwiany autorytet po klęskach pod Moskwą i Stalingradem oraz podnieść morale niemieckiej ludności i wojska, zdecydowało się na podjęcie latem 1943 r. próby odzyskania inicjatywy strategicznej. Plan niemiecki przewidywał rozbićcie wojsk radzieckich na występie kurskim, a następnie rozwiniecie ofensywy na Moskwę. W tym celu skoncentrowano na froncie od Orła do Charkowa siły 9 i 2 armii, 2 i 4 armii pancernych oraz grupę operacyjną „Kempf”. Łącznie na głównym kierunku natarcia znajdowało się około 70 dywizji, w tym około 20 pancernych i zmotoryzowanych, nie licząc odwodów i przeszło 65 proc. wszystkich samolotów bojowych operujących na froncie wschodnim.

Dowództwo radzieckie, przewidując przyszły kierunek uderzeń wojsk niemieckich, planowało wyczerpać przeciwnika w walkach obronnych na zawczasu przygotowanych liniach obronnych, następnie przejść do przeciwnatarcia i rozbić główne siły zgromadzone wroga na kierunku orłowskim i charkowskim. Północnej części łuku kurskiego broniły wojska Frontu Centralnego, dowodzone przez gen. K. Rokossowskiego, południowej broniły — wojska Frontu Woroneskiego pod dowództwem gen. N. Watutina. Na tyłach obu frontów skoncentrowano silne odwody strategiczne Frontu Stepowego gen. I. Koniewa oraz kilka samodzielnych armii — ogółem z odwodami skoncentrowano około 40 proc. związków operacyjnych wchodzących w skład armii w polu, w tym wszystkie armie pancerne. Na linii frontu rozbudowano system obrony, składający się z 8 pasów o głębokości do 300 km. Silną obronę zorganizowano zwłaszcza na południowym skrzydle łuku kurskiego.

Adolf Hitler w przededniu bitwy pod Kurskiem, w odezwie do kadry oficerskiej pisał: „Nasze lotnictwo, skoncentrowawszy wszystkie swoje siły, rozgromi powietrzną potęgę nieprzyjaciela... pomoże w zniszczeniu stanowisk ogniowych artylerii wroga i wesprze działania piechurów, ułatwiając im walkę”.

Ściągnięto nowiutkie „tygrysy”, „pantery” i „ferdyndandy”, na zapleczu lądowały świeżo wyprodukowane „Focke-Wulff 190a” i „Heinkel-129”. Niemcy starannie maskowali skoncentrowane siły i środki, był zakaz wszelkich ruchów w porze dnia, nawiązywania łączności radiowej i telefonicznej. W tajnych rozkazach zalecał Hitler absolutną skrupulatność i energiczność przygotowań, wykorzystanie najlepszej broni, najlepszych dowódców i optymalnej ilości amunicji. Liczono na zaskoczenie.

PO 100 DNIACH CISZY

Po kilkakrotnym przesuwaniu terminu rozpoczęcia natarcia, Hitler zdecydował się zaatakować o świcie 5 lipca 1943. W nocy przed natarciem odczytano żołnierzom orędzie Hitlera. Głosiło ono: „W dniu dzisiejszym rozpoczyna się wielka bitwa zaczepna, która może wywrzeć decydujący wpływ na wyniki toczącej się wojny. Wasze zwycięstwo przekona cały świat, że wszelki opór stawiany armii niemieckiej jest daremny... Powinniście wiedzieć, że wszystko zależy od pomyślnego wyniku tej bitwy”.

Prawie 100 dni trwała złowieszcza cisza na polach pierwszej gigantycznej bitwy. O świcie 5 lipca potężne zgrupowania wojsk hitlerowskich przerwały ją, atakując północne i południowe skrzydła łuku kurskiego. Niemieckie natarcie napotkało nieustępliwa obronę wojsk Frontu Centralnego i Woroneskiego. Intensywne walki toczyły się również w powietrzu. W pierwszym dniu walki tylko w pasie działania Frontu Centralnego zarejestrowano około 2500 ataków niemieckich samolotów. Były takie chwile, kiedy nad polem walki pojawiało się jednocześnie co najmniej 500 hitlerowskich bombowców i myśliwców.

Pierwszy dzień natarcia dowiódł, iż za pomocą jednego uderzenia nie da się złamać oporu wojsk radzieckich. Sztab Generalny Wojsk Lądowych zmuszony był ścigać odwody z grupy armii „Srodek” feldmarszałka Klugego. W ciągu dwóch dni walk hitlerowcy ponuli się w głąb obrony radzieckiej zaledwie 6—10 km, ponosząc znaczne straty — ponad 25 tys. żołnierzy oraz ogromne ilości sprzętu bojowego.

Duże straty w ludziach i sprzęcie, i małe tempo natarcia wywołały niepokój w Kwaterze Głównej Hitlera i zachwiałą pewność w zwycięski finał operacji „Cytadela” — takim kryptonimem nazwano operację pod Kurskiem.

Natarcie kontynuowano, 10 lipca 1943 r., dla spotęgowania uderzenia Hitler rozkazał przekazać grupie armii „Srodek” prawie 1/3 lotnictwa grupy armii „Południe”. Jednostki 4 armii pancernych i grupy operacyjnej „Kempf” 10 i 11 lipca nacierają na kierunku Prochorowki. Ściągnięto tu najlepsze dywizje pancerne

„Reich”, „Totenkopf” i „Adolf Hitler” oraz inne siły. Hitlerowskie dywizje pancerne wsparte całością lotnictwa operującego na łuku kurskim zdołały wbić klin w obronę Frontu Centralnego na głębokość 10—12 km i w obronę Frontu Woroneskiego do 35 km.

W czasie bitwy kurskiej stoczono około 1000 walk powietrznych. Lotnictwo radzieckie zniszczyło ponad 1500 samolotów wroga, ponosząc znaczne straty własne około 1000 samolotów. Pod Prochorówką w bitwie pancerniej Wehrmacht stracił 100 tys. zabitych żołnierzy.

ANI KROKU WSTECZ

Każdy dzień walk przynosił nowe przykłady waleczności i poświęcenia żołnierzy radzieckich. Aby za wszelką cenę zatrzymać wroga, rzucał się pod czołgi z wiązkami granatów. Niszczili nieprzyjacielskie wozy bojowe za cenę własnego życia... „Wytrwaj dziś — znaczy jutro zwyciężyć!” — głosiła odezwa. „Ani kroku wstecz bez rozkazu dowódcy, z najwyższym poświęceniem bronić każdej piędzi radzieckiej ziemi”.

Marszałek Gieorgij Żukow tak wspomina o walkach w bitwie kurskiej: „Wszystko dookoła jakby wiroowało i rozlegał się ogłuszający grzmot... W tej piekielnej „symfonii” dźwięków zgodnym chórem rozbrzmiewały wy-

Klęska „Cytadeli” pod Kurskiem

strzały ciężkiej artylerii, wybuchy bomb lotniczych, pocisków rakietowych — „katiusz” i nieustanny huk silników samolotowych”.

O rozmiarach ścisie tytanicznych pojedynków „pancernych pięści” świadczy choćby to, że Niemcy natarli na Kursk z północy i południa lawiną blisko 3 tys. czołgów i dział szturmowych.

Tylko pod Prochorówką w pamiętnym starciu nastąpiła konfrontacja 1200 czołgów i dział pancernych. W momencie, gdy stalowe kolumny zbliżały się na minimalną odległość, strzelano na oślep, dochodziło do przypadków taranowania. Zdarzało się, że załogi pozbawione unieruchomionych czołgów wybiegały na pole i toczyły walkę wręcz z przeciwnikiem, który znalazł się w podobnej sytuacji.

Dalsze próby rozwijania natarcia przez zgrupowania niemieckie nie dawały oczekiwanych rezultatów. Po tygodniowych walkach nie zdołały one posunąć się dalej w głąb obrony radzieckiej z takim skutkiem, jak planowano. Tymczasem dojrzała sytuacja do rozpoczęcia działań zaczepnych przez Armię Radziecką.

RADZIECKIE KONTRUDERZENIE

Bitwa kurska zasadniczo różniła się od innych bitew minionej wojny — pod Moskwą, o Leningrad, pod Stalingradem, o Kaukaz, Dniepr czy prawobrzeżną Ukrainę. Był to zawczasu zaplanowany, uzależniony kompleks trzech dużych operacji strategicznych — Kurskiej obronnej oraz ofensywnych — Orłowskiej i Biełgorodzko-Charkowskiej. Ze wszystkich bitew II wojny, bitwa kurska była najbardziej intensywna i krwawa.

12 lipca 1943 roku rozpoczęły przeciwnatarcie na kierunku orłowskim wojska Frontów — Zachodniego gen. W. Sokolowskiego i Briańskiego pod dowództwem gen. M. Popowa. 15 lipca przeszły do natarcia wojska Frontu Centralnego gen. K. Rokossowskiego. Natomiast 3 sierpnia na kierunku biełgorodzko-charkowskim ruszyły do natarcia Fronty: Woroneski, Stepowy i Południowo-Zachodni.

13 lipca Hitler, zaniepokojony niepomyślnym rozwojem sytuacji, pilnie wezwał do Kwatery Głównej feldmarszałków — Klugego i Mansteina oraz innych wysokich dowódców. Podjął tu decyzję kontynuowania operacji „Cytadela” na kierunku Kursk wzmocnionymi siłami. Jednocześnie zdjął ze stanowiska dowódcy 2 armii pancernych gen. R. Schmidta i podporządkował ją dowódcy 9 armii, gen. M. Modelowi, którego darzył szczególnym zaufaniem.

Już najbliższe dni walk dowiodły bezpodstawności decyzji podjętych w Kwaterze Głównej przez Hitlera. Próby rozwinięcia natarcia przez Niemców na łuku kurskim spotkały się z potężnymi uderzeniami wojsk radzieckich. Działania bojowe były wyjątkowo uporczywe. Kończył się lipiec 1943 r. Natarcie radzieckie rozwijało się na szerokim froncie 400 km. Na występie orłowskim hitlerowcy stracili dziesiątki tysięcy żołnierzy i setki czołgów. Zalańnię planów dowództwa Wehrmachtu na łuku kurskim i natarcie wojsk radzieckich również na innych kierunkach frontu zmusiły przeciwnika do zrezygnowania z letniego natarcia pod Leningradem. Klęski Niemców na froncie radziecko-niemieckim i rozpoczynające się natarcie wojsk brytyjsko-amerykańskich na Sycylii stworzyły przesłanki dla wycofania się Włoch z wojny. Hitler zamierzał przerzucić kilka dywizji na front włoski, by ratować sojusznika, ale sytuacja, jaka wytworzyła się na froncie wschodnim udermniała ten zamiar.

POD ORŁEM

Na początku sierpnia 1943 r. rozgorzały zwycięskie walki na przedpolach Orła — jednego

z największych węzłów kolejowych i silnego punktu oporu wroga. Sytuacja wojsk hitlerowskich z każdym dniem pogarszała się. Następuje odwrót. Wycofując się hitlerowcy pustoszyli opuszczone tereny, znęcali się nad bezbronną ludnością, niszczyli zasiewy, ewakuowali magazyny i rabowali mienie.

Podczas walk o Orzel w jednostkach radzieckich zrodziła się nowa forma mobilizowania żołnierzy do ofiarnej postawy bojowej — wynoszenie na pole walki sztandaru jednostki. W krytycznych chwilach zmagania z wrogiem na najbardziej widocznym miejscu pojawiał się sztandar, zagrzewając żołnierzy do nowych czynów bojowych.

POMOC PARTYZANTÓW

W okresie bitwy kurskiej nasilił swe działania ruch partyzancki. W obwodzie orłowskim partyzanci wysadzili tory kolejowe w około 7,5 tys. miejscowości. W dzienniku działań bojowych OKW z 4 sierpnia 1943 roku zanotowano:

„Ruch na liniach kolejowych na Wschód często jest wstrzymywany z powodu wysadzania szyn... w rejonie działań grupy armii „Srodek” 3 sierpnia miało miejsce 75 dużych awarii

walki ulicznej... w wyniku zaciętych walk złamany został opór nieprzyjaciela, szturmem zdobyliśmy drugą stolicę Ukrainy — Charków”.

Pomyślnie przeciwnatarcie wojsk radzieckich na kierunku biełgorodzko-charkowskim zakończyło bitwę kurską. Wojska frontów: Woroneskiego i Stepowego rozbiły doszczętnie 15 dywizji nieprzyjaciela, w tym 4 pancerne. Posuwały się w kierunkach południowym i południowo-zachodnim o 140 km i rozszerzyły front natarcia do 300 km.

KLĘSKA WEHRMACHTU

Armia Radziecka w bitwie kurskiej trwającą blisko 50 dni i nocy rozbiła całkowicie 30 dywizji nieprzyjaciela. Straty Wehrmachtu w ludziach wynosiły ponad 500 tys. żołnierzy, 1500 czołgów i 3000 dział i ponad 3700 samolotów. Szczególnie ciężkie straty zadano dywizjom pancernym. Z ogólnej liczby 20 dywizji pancernych i zmotoryzowanych, które brały udział w bitwie, 7 zostało całkowicie rozbitych, a pozostałe poniosły duże straty.

Generalny inspektor wojsk pancernych Wehrmachtu, gen. płk Guderian, stwierdził: „Wskutek nieudania się operacji „Cytadela” ponieśliśmy stanowczą klęskę. Wojska pancerne uzupełnione z tak wielkim trudem, poniosły ciężkie straty w ludziach i sprzęcie, i były na dłuższy czas niezdolne do walki... Odłatał na froncie wschodnim nie było już ani chwili spokoju. Inicjatywa ostatecznie przeszła w ręce przeciwnika”.

F. Roosevelt w wystąpieniu radiowym, w lecie 1943 roku, oświadczył:

„Najbardziej decydujące walki toczą się obecnie w Rosji... Rosjanie nie tylko zlikwidowali niemiecką akcję zaczepną, lecz sami poszli do przodu według własnych planów... Rosja, ratując siebie, ma nadzieję, że uwolni cały świat od nazizmu. Powinniśmy być wdzięczni temu państwu, które potrafi być dobrym sąsiadem i szczerym przyjacielem w przyszłym świecie”.

CO OZNACZAŁO ZWYCIĘSTWO POD KURSKIEM

Druzgocąca klęska armii hitlerowskiej na łuku kurskim świadczyła dobitnie o wzroście potęgi ekonomicznej, politycznej i wojskowej Związku Radzieckiego. Bitwa ta miała nie tylko doniosłe znaczenie dla przebiegu II wojny światowej. Związanie tak ogromnych sił na Wschodzie stworzyło sprzyjające warunki dla lądowania wojsk brytyjsko-amerykańskich we Włoszech w lipcu 1943 roku.

Klęska Wehrmachtu pod Kurskiem miała też bezpośredni wpływ na zaniechanie planów hitlerowskich związanych z zamiarem okupowania neutralnej Szwecji. Poseł szwedzki w Moskwie oświadczył w tym czasie m.in.:

„Szwecja zdaje sobie doskonale sprawę, że swoją dotychczasową neutralność w toczącej się wojnie zawdzięcza tylko sukcesom bojowym ZSRR”.

Po klęsce w bitwie kurskiej jeszcze bardziej osłabił wpływ Niemiec na państwa bloku faszystowskiego, pogorszyła się wewnętrzna sytuacja tych państw, wzrastała międzynarodowa izolacja III Rzeszy. Ochłodzeniu uległy też stosunki między Niemcami a krajami neutralnymi — co wyraziło się m.in. w ograniczeniu dostaw surowców i gotowych wyrobów dla hitlerowskich Niemiec.

Świat z nadzieją patrzył na mocarstwo socjalistyczne i jego armię, która niesła ludzkości ratunek od brunatnej zarazy. Zwycięski finał bitwy wzmógł walkę ruchu oporu narodów Europy, a także miał wpływ na przyspieszenie utworzenia drugiego frontu na Zachodzie.

Bitwa kurska znalazła swoje odbicie również w stanowisku kół rządzących Stanów Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii. Prezydent Roosevelt w specjalnym posłaniu do szefa rządu radzieckiego pisał:

„W ciągu miesiąca gigantycznych walk Wasze siły zbrojne, dzięki swemu mistrzostwu, mestwu, poświęceniu i nieustannym wysiłkom, nie tylko zatrzymały zamierzone od dawna natarcie niemieckie, lecz rozpoczęły zwycięską kontrofensywę, brzemiennej w daleko idące następstwa... Związek Radziecki słusznie może być dumny ze swych bohaterów zwycięstwa”.

Podczas bitwy pod Kurskiem znacznie wzbogaciła się sztuka wojenna. Artylerie koncentrowano na głównych kierunkach uderzenia, wojska pancerne i zmechanizowane używano były w sposób zmasowany, podobnie używano lotnictwa bombowego i myśliwskiego do walk powietrznych. Wiele doświadczenia i umiejętności organizacyjnych zdobyły służby zaopatrzenia. Za pośrednictwem samej tylko kolei w okresie pierwszego etapu bitwy (od 5 do 11.7.1943) wojska radzieckie otrzymały 150 tys. wagonów amunicji, paliwa i żywności.

Do fiaska operacji „Cytadela” przyczyniła się również wysoka umiejętność maskowania przygotowań wojsk radzieckich, zarówno do operacji obronnej, jak i do przeciwnatarcia. Stąd dowództwo hitlerowskie nie miało pełnego wyobrażenia o planach dowództwa radzieckiego. Wywiad niemiecki, oddział Armie Obce Wschód, w sporządzonej ocenie działań wojsk radzieckich ani słowem nie wspomina o możliwości przejścia tych wojsk do przeciwnatarcia. Świadczy to o dużych przeoczeniach niemieckiego wywiadu i błędach w ocenie Armii Radzieckiej.

Oceniając bitwę kurską i jej wyjątkowość, marszałek Gieorgij Żukow stwierdził:

„Zostały tutaj nie tylko rozgromione niezwykle potężne zgrupowania wojsk niemieckich, lecz także nieodwracalnie podważona w narodzie niemieckim i sojusznikach III Rzeszy wiara w hitlerowskie kierownictwo i zdolność Niemiec do przeciwstawienia się rosnącej wciąż potęgze ZSRR”.

HENRYK DOBIEGAŁA

ODGŁOSY 3

Spór nie tylko o kawę

Zamiast motto:
„Z dniem 21 marca br. podwyższają się ceny: a) kawy naturalnej o 180 zł za paczkę 10 kg”
(z komunikatu PKC)
„...i jeśli kawa będzie kupowana w „Pewnie” nikt za nią nie zapłaci więcej w sklepie ajencyjnym”
(Kazimierz Prośniak, prezes Głównego Urzędu Cei w Warszawie dla „Prawo i Życie” nr 24/83)
„Jeśli Państwo zagarnia pieniądze to podzieli je wśród społeczeństwa i nie wolno go nazywać spekulacjami”
(Minister Z. Krasiński, w wywiadzie dla „Veto” nr 27/83)

Jak uzyskać społeczną akceptację niebotycznej podwyżki ceny kawy? — Rozpisać ankietę wśród mleczarzy. Jak uzyskać samo w odniesieniu do benzyny? — Zapytać pieszych na chodniku, najlepiej w dzień dżdżysty. Chcąc, innymi słowy, uzyskać zgodę wszystkich na wszystko, pytaj konkretnie tych, których dana sprawa ani ziębi ani grzeje, a najlepiej gdy budzi uczucia szczepolipskiej czyli irracjonalnej zawiści. Nie zaszkodzi irracjonalności poprzedzić zręcznym propagowaniem prawd w rodzaju: kawa to skleroza i rak trzustki; papieros to trądzik i rak płuca; alkohol to wróg i degeneracja; degenereacja; benzyna zaś to ołów i 144 kancerogeny.

Wszystko to — prawda. Lecz oświeceniowa. Reszta zaś prawdy jest taka, że każdy pracownik za ekwiwalent swojej pracy powinien być w stanie nabyć to, co mu potrzebne, nawet jeśli potrzeba ową stanowi kawa z papierosem lub setki innych towarów, „bez których można się obejść”.

Obejść się można, lecz ludzie nie obejść się. Nalógów i złych przyzwyczajaj nie rzucą, ponieważ popadnięcie w nałóg to zwykle sprawa braku perspektyw, słabości i głupoty, a rzucenie nałogu to nie sprawa cen lub nawoływani i ustaw, lecz sprawa mocnego wewnętrzznego postanowienia, silnej motywacji i odpowiedzi na pytanie: co w zamian?

UŻYWKA CZY OSPALOŚĆ?
Niektóre używki to nie tylko nałóg. Do tej specjalnej grupy należy kawa. Nie powoduje ona nałogu jako takiego. Wielu ludziom jest ona natomiast potrzebna do podwyższenia ciśnienia krwi ze zbyt niskiego na normalne. Zastępuje więc kawa apopleksję. Ludzie tacy, gdy rano kawy nie wypiją, to śpią stojąc. Innym znów kawa potrzebna jest do pobudzenia intelektualnego. Gdy jej nie mają, to markują myślenie — chociaż fizycznie siedzą za stołem obrad, dyskutują i umysły wysilają, to nie im nie wychodzi. Leje się mowa coraz bardziej jałowa. Pomysł padają coraz durniejsze: jak np. pomysły zwolnienia od podatku dochodowego kwoty 15 tys. zł rocznie na dziecko! Albo stwierdzenia w rodzaju: „Na sprzedaży kawy ludzie zbijali fortuny, dlatego wprowadziliśmy dość wysoką stawkę celną” (minister Z. Krasiński, „Veto” nr 27/83).

Nikt nie zbadał, jakie są straty wymierne z niewymiernej ospałości intelektualnej u tzw. decydentów, spowodowanej oszczędnościami na kawie. Czy oszczędności te warte są haraczu pod postacią powszechnej drzemki umysłowej? — Pewnie są warte, skoro nikt nie słyszał, aby komuś w Polsce za myślenie płacono. Słyszano się tylko, że myślenie ma (miało?) kolosalną przyszłość. Przyszłość z tamtej epoki, gdy hasło to narodziło się, to właśnie dzień dzisiejszy.

ILE KAWA KOSZUJE!
Mówił minister Z. Łakomiec dla „Głosu Robotniczego” 15 marca 1983 r.:
„Cena kawy wzrosła, co jest min. rezultatem jej ceny na rynkach światowych, wynoszącej obecnie ok. 2 tys. dolarów za tonę”.

Jest to komentarz do przytoczonego w wstępie, zamiast motto, komunikatu Państwowej Komisji Cen. Gdy mówi się „dwa tysiące dolarów” — to brzmi! To wstrząsa. I nikt już nie zwróci uwagi, że chodzi o tonę czyli 1000 kg. Kto bowiem ze śmiertelnych kupuje kawę na tonę? Ile by lat należało to pić, aby wypić indywidualnie. Powiedzmy więc to samo — przystępnie. Dwa tysiące dolarów za tonę, to dwa dolary za kilogram. Dodajmy przy tym, że jest to cena średnia: są gatunki droższe, są i znacznie tańsze.

Komunikat PKC informuje o wzroście ceny o 180 zł. Nie każdy wie, ile to jest w procentach, 100 g kawy kosztowało 140 zł. Teraz kosztuje 320 zł. Wzrost o 228 procent! Proszę ten odsetek zestawzić z globalnym wzrostem cen, przewidywanym na 15 procent w 1983 roku, a na 40 procent w całej 3-latec. A miało już być stopniowo i krocząco, z rozmysłem i umiarem! Dokładnie tak, jak deklaruje to minister do spraw cen: „Jestem jak najbardziej za niskimi, prawie niezauważalnymi zmianami cen” („Veto” nr 27/83). „No comments”.

Przejdźmy teraz do kawy nie na rynkach światowych, le z zachodnimi sklepami, zwanych supermarketami. Tam kawa jest droższa — niż wspomniane przez ministra Z. Łakomca 2

dol. za kg, ponieważ dochodzą zyski wszystkich pośredników detalicznych. Dochodzi też wysoki podatek na rzecz państwa. W rezultacie 200 g kawy liofilizowanej w puszcze, najtańszej, można dostać już (lub aż) za 2 dolary i 19 centów. Czyli to ok. 11 dolarów za kilogram.

NO TO POLICZMY
Surowiec kosztował 2 dol. czyli ok. 170 zł (dolar oficjalnie kosztuje ok. 85 zł). Produkt handlowy kosztuje 11 dol. czyli 935 zł. Ostatecznie więc dolar kosztuje ok. 488 zł. Czy to zły przelicznik? — Gdyby więc minister Łakomiec razem z ministrem Krasińskim zastosowali tylko przelicznik czarnorynkowy, to by kawa kosztowała dzisiaj ok. 1000 zł za kg, czyli mniej niż kosztowała przed podwyżką z 15 marca 1983 roku (!).

Przyjmijmy jednak, że nam się import kawy w ziarnach nie opłaca (z braku ochoty i rak do pracy), importujemy już liofilizowaną, piąc producentom i pośrednikom zachodnim „za fatywę”. Taka w supermarketach kosztuje, jak już powiedziano, ok. 11 dol. (w hurcie połowę tego). U nas palona kosztuje 3200 zł. Czyli to ok. 300 zł za „zielonego”. Kurs znacznie niższy od czarnorynkowego, a za grubo wyższy od oficjalnego (85 zł). Widocznie ten poprawiony kurs jest jedynie realny, skoro podawany w majestacie prawa i urzędu.

ILE KAWY KUPI PROFESORI
Skoro wzmiankowany wyżej kurs jest jedynie słuszny, to dlaczego tej samej miarki nie zastosować do wszystkich innych, zwłaszcza do pensji? Minimalna pensja profesora „na zachodzie” wynosi ok. 40 tys. dol. rocznie. Pomnożone przez 300 daje to ok. 12 milionów złotych. Po milionie miesięcznie. Zupiełnie nieźle... I całkiem wystarczająco na kawę.

Lecz skąd tu nagle zjawili się profesor? Zaraz do niego dojdziemy. Otóż student za godzinę

pracy niewykwalifikowanej, polegającej na sprzątaniu akademika czy to w Narodowym Uniwersytecie Australijskim (Camberra) czy w Uniwersytecie Stanu Kalifornia (Berkeley), otrzymuje 6 dolarów. Pracuje więc 2 godziny na kg kawy liofilizowanej. Przy tym nie bez znaczenia jest fakt, że oba wspomniane kraje sprowadzają ją — tę kawę, z tej samej Brazylii, co Polska.

Wreszcie mamy tego profesora, którego istnienie warunkuje istnienie studenta. U nas pensja profesora wynosi 16 tys. zł (zwykłego) — 18 tys. zł. Dochodzi do tego 20-procentowy dodatek za 20-letnią lub dłuższą wysługę lat. Łącznie 19200 zł. Czyli równoważność 6 kg kawy. Oto i jest realna płaca za miesiąc pracy dydaktycznej i naukowej, wymagającej szczególnych talentów oraz co najmniej 20 lat wspólnego życia „ku szczytom”.

Czy nikt nie dostrzega czegoś surrealistycznego w tej sytuacji?

ILE DZIUR SIĘ ZAŁATA!
We wzmiankowanym już wywiadzie dla „GR” minister Łakomiec mówi:
„Niestety, wobec tego faktu (tj. ceny 2 tys. dol. za tonę, dopisek J.S.K.), będziemy dysponować jedynie słabościami i niedostatkami kawy. Powinniśmy kupić w całym roku 30 tys. ton, aby jako tako nasycić rynek. Nie ma na to szans (...). Niewielkie ilości kawy znajdują się więc w wolnej sprzedaży...”

Ten sam „GR” pisze na pierwszej stronie:
„Za podjęciem decyzji o podwyższeniu cen przemawiają: konieczność zmniejszenia deficytu budżetowego, czyli zyskania środków na ważne cele społeczne, a także potrzeba stopniowego przywracania równowagi pieniężno-rynkowej”.

Nie nie rozumiem. Po pierwsze, czy import kawy za 2 dol. i jej sprzedaż za 3200 zł to interes tak zły, że nas w dalszym ciągu na niego „nie stać”? Po drugie, czy 30 tys. ton czyli 30 milionów kg to zbyt wiele jak na 36-miliono-

wy naród? Po trzecie, czy 60 milionów dolarów, jakie by należało zapłacić za te 30 tys. ton kawy, czyli niespełna 2 dolary rocznie na statystycznego Polaka, to niewyobrażalnie dużo? Skoro dużo, skoro „nas nie stać”, to pytanie czwarte: Do kogo adresowana jest „ta mowa” o zmniejszeniu deficytu, zyskiwaniu środków na ważne cele społeczne? Gdyby chcieli te słuszne i szczytne cele faktycznie osiągnąć, to należałoby właśnie kawę importować i sprzedawać po 1000—1500 zł za kilogram — tyle, ile naród pragnie, aby ściągnąć pieniądze, ile się da. A tu czarno na białym widzimy, że „ścisłość” będą znikome!

Skoro znikome, to i ściąganie nawisu inflacyjnego iluzoryczne, a przywracanie równowagi pieniężno-rynkowej jeszcze bardziej złudne!

PROŚBA O PRZEDSTAWIENIE KALKULACJI
Aby cokolwiek zrozumieć z tej „kawowej” sprawy, proszę zainteresowanych ministrów o przedstawienie kalkulacji:

a) ile Polska sprowadzi kawy w 1983 roku;
b) ile za tę kawę Polska zapłaci w pieniądzu, a ile otrzyma drogą wymiany za coś;
c) ile za tę kawę ściąganie się pieniędzy z rynku polskiego;
d) jak owe globalne „złotówki kawowe” mieć się będą do globalnego nawisu inflacyjnego i dziur w budżecie?

Prosiłbym również o informację uzupełniającą, a nader istotną. Ile kosztuje utrzymanie stojących linii produkcyjnych kawy liofilizowanej (wspomniała „marago”!)? Ile gospodarka mogłaby zarobić, gdyby linie te szły pełną szybkością, przetwarzając ziarno na ekstrakt, z kolei eksportowany z doliczeniem sobie „za fatywę”, tj. za pracę i pomyślnie?

Niech w końcu zabierze głos — skoro przy ekonomii jesteśmy — „towarzysz liczydło”, a nie kolejne działania pozorowane i próby nabijania w butelkę.

Co się zaś butelki trzeźwo, to godziło się przypomnieć, że 0,75 l butelka szklanej whisky kosztuje na świecie tyle, co kg kawy. Czyli 2 godz. niewykwalifikowanej pracy studenta, aby miał czym uczcić szczęśliwie zaliczone (u profesora!) egzaminy. Z czego proszę nie wysuwać wniosku, że wódka u nas za tania. Jest tak horrendalnie droga, że w mgnięniu oka ściąga gros tego, co pierwszą ręką państwo daje na opiekę społeczną i dzieci. Dawnie ludzie pili „za swoje”, teraz piją za swoje i „rodzinne”. A jak tego nie starczy to wyniosą „z pracy” co tylko znaj-

dzie nabywcę. Regularnie piją ok. 5 milionów. Pić będzie jeszcze więcej — jeżeli w dalszym ciągu głównie cenami zdobywać się będzie środki na szlachetne cele, a nie po prostu lepszą pracę, tj. pracę jednostkowo tańszą, bo wydajniejszą, oszczędniejszą i na wysokim poziomie jakościowym.

Realne ludzkie perspektywy stwórzmy — np. mieszkania dzisiaj do spłacenia jutro, a okaże się, że Polak nie pije, nie pali, oszczędza jak Szkot i pracuje jak Japończyk.

DOWCIPÓW KUPA, GDY BRAK DOWCIPU!

Niekiedy coś, co jest „społecznie akceptowane”, powinno być z nie mniej społecznych względów bezwzględnie zakazane. Jakże to będzie? — są! skutki tej „społecznie akceptowanej” podwyżki cen kawy wzmocnionej o podwyżkę dla kawy?

(1) Dalsze wywindowanie czarnorynkowego kursu dolara do poziomu hiper-absurdalnego i hiper-inflacyjnego dla złotych.

(2) Niewątpliwie spadek spożycia kawy z zaozczędzeniem kilkunastu milionów dolarów.

(3) I powszechna rujnująca ospałość. Zasną nawet profesorem ci od ucznia studentów. Bo nieprawda jest jakoby oni mogli kupić 6 kg kawy. Kupić mogą maksymalnie 3 kg ponieważ zwykle mają przynajmniej jedno dziecko na utrzymaniu, a dziecko „młok” trzeba coś do ust włożyć.

Bez kawy można obejść się, ponieważ kawa to nie opium. Skoro zaś bez kawy można się obejść, to tym samym nieczego z rynku nie ściąganie się ponieważ zdrowo myślący Polak nie kupi kilograma kawy, skoro za te same pieniądze może kupić dwa i pół litra wódki. Zwiastuje, że wódka jest, a kawy nawet po nowych cenach nie ma.

Co pozostanie? Pozostanie dziura w budżecie jeszcze większa niż była, ponieważ pieniądze nie wydatkowane na kawę zaczną nakładać na coś innego. Czego przybędzie? Przybędzie tzw. „ubawu po pachy” dla zachodniej propagandy i nowej pożyczki dla popularnych tam dowcipów o Polakach, z przyrodzenia (jakoby) pozbawionych dowcipu bardziej, niż noga stołowa. I wstyd przybędzie — za handlowanie kawą, jak Zabłocki handlował mydłem. Za robienie luksusu z używki, gdzie indziej najpopularniejszej, bo służącej do podniesienia wydajności pracy fizycznej i umysłowej.

J. STANISŁAW KNYPL

Litować się nad takimi koncepcjami

Sprawa jest prosta i gdyby chodziło tylko o kawę można byłoby skwitować ją kilkoma zdaniem. Sądzę jednak, że J. Stanisławowi Knyplowi chodziło nie tylko o niedostatek kawy, ale o sprawy znacznie bardziej skomplikowane i dlatego jego rozważań nie można pozostawić bez komentarza i polemiki.

Zatytułował on je: Nad kawiarniami zlituj się panie (ministra)! — Gdyby to ode mnie zależało, zatytułowałbym je inaczej: „Czy kawa pomoże w przewyższeniu kryzysu?”. Stąd też i tytuł mojej polemiki musiałby brzmieć: „Ani kawa, ani demagogia!”

Skoro jednak redakcja zdecydowała się zachować oryginalny tytuł artykułu J. Stanisława Knypla musiałem wymyślić inny. Mam wszelkie świadomości, że nie o kawę tylko chodzi. Raczej o metodę. Jeśli chodziłoby tylko o kawę, to zgodzam się całkowicie z autorem, że są ludzie, którym kawa potrzebna jest „do podwyższenia ciśnienia krwi ze zbyt niskiego na normalne” i tacy, którym kawa potrzebna jest „do pobudzenia intelektualnego”. Z drugiej jednak strony serdecznie ubawiał mnie argument, a właściwie przybuszanie, że „za straty wymierne z niewymiernej ospałości intelektualnej u tzw. decydentów, spowodowanej oszczędnościami na kawie”. Otóż — po pierwsze — znam paru durniów, którym picie kawy w niczym nie pomoże, choć piją ją namietnie. A po drugie — gdyby erupcja pomysłów zależała tylko od kawy, to myśle, że moglibyśmy rozwiązać nasze skomplikowane trudności w ciągu miesiąca. Niestety — nie od kawy to zależy! Nie przesadzajmy! Jeśli „powszechna, rujnująca ospałość” — o której pisze J. Stanisław Knypl — rzeczywiście występuje, to nie przewidywalnym jej powszechnie wprowadzonym nakazem picia kawy. Naiwność takiego rozumowania jest przerażająca.

Nie przekonuje mnie również kalkulacja tak mozolnie sprezentowana przez J. Stanisława Knypla. Wprawdzie pisał swój artykuł, kiedy kurs dolara wynosił 85 zł, a obecnie wynosi 95 zł, ale to i tak niczego nie zmienia. Rzecz bowiem przecież nie w tym, ile wyniesie dolar po różnych skomplikowanych wyliczeniach, ale w tym, skąd w ogóle wziąć te dolary na kupno kawy. J. Stanisław

Knypl prosi ministra o litość nad kawiarniami nie zastanawiając się, czy posiada on dolary, aby móc litość tę okazać.

Nieszczęście wielu Polaków polega na tym, że wszystko przeleżają na dolary, nie biorąc pod uwagę żadnych innych relacji. Dzięki temu „rachunkowi” J. Stanisławowi Knyplowi wychodzi, że profesor w Polsce powinien zarabiać „po milionie miesięcznie”. Przepraszam, a inni? Kiedy kawa przesłania horyzont myślowy dochodzi się do absurdalnych wniosków. Być może student w USA i Australii za dwie godziny pracy mogą kupić kilogram kawy liofilizowanej, ale chciałby też znać inne relacje cen. Bez tego bowiem wszelkie rachunki będą nosiły charakter księgowych.

J. Stanisław Knypl zakłada, że „nam się import kawy w ziarnach nie opłaca (z braku ochoty i rak do pracy)” i pyta o koszt utrzymania „stojących linii produkcyjnych kawy liofilizowanej”, zastanawiając się, „ile gospodarka mogłaby zarobić, gdyby linie te szły pełną szybkością”. Ale te pytania są postawione błędnie. Przede wszystkim należałoby zapytać, skąd wziąć pieniądze na kupno kawy? J. Stanisław Knypl zdaje się nie wiedzieć, że — po pierwsze — musimy spłacić dług, po drugie — płacić odsetki od tych długów, po trzecie — nałożone zostały na polski handel restrykcje Ronalda Reagana i jego partnerów z NATO.

W 1970 roku Polska importowała kawę niepaloną w wielkości 34 tysięcy ton. W 5 lat później — 31 tysięcy ton, ale w trudnym już 1978 roku — 35 tysięcy ton, a w kryzysowym roku 1980 — 37 tysięcy ton. Dopiero w 1981 roku import ziarna kawowego spadł do 28 tysięcy ton. Powiedzmy, że — jak to określa minister Z. Łakomiec — dla jakiegoś takiego zaspokojenia potrzeb rynku wewnętrznego w kawę potrzeba 30 tysięcy ton kawy. Potrzeba na to 60 milionów dolarów. Może nie jest to summa wielka, ale trzeba coś sprzedać, aby te 60 milionów dolarów mieć i móc je wydać na kupno kawy. A przecież potrzeby gospodarki nie ograniczają się tylko do kawy.

Gdyby J. Stanisław Knypl miał decydować, czy kupić kawę, czy na przykład lekarstwa, albo częściej zamienić dla różnych gałęzi przemysłu, czy wreszcie surowce choćby dla przemysłu chemicznego, to nie wiem, jaką podjąłby decyzję. Tylko, że nie on musi decydować. Może się tylko obrazić i domagać rozliczeń. Tym bardziej, iż przyznaje, że „nie nie rozumiem”. Nie zdaje się temu, skoro „problem kawy” widzi tylko w skali rynku wewnętrznego, jako sposób na ściąganie pieniędzy z rynku, a nie potrafi dostrzec braku źródeł dopływu dewiz do skarbu państwowego. Wydaje się też zapominać, że w latach 70-tych przejadaliśmy i przepielaliśmy zagraniczne kredyty, które teraz trzeba spłacać.

Oczywiście 60 milionów dolarów można podzielić przez 36 milionów Polaków i wychodzi na głowę statystycznego Polaka dolar i 66 centów, tylko że ani niemowlaki, ani dorośli nie zarabia-

ją tych dolarów, a gdyby nawet, to nie tylko na kawę należałoby je wydawać. Już ten choćby przykład jasno dowodzi, że czegoś może prowadzić zonglerka liczbami. Do absurdu. Podobnie zresztą, jak bardzo ładnie brzmiący postulat: „mieszkanie dzisiaj do spłacenia jutro”. Realizacja takiego postulatu — zdaniem J. Stanisława Knypla — miałaby doprowadzić do tego, że „Polak nie pije i nie pali, oszczędza jak Szkot i pracuje jak Japończyk”. Przykro mi bardzo, ale nie wierzę ani w „drugą Polskę”, ani w „drugą Japonię”, trzeba bowiem najpierw uporządkować wszelkie sprawy w tej jednej Polsce, jaką mamy. Natomiast domaganie się dawania mieszkań „na spłaty” może tylko doprowadzić całkowitego braku orientacji w problemach naszej gospodarki będącej w kryzysie. Żeby móc dawać mieszkania „na spłaty” trzeba mieć możliwości ich wybudowania. Rzeczywistość jest bowiem taka, że na przykład w Łodzi z trudnością osiągnie się w tym roku 5 300 mieszkań, a kiedyś budowano przeszło 11 tysięcy i też nie można było wszystkim dać „na spłaty”, bo oczekujących było więcej niż mieszkań.

Trudno natomiast nie zgadzić się z J. Stanisławem Knyplem, kiedy pisze, że „każdy pracownik za ekwiwalent swojej pracy powinien być w stanie nabyć to, co mu potrzebne”, chociaż do realizacji takiej formuły jeszcze nam daleko, gdyż muszą być spełnione odpowiednie warunki sprowadzające się do dostępu towarów na rynku. Aby to osiągnąć potrzeba drobności — systematycznego wzrostu wydajności pracy, wzrostu produkcji, poprawy jej jakości, rozwoju handlu zagranicznego, doskonalenia metod pracy, technologii, jak i sposobów handlowania. Słowem: potrzeba wprowadzenia z powodzeniem i dobrymi skutkami reformy gospodarczej, której skutki też nie od jutra dadzą się odczuć. Tak więc nim pracownik będzie „w stanie nabyć to, co mu potrzebne”, niech najpierw dostaje rzeczywisty „ekwiwalent swojej pracy”, czyli od każdego wedle możliwości, a każdemu wedle pracy. Tymczasem nasz system płacy jest równie irracjonalny jak koncepcje i kalkulacje J. Stanisława Knypla.

Bardzo mi przykro, ale J. Stanisław Knypl prezentuje szeroko rozpowszechniony sposób myślenia: kryzys owszem mamy, wyjść z niego trzeba, skutki ujemne to daje, ale one owinny nie mnie dotyczyć, a innych. Niech więc wszyscy wokół rezygnują z różnych rzeczy, niech oszczędzają, niech borykają się z trudnościami, aby tylko nie ta Ja nadal muszę mieć codziennie swoje pół czarnej po obiedzie. Co chyba nie tak, zakładając, że to „pół czarnej” traktujemy symbolicznie, że nie tylko o kawę chodzi, bo kawa jest jedynie pretekstem do rozważań o metodzie.

LUCJAN BOGUSZ

Zadecydował przypadek. Bo na facecie zwrócił uwagę w momencie, gdy bezceremonialnie zjechał mi drogę parkując swego „malucha” tuż przed moim zderzakiem. Obserwowałem go ze złością, gdy wysiadał z samochodu z kilkuletnim malcem. Brzdąc poprosił: — Tato, daj, ja włączę... Zauważyłem jeszcze, że rodzic zatrzasnął drzwi, po czym oddał kluczyki synowi. Ten zaciął rączkę na małym pudełeczku dyndającym przy kluczykach i zgodnie odeszli.

Uderzyło mnie to dopiero godzinę później, gdy — ten przypadek — i ja zajmowałem miejsce w swym wehikule. Chłopiec znów dzierżył kluczyki, po czym tata otworzył drzwi i uruchomił silnik. Coś mnie tknęło...

— Pan, przepraszam, włącz „tym” alarm? — zagadnąłem.

— Owszem, a także otwieram i zamykam drzwi — odparł z uśmiechem.

Spieszyliśmy się obaj, ale po paru minutach wiedziałem już, że pan Janusz (nazwiska nie będziemy ujawniać z powodów, o których później) urządzenie sam skonstruował, elektronicznie ma „w małym palcu”, ma też za sobą kilka kapitalnych wynalazków, ale...

Mój rozmówca wyciągnął wizytówkę: — Jak pan będzie kiedyś w... (podał nazwę wojewódzkiego miasta), niech pan nas odwiedzi, porozmawiamy.

To było gdzieś pół roku temu. Dziś siedzimy w mieszkaniu pana Janusza, pijemy kawę, z płyty sączy się Ray Charles. Michał i Tobi (szalony jamnik) trochę nam przeszkadzają, ale ja wiem już o gospodarzu i jego pasji, której na imię elektronika — prawie wszystko. I cieszę się, że wówczas omal nie rozbił mi zderzaka.

— I rzeczywiście chce pan to wszystko opisać? Po co? Kogo to zainteresuje? I cóż to zmieni? — ironicznie półśmieszył „carmena”.

— Przecież to można, trzeba wykorzystać, produkować, milionowe oszczędności, kapitalne pomysły — zaciętrzewiam się.

— Bzdury! Wynalazcy są w tym kraju ziem koniecznym, to niepotrzebnie nikomu szaleńcy, pasjonaci — zrezygnowane machnięcie ręką — to wręcz ofensywa...

Rzeczywiście. I mnie to słowo przyszło na myśl. Bo jako pierwsza tapnęła nim tego

AFERA Z PULSOMETREM

Cóż to takiego? Uwaga: urządzenie do zdalnego, bezprzewodowego pomiaru tętna z odczytem cyfrowym. Janusz skonstruował pulsometr będący uczniem... IV klasy technikum elektronicznego. Nic w tym dziwnego, bowiem jak sam twierdzi, nie pamięta kiedy dokładnie zaczął się bawić w elektronikę, ale faktem jest, że w podstawowe wyposażenie zbudował radio. Dokładnie w drugiej klasie. Jeszcze wcześniej spędzał całe dnie w komórkę i — diuab! — montował, tworzył. W piłkę nie grał, a matki kolegów nie pozwalały swym pociechom bawić się z Januszem, „bo on się synku prądem zajmuje, to może być niebezpieczne...”

Pomysł był niesamowity, urządzenie, dotąd nie znane, mogło mieć bardzo szerokie zastosowanie — w szpitalach, w akademiach wychowania fizycznego. Był to rewelacyjny wynalazek — tak określano pulsometr w gazetach, w telewizji, w programie „Mam pomysł”. W ogólnopolskim Turnieju Młodych Mistrzów Techniki oficjalna prezentacja urządzenia przyniosła mu medal, prawo wstępu bez egzaminu na dowolnie wybraną uczelnię techniczną w kraju i trzy tysiące złotych nagrody z rąk przewodniczącego CRZZ.

— Wspominał to z rozczuleniem niemal — gospodarz zamyśla się — kupilem wtedy, pamiętam, zapalniczkę, choć planowałem początkowo, że wystarczy mi na oscyloskop. Byłem młody i hardy; jeszcze w trakcie budowy wysoko postawiony pracownik placówki badawczej przy Instytucie Uniwersytecie, gdzie jeździłem na konsultacje, zaproponował mi w cztery czy pięć większą sumę za rezygnację z praw autorskich. Wtedy obśmiałem mu się w nos, choć mógłbym kupić kilka oscyloskopów...

Opinie specjalistów były jednomyślne: rewelacja. Podobne urządzenie na Zachodzie kosztowało 4 tysiące dolarów, u nas, na etapie seryjnej produkcji, sięgnęłoby, obliczano — 70 tysięcy złotych. Zaangażowała się w sprawę warszawska AWF, proponując okrągłą sumę 4 milionów złotych na zakup tych szalenie im potrzebnych urządzeń. Janusz nie zasypiał gruszek w popiele: zmodernizował jeszcze pulsometr, który w nowej wersji umożliwiał na przykład pomiar i rejestrację pulsu sześciu siatkarzy równocześnie. W czasie gry...

Nawet firma „Posteor” z Poznania, zajmująca się wdrażaniem nowatorskich pomysłów, poruszyła niebo i ziemię, by znaleźć producenta unikalnego urządzenia.

I nikt. Dosłownie nikt nie podjął się produkcji. Dla spółdzielni było to trochę za skomplikowane — układy scalone, czyli jak na 1976 rok za wysoki stopień trudności. Zakłady specjalistyczne zajęte były własnymi planami produkcyjnymi. Po co było brać na głowę taki kłopot!... Ponoć był jednak jakiś odważny rzemieślnik, ktoś inny chciał zainwestować, ale sprawa szybko się wyjaśniła: zakład państwowy nie może kupować żadnych tego typu urządzeń od osób fizycznych.

— To była jedna, wielka groteska. Po moim występie w telewizji, uznano mój pulsometr za pomysł roku. Dostałem „no dowód uznania” — radioodbiornik, który kosztował wówczas więcej niż wyniosła przynajmniej rządowa nagroda. Sprawa się rozmyła, radio gra do dzisiaj. Oczywiście mam zgłoszenie w Urzędzie Patentowym, ale o prawa patentowe nie występowalem. Po co mam płacić „podatek” roczny za przedłużanie patentu, którego nikt nie chce wykorzystywać, nie chce wdrożyć?...

STUDENTEM BYŁ KRÓTKO

Politechniki Warszawskiej, gdzie rzecz jasna — wybrał elektronikę. Wyleciał po pierwszym roku. To ponoć charakterystyczne dla wielu laureatów różnych specjalności, którymi na dobrą sprawę nikt się później nie interesuje, nie rozwija ich uzdolnień. Świetny matematyk może robić błędy ortograficzne, na elektroniczne tajniki miał opanowane w stopniu przewyż-

szałym studentckie potrzeby, ale te kłopoty z rysunkiem...

Zaczął pracować w Centralnym Ośrodku Badawczo-Rozwojowym Elektroniki w Warszawie, którego dyrektor był świadkiem jego sukcesów w konkursach i zaproszono go na kiedyś stanowisko u siebie. Mieszkał młodziem w tym czasie w Konstancinie; gdy otwierał drzwi wejściowe — śnieg syłał się wprost na pościel. Nie przeszkadzało mu to wtedy. Jak zwykle całe dnie spędzał nad specjalistycznymi urządzeniami, w laboratoriach. Rozpracowywał szczegółowo systemy zabezpieczeń mieszkań i samochodów. Wtedy nie przywiązywano jednak do tych spraw większej wagi — ludzie wierzyli w PZU...

Dziewczyna Janusza — Urszula, późniejsza żona, studiowała w Częstochowie. Te odległości były nie do zniesienia — zrezygnował z pracy w COBR i przeniósł się do Częstochowy. Wkrótce rozpoczął pracę jako szeregowy elektryk w hucie im. Bieruta. Nie przypuszczał zapewne, że będzie tu wkrótce autorem kolejnej afery. Początki były ciężkie, biegł w teren,

DARIUSZ DOROŻYŃSKI

Garb Edisona

a bał się tych napięć, wysokich mocy. Dziś żartuje, że ze strachu dostawał wówczas zmarszczkę na tyłku. I przypadek...

Elektrycy w hucie dysponowali kupionym za ciężkie pieniądze tzw. radarem — urządzeniem do wykrywania uszkodzeń w kablach. Producent z RFN zalecał wręcz sprzedaż ze specjalnej konstrukcji „mercedesa” — mikrobusa, dysponującym m.in. przystosowanym do transportu delikatnej maszyny zawieszonym. Elektroniczny radar wożony „Osinoobusem” szybko przestał działać. Janusz zadeklarował się, że go naprawi. Pierwszą odpowiedzią był śmiech: — Nie tacy jak ty, ale specjaliści z naszej Politechniki nie mogli dać rady...

Wreszcie dyrekcja wyraziła zgodę. To był już postęp: siedział w cieple i diuab! Po tygodniu urządzenie było naprawione, ale świadomie udawał jeszcze dwa miesiące, że usuwa jakieś uszkodzenia. Nie chciał mu się chodzić po tych podstacjach, a wiedział, że nikt i tak nie stwierdzi, czy radar działa czy nie!

Przeniesiony został wówczas w nagrodę, jako konserwator urządzeń elektronicznych, na walcownię blach grubych. Szybko też sterowane komputerem walcarki przestały być dla niego tajemnicą. Równie szybko spostrzegł jeden istotny mankament: w piecach, gdzie blachy były wygrzewane przed walcowaniem nie było sygnalizacji położenia blachy. Miały tę pracę co prawda wykonywać specjalne łańcuszki wolframowe, ale te upalały się często w zetknięciu z czerwoną blachą, a jeśli taki kawałek wolframu spał na blachy, operator nie zauważył i blacha szła na walec — groziło tym ostatnim poważne uszkodzenie. A jeden „walczyk”, bagnetka, kilka milionów złotych. Brak wspomnianej sygnalizacji był bardzo kłopotliwy — w piecu śpiętrzały się blachy, spadały ze specjalnych rolek, mnożyły się przestoje.

Krótko mówiąc — postanowił i ten problem rozwiązać. Odrzucał znowu:

— Człowieku, Politechnika męczyła się kilka lat i zrezygnowała...

Ale nie zraził się. Najpierw przeformułował pomysł w teorię. Wydebił kwartał spokoju i ze starej blaszanej szafki ubraniowej zbudował prototyp. Pierwsze demonstracje, pierwsze bardzo pozytywne opinie. Janusz, wykorzystując zasadę tłumienia fal radiowych (hartowane blachy przechodziły między wolframowymi antenami) zapewniał ocenę położenia blachy z dokładnością do pół metra. Wspomniane łańcuszki, jeśli w ogóle działały, legitymowały się dokładnością do sześciu metrów.

Oficjalna premiera, eksperci z AGH, Politechniki Częstochowskiej, innych hut. No — rewelacja, gigantyczne oszczędności, niezawodność, możliwość zastosowania w wielu zakładach. Potrzebna była tylko produkcja. I wtedy

ZACZAŁ SIĘ HANDEL

Huta Bieruta była w stanie dać 3 miliony na wykonanie pierwszego urządzenia. Politechnika, która będąc na miejscu zgłosiła chęć podjęcia produkcji — chciała wycisnąć na ten cel 10 milionów. Janusz, który zgłosił swój pomysł jako zastrzeżenie patentowe, ocenił, że za pół miliona można spokojnie wykonać całą pracę, wraz z układem automatycznego sterowania. Huta więcej nie chciała dać, Politechnika — ruszać z produkcją. I sprawa utknęła w miejscu. Do dziś. Autor tylko nie mógł znieść ludzkiej głupoty, biurokracji, marazmu. Wyjechał z Częstochowy, gdzie nie miał żadnych perspektyw, nie tylko mieszkaniowych...

Nie były to jedyne „afery” w życiu Janusza. Furorę jeszcze wcześniej wywołał wykonany przez niego tzw. szeptosłuch. Zbudował go dla dyrektora domu kultury w Zdunskiej Woli, gdzie pracował przed maturą. Dyrektor cierpiał na osiemdziesięcioprocentową utratę wzroku i Janusz szczerze chciał mu pomóc. Urządzenie składa się z dwóch części, każda wielkości paczki papierosa. Obie posiadają czułe mikrofony i osoba niewidoma może porozumiewać się na przykład w kinie z drugą osobą, relacjonującą jej treść filmu.

Przyrząd wzbudził wielkie zainteresowanie, szczególnie w Polskim Związku Niewidomych. Znowu recenzje w prasie, a po prezentacji na giełdzie aparaty medycznej w Poznaniu — konkretna propozycja z tamtejszej Akademii Medycznej.

— Kapitalna historia, jeszcze dziś chce mi się śmiać — gospodarz zapala kolejnego „carmena”. — Dostałem z AM list z prośbą o udostępnienie prototypu i dokumentacji, bowiem mają zamiar podjąć się produkcji. W kopercie oprócz listu znalazłem 500 złotych. Wysłałem

paczuszkę listem poleconym, nie przypuszczając, że szeptosłuch już do mnie nigdy nie wróci. Oczywiście, nie ma żadnej, nawet informacyjnej serii, a moje w tej sprawie interwencje pozostały bez odpowiedzi.

To była szansa dla niewidzących. Nawiasem mówiąc, opracowałem jeszcze inny aparat, do błyskawicznej nauki czytania; samemu, bez osób postronnych. Nikt się nie zainteresował, poza związkiem. Proszę pana, ale oni nie mają przecież pieniędzy, kto zatem sfinansuje prototyp? Znowu mam tworzyć sobie a muzom, finansować całe przedsięwzięcie, bez szans, że urządzenie kiedykolwiek będzie produkowane? Cóż, związek jest w tym kraju na jałmużnie. Niestety. Gdyby ktoś np. w ministerstwie zdrowia oślepił — myślę, że byłaby szansa dla mojego szeptosłuchu i aparatu do nauki czytania...

DZIEŃ DZISIEJSZY

— Dziś? No cóż, pracuję, studiuję, fetysz tytułu obowiązuje przecież nadal. Mam świadomość,

że studia nic mi nie dadzą, włącznie z pieniędzmi, mogą być jedynie pomocne.

— Magia papierka?

— Oczywiście, ludzie z nim właśnie utożsamiają posiadanie kwalifikacji. Słyszał pan kiedyś, by ktoś kwestionował szarych wygłazane przez doktora nauk?

— Czy po smutnych doświadczeniach oddał się pan już całkowicie ciepłym bambosom?

— Ależ skąd! Pomysłowo mam wciąż dzieciaki. I wiele z nich realizuję w praktyce. Powiedzą jednak wyraźnie: żadnego nie mam zamiaru zgłaszać do urzędu patentowego.

— ???

— Dopóki nie zmieni się u nas obowiązująca sytuacja, w której pomysł przynosiący wymiernie zyski społeczeństwu, oszczędzający często miliony złotych czy twardej waluty nie ma szans realizacji.

— Chyba w pańskim przypadku sprawa nie rozbija się tylko o te wstrętne pieniądze?

— Nie, u nas po prostu nie ma modelu sukcesu na drodze wynalazczości. Ale bez pieniędzy nie ma wynalazków. Górna granica za dobry pomysł wynosi 1 milion złotych. Mamy mnóstwo zdolnych ludzi, nie słyszałem by któryś otrzymał milion za swą pracę. Znam natomiast wielu, którzy stracili mnóstwo czasu i własnych pieniędzy, przysporzyli krajowi milionowych zysków czy oszczędności. W „rewanżu” otrzymując 10 czy 15 tysięcy złotych. Teraz mówi się o podatku od wynagrodzeń, który dotknął nie tylko twórców. To już sprawa „kładek” całkowicie.

— Same pieniądze — ktoś to powiedział — szerszemia nie dają...

— W tym wypadku dają. Jeśli twórca mógłby większą kwotę otrzymać, to automatycznie mógłby przeformułować koncepcję wdrożenia lub sam nawet rozpocząć produkcję. Byłoby to logiczną konsekwencją, z pożytkiem dla wszystkich. „Robicie? Nie? To produkuję sam, mam na to kapitał.” A dziś powiększamy tylko grono „półkowników”.

— Przepraszam, jakie grono?

— Tych, których patenty zalegają półki, bo nie ma chętnych do podjęcia produkcji.



— Na gorąco: jaki pomysł dla firmy dysponującej no, dużym kapitałem?

— Choćby nowoczesne systemy zabezpieczające przed włamaniem. Ale wiem, że żadnej firmy państwowej to nie zainteresuje. Wiem z praktyki...

— Niemożliwe...

— No, to szybko opowiem. „Pewery” w całym kraju stosują przestarzałe, a drogie i często się psujące urządzenia typu „Nubis”. Zaproponowałem jednemu z dyrektorów własne rozwiązanie, sprawdzone w moim domu. Ultra-dźwiękowe, okien nie szpeci, bo go nie widzą, zabezpiecza całe pomieszczenie z sufitem włącznie, nie wymaga konserwacji.

— Na jakiej zasadzie to cudo w ogóle działa?

— Bardzo proste: ruch jakiegokolwiek ciała w pomieszczeniu powoduje uruchomienie urządzenia alarmowego. I żaden złodziej go nie wyłaczy. Dobrą cechą urządzenia jest również reakcja na ruch powietrza na przykład w czasie pożaru. Praktyczna demonstracja bardzo przypadła dyrektorowi do gustu: z odległości pół metra zapalona zapałka spowodowała włączenie alarmu.

— A całe urządzenie, jego przydatność?

— „Fajna zabawa” — orzekł. — Stwierdził krótko, iż z punktu widzenia społeczeństwa jest to wysoce celowe, uzasadnione wręcz, z punktu widzenia firmy — nie widzi potrzeby...

— Nie mają włamań?

— Mają, ale kto się tym przejmie. Na włamanie nikt nie traci (poza społeczeństwem), robi się protokół, PZU wypłaca i pracujemy dalej. Poza tym są wtedy różne okazje prze-ceny. I zakończył dyrektor rozmowę: — Panie, jak by to był mój prywatny „Pewer”, to co innego...

— Znowu sprawa się rozmyla...

— Tak, ale i ja zmadrałem — staram się nie uszczęśliwiać ludzi na siłę. Jak okradną dyrektora w domu — to się do mnie zgłosi. A ja mu po starej znajomości urządzenie zabezpieczające wykonam.

— Wspomniał pan o takich, wykonanych już dla paru osób w kraju.

— Owszem, jedno z pierwszych wykonałem jeszcze w Konstancinie, w willi byłego promienista. Służyło i myślę, że nadal służy — znakomicie. Pamiętam, podczas próby umieszczone na dachu syreny tak ryknęły, że w domku oddalonym o ponad 600 metrów kobitka wylała z przerażenia cały gąsior z zacięciem. Myślała, że naloł...

— Zamiast tracić czas na opracowywanie wniosków, których realizacja stoi pod znakiem zapytania...

— ...bawię się w opracowywanie i samodzielne wykonywanie oryginalnych systemów zabezpieczających. Często decyduje również fantazja zainteresowanego. Ma pan na przykład w zegarku umontowane male urządzenie, które nadaje odpowiednio zakodowany sygnał. Nadany przez drzwi wejściowe powoduje odblokowanie zamków i włączenie systemu alarmowego. Samo urządzenie w domu jest nieważliwe na uszkodzenia instalacji, wyłączania prądu, ma zdolność samonaprawiania się (w przypadku uszkodzenia jednego bloku włącza się drugi, rezerwowy). Nawet ja nie mogę się tam włamać, bowiem treść sygnału układa sam posiadacz, a wariantów może mieć setki.

— Są to urządzenia drogie i zapewne nie nadające się do seryjnej produkcji?

— Oczywiście, produkcja seryjna wyklucza indywidualizację, a odbiorcom na tym zależy. Tego typu zabezpieczenia stosują ludzie bogaci, koszt samych materiałów, gdzie wykorzystuję sporo elementów importowanych, przekracza zwykle 200 tysięcy złotych. Takie zabawy są dość drogie. Wie pan, zrobić można wszystko. Na kłaniecie czy pstryknięcie palcami może się pan włączyć światło lub telewizor. Jest tylko kwestia ceny.

— A dla dysponujących hm, trochę mniejszymi zasobami gotówki nie pan nie ma pod ręką?

— Dlaczego nie. Mogę chętnie rozpocząć produkcję urządzeń nieco prostszych, nie tak wyrafinowanych technicznie, a zatem i tańszych, a nie mniej skutecznych. Może to być zabezpieczenie mieszkań czy samochodów — takie jak pan widział. Niezbędny jest — jak to ładnie określa — sponsor, bowiem sam nie jestem w stanie spraw tego typu sfinalizować. Wie pan, nasza trójka, pieś, wynajęte mieszkanie i moje zarobki w granicach 10 tysięcy. A wszystkie oszczędności ładuję w specjalistyczny sprzęt, który jest mi niezbędny.

— Ile by mniej więcej taka samochodowa fantazja miała kosztować?

— Myślę, że około 10 tysięcy. Z zabezpieczeniem opon włącznie.

Zegnam się z sympatycznym gospodarzem i jego rodziną. Uzgadniamy, że nie podajemy nazwiska ani adresu. Włamania — jak sam rzekł — się nie boi, ale po co głupie docinki choćby w pracy. Wystarczająco wiele razy już się w życiu sparzył. Wychodząc ome nie wybiłem sobie oka wpadając na zwisającą nad drzwiami w ciastym przedpokoju wędkę.

— O widzi pan, od półtora miesiąca jestem posiadaczem karty wędkarskiej, a od miesiąca pracuję nad urządzeniem odganającym... komary. Próby wypadają pomyślnie, komary nie znoszą ultradźwięków. O, nie opowiedziałem jeszcze panu o obrotowych antenach telewizyjnych, czy sterowanych zdalnie zabawkach dla maluchów. Ja nie rezygnuję, pomysłów mi nie brakuje, tylko ten garb czasem ciąży...

Ciąg dalszy sprawy 12 letniej Agnieszki

Sprawa 12-letniej Agnieszki, której brzydzi się matka, wzbudziła duże zainteresowanie społeczeństwa. W 29 numerze „Odgłosów” opublikowałem już część listów prezentujących zdania i opinie w tej sprawie. Dziś następna porcja korespondencji.

LISTY

„Chętnie bym wzięła tę dziewczynkę. Bardzo źle, że przyjaciel stawiany jest na pierwszym miejscu, a nie dziecko.

Pragnę by dziecko to znalazło opiekę i spokój w naszej rodzinie, a wyrodna matka niech do-
browolnie wyrzeknie się praw rodzicielskich. Mimo że z mężem mamy już dwójkę dzieci jesteśmy gotowi adoptować Agnieszkę...”

Janina i Zbigniew Karolakowie

„Kocham dzieci. Mam swoich siedmiu, ale gdyby dziewczynka chciała mieć własny, prawdziwy dom, przyjadę po nią nawet dziś”.

Wanda Z.
Tomaszów Maz.

„Bardzo bym chciała pomóc temu dziecku, a co najważniejsze zastąpić jej wyrodną matkę. Dajcie ją nam, stworzymy dom, którego tamta i jej przyjaciel nie są w stanie zapewnić...”

W. Urbasińska z Solca

„Jestem samotną kobietą i wychowuję dwie córki. Dajcie mi tę dziewczynkę. Będzie z nami szczęśliwa. Mam dobre warunki. Jestem pielęgniarzką, nie mam przyjaciela i nie mam się czego wstydzić przed sąsiadami.

Skontaktujcie mnie z tym dzieckiem. Pojadę po nią i zabiorę tak jak jest u Was. Ubrań i jedzenia wystarczy dla nas wszystkich. Mam duże serce i miejsce dla tych, którzy chcą i potrzebują naszych uczuć...”

Elżbieta Śpiwak
Sandomierz

„Jeżeli seks przesłonił jej uczucie matki, to niech mi odda swoją córkę. Mam pięcioro własnych dzieci, które sama wychowuję od 7 lat, to znajdzie się i chleb także dla Agnieszki...”

Asiu! Podaję Ci mój adres. Przyjdź do mnie, kiedy tylko zechcesz. Redaktor Ci w tym pomoże to dobry człowiek. Jeżeli nie będziesz mogła na stałe, zapraszamy na wakacje. Mam córkę w Twoim wieku, na imię ma Magda. Będzie Ci u nas dobrze! Nie martw się, są jeszcze matki, które naprawdę kochają swoje dzieci. Do zobaczenia u mnie!

Marianna Szpilg
w. Prusie

„Serce może pęknąć z bólu jak się czyta o tej dziewczynce, która chce być tylko z matką. Co to znaczy, że matka się na niej zawiodła? Czy to dziecko ma być obciążone winą za nieudane życie tej kobiety? Co to dziecko zrobiło, że matka się jej brzydzi? Że ucieka z domu? Przecież to protest, to bunt przeciw tamtemu panu. Jakże on ma prawo do bicia. Co jest warta matka, która nie umie wybaczyć dziecku? Przecież matka to jedyny (podkreśliła autorka listu — inf. autora) człowiek na świecie, na którego powinno się zawsze liczyć, bez względu na okoliczności...”

Życzę tej dziewczynce, żeby odmieniło się jej życie i szybko zapomnieli o bolesnych doświadczeniach!

Jestem matką trojga dzieci (małych bliźniąt, chłopców i 9-letniej dziewczynki). Nie zawsze wszystko układa się dobrze. Nie wyobrażam sobie jednak, bym mogła kiedykolwiek mojemu dziecku powiedzieć „brzydzię się tobą”. Ja brzydziłabym się sobą!...”

Maria Woźniak
Warszawa

„Jestem bardzo samotna. Sama wychowuję syna, Ariela. Poświęciłam się tylko dla niego, a w tej chwili Ariel ma 10 miesięcy. Jest tylko i wyłącznie na moim utrzymaniu. Nie mam urlopu macierzyńskiego i alimentów. I muszę sobie dać radę bez przyjaciela czy konkubina. Chętnie bym wzięła tę dziewczynkę, gdybym mogła stworzyć jej warunki. Bardzo źle, że przyjaciel jest ważniejszy od dziecka...”

Zofia Ol...

„Mam dwoje dzieci — 11-letnią córkę i 22-letniego syna, który jest w wojsku. Jeżeli jest to możliwe to przyjmę to dziecko do naszego domu, nawet od dziś...”

Mirosława Podlipin
Starachowice

„Serce boli na taką krzywdę dziecka. Pragnę ją wziąć i wychować jak swoje. Mam 10-letnią córeczkę i z Agnieszką będą razem jak siostry w dobrej i zdrowej atmosferze rodzinnej. Dajcie ją nam, będzie miała prawdziwy dom”.

Maria i Ryszard Sotkowie
z Kalisza

„W chwili, kiedy mąż porzucił mnie z 14-letnią córką, byłam kobietą młodą i miałam wiele okazji aby moje samotne życie zamienić w małżeństwo. Nie uczyniłam tego tylko ze względu na dziecko. Bałam się po prostu konfliktów, jakie mogłyby wynikać z późniejszym naszym życiem.

Dziś moja córka ma 22 lata i od roku jest mężatką.

W dwa miesiące po jej ślubie poznałam dobrego, uczciwego i inteligentnego człowieka. Dziś jest już moim mężem.

Gdyby istniała taka możliwość, to z otwartym sercem wraz z mężem zabierzemy Agnieszkę do siebie. Mąż jest marynarzem, ja nie

pracuję i swój czas mogłabym poświęcić Agnieszce. Przede wszystkim stworzyć jej prawdziwy dom...”

Barbara Wilikoda
Szczecin

„Przejechałam do głębi losem Agnieszki, proszę Pana o przysłanie jej adresu. Chcę jej jakoś pomóc. Zaczę od listu i zaproszenia na wakacje.

Z góry dziękuję i pozdrawiam, życząc wytrwałości w walce o szczęście dzieci niekochanych! Jest ich tysiące i miliony ludzi obojętnych na ich los.

Hanna Baryczowa
Kraków

„Chciałabym bardzo zmienić dzieciństwo Agnieszki i zastąpić jej matkę. Ja mam troje dzieci. Mieszkamy na wsi. Mam 34 lata, mąż 38. Zajmujemy się hodowlą świń, wiedzie się nam dobrze. Myślę, że Agnieszka czułaby się u nas dobrze i szybko zapomniałaby o tym przykrym dotychczasowym dzieciństwie.

Janina Bobrowicz
Biała Wieś

„Pytam dlaczego zmuszacie, lub chcecie zmusić, matkę do powrotu Agnieszki do domu. To będzie dalsze znechanie się nad dzieckiem. To

Dajcie mi ją...

jest zły człowiek, nigdy nie przytuliła dziecka, ale obowiązki egzekwuje.

Dziewczynkę zapraszam do siebie na wakacje. Zapewnię jej opiekę, bo pracuję na pół etatu. Mam domek w ogrodzie, a oba psy zaprzyjaźniły się z nią bardzo szybko. Jeśli zechce pozostanie u mnie do pełnoletności. Nie widzę, że Agnieszka nie ma krewnych. Gdybych miała, to nie pozwoliłabym, by musiała przebywać pod opieką społeczną”.

Jolanta Wysocka
Gdańsk

„Jestem przekonana, że jeżeli ta dziewczynka wróci do domu, to stanie się to jej wielką krzywdą...”

Ale, gdyby była możliwość, to z całym sercem wezmę tę dziewczynkę do siebie. Starcza dla nas, wystarczy dla Niej. Tym bardziej, że to dziecko nie jest jeszcze zepsute, a tylko opuszczone...”

Bardzo proszę, niech Pan napisze co dalej dzieje się z Agnieszką? Proszę mi podać jej adres. Chcę jej i innym niekochanym dzieciom trochę pomóc...”

Krystyna Stal
Warszawa

„Interesują nas dalsze losy tego dziecka. Oferujemy swoją pomoc. Dlatego bardzo prosimy Redakcję o bliższe dane o Agnieszce i skontaktowanie z osobami, które do tej pory opiekują się dziewczynką...”

Za pracowników POM w Górze
Edward Woźniak

„(...) „Miła” Pani! W związku z dwukrotną Pani wypowiedzią na temat małej Agnieszki (radio i „Odgłosy”), niech mi będzie wolno zadać Pani kilka pytań, na które nie oczekuję odpowiedzi. Odpowie na nie Agnieszka za kilka lat.

Co Pani czuje na widok zadowolonych i uśmiechniętych rówieśniczek Pani córki? Cóż dał Pani konkubin, że brzydzi się Pani własnego dziecka? Co to za rodzaj „miłości” w imię której wyrzeka się pani dziecka i chce zabić jej miłość? Czy Pani Matka postępowała z Panią podobnie? Nie! Jeżeli jest Pani osoba wierząca, to o co się Pani modli i czy ma Pani odwagę o cokolwiek się modlić? Powiedziała Pani, że chce zalegalizować swój związek małżeński, ale czy powinna Pani jeszcze rozdzielić? Czy słysząc płacz dziecka i Jego słowa „Ja chcę być z mamą, jak dawniej...”, dalej „zabiega” pani o szczęście z konkubiną, czym się Pani kieruje, o jakie szczęście tu chodzi?

Mam jeszcze kilka innych pytań, ale czas na konkluzję. Mam 30 lat i 7-letniego syna, który broi jak może i potrafi, ale jest moim szczęściem i moim życiem. Jako ojciec nie chce się dziś wypowiadać co myślę o Pani, już Pani to zapewne czytała w innych listach. Może to, że wreszcie Pani zrozumie jak faktycznie trzeba budować swoje szczęście. Jeszcze nie wszystko stracone. Agnieszka panią kocha, jeszcze!

Łącząc pozdrowienia dla Pana Redaktora wraz z szacunkiem dla Jego pięknej, potrzebnej i pożytecznej pracy dziennikarskiej!”

Janusz Mazan —
jeden z tysięcy
wychowanków domów
dziecka — dzieci niekochanych

Prezentowane tu dziś listy stanowią zaledwie część licznych i obszernych (nawet po 4—5 strony) wypowiedzi w sprawie Agnieszki. Wg-

kszość przekazałam odpowiedzialnemu za te sprawy pracownikowi Kuratorium Oświaty i Wychowania w Łodzi. Oczywiście po uprzednim zapoznaniu z nimi (i dokonaniu odpowiednich wypisów). A także zapoznałam z nimi sędzię RYSZARDĄ ROTKIEWICZĄ z Sądu Rodzinnego w Łodzi, który uczestniczył w programie radiowym „Cztery pory roku” zobowiązał się bliżej zająć się sprawą Agnieszki. Zmobilizowały go do tego cytowane dziś listy Państwa oraz telefony słuchaczy i czytelników „Odgłosów”.

Oto stenogram fragmentów rozmów telefonicznych RYSZARDĄ ROTKIEWICZĄ:

1.

— 882-81, Radio Łódź?

— Tak, słucham sędzi Rotkiewicz.

— Ja nie mam swoich dzieci — głos starszej kobiety — Do dnia dzisiejszego to macierzyństwo we mnie tkwi. Ja bym wzięła to dziecko. Dajcie mi ją.

— Tylko jak rozzerwać tę łączność matka — dziecko. Pani słyszała, że Agnieszka chce być z matką. Chociażby była to matka najgorsza...

2.

— (...) Pojadę po Agnieszkę sama. Jestem biedna kobieta mam małą pensję, ale dam dzie-

wiele dzieci od 5 do 17 lat. Ta najstarsza wysłana jest już ood „Kaskade”.

— Natychmiast zainteresuję tą sprawą Przewodniczącą Wzrostu Sądu oraz kuratora.

— O to właśnie chodzi...

10.

— (...) Ja jestem babką dziecka. Małżeństwo jest rozwiedzione. Matka po kilku latach wzięła sobie pana o 11 lat młodszego z przeszłością kryminalną. Dziecko buntuje się, jest niezdyscyplinowane, wagaruje. Matka często wyjeżdża, nie zajmuje się dzieckiem, systematycznie. To ja chodzę do szkoły i kontaktuję się z nauczycielami.

— W której klasie jest dziecko?

— W VI. Co robić w takiej sytuacji? Matka nie pozwala na kontaktowanie się dziecka z ojcem i ze mną nawet na rozmowy.

— Proszę opisać to wszystko z wnioskiem albo o widywanie się z dzieckiem, albo też o ograniczenie władzy rodzicielskiej matce na korzyść ojca.

— To jest możliwe?

— Oczywiście. Jeśli udowodni pani, że matka negatywnie postępuje względem dziecka, nie zajmuje się nim systematycznie, to są nawet podstawy do ograniczenia władzy rodzicielskiej przez umieszczenie np. u pani jako w rodzinie zastępczej.

— Bardzo bym tego chciała.

— Może pani z takim wnioskiem też wyta-
pić. Moim zdaniem, trzeba tu szybko ingerować. Dziecko wkroczyło w bardzo niebezpieczny wiek rozwoju...

ZAMIAST KOMENTARZA

Zatrzymuję magnetofon. Zamiast komentarzem zakończę listem, który zastąpi chyba komentarz. Jego autorką jest Elżbieta Jęsek z Koszalina.

„Moi rodzice byli ludźmi prostymi. Ojciec był szewcem a mama zajmowała się domem i do pracy poszła dopiero wtedy, kiedy brat ukończył 18 lat, a ja 12. Wychowywała nas Ona. Ojciec był tylko obok. Nie, ale był zawsze i miał naszą miłość i szacunek. Matka nie przeczytała żadnej książki o wychowaniu dzieci, nie słuchała na ten temat audycji radiowych. Kierowała się instynktem macierzyńskim, który okazał się absolutnie niezawodny. Nauczyla nas uczciwości życiowej, szacunku do ludzi starszych i do wszystkiego co żyje, wreszcie szacunku dla dobrej pracy i jej znaczenia. Wychowywała nas systemem nakazowo-zakazowym i własnym przykładem, ale wiedzieliśmy, że nas naprawdę kocha...”

1.

— Mam 18-letnią córkę i nie mam z nią żadnych kłopotów. Chciałabym w jakikolwiek sposób pomóc Agnieszce. Mogę ją zabrać do siebie na soboty i niedziele.

— W tej sprawie skontaktuję panią z kierownictwem Pogotowia Opiekunczego w Łodzi. Tam takich Agnieszek jest wiele...

2.

— (...) Jestem młodą kobietą, mam 3-letnią córeczkę. Te Agnieszki chętnie zaadoptuję. Czy jest to możliwe?

— Jak pani słyszała Agnieszka tęskni za matką, chce być tylko z nią...

— Tak, ale ona tam nie ma domu, my jej ten dom stworzymy.

— To są ciężkie sprawy.

— Ja jej dam wszystko co może dać matka, bo ja już drugiego dziecka nie mogę mieć. To sprawa uzgodniona z mężem. Gdzie mamy złożyć dokumenty?

— A może przyjmą państwo inne dziecko?

— A można je adoptować?

— Są takie możliwości. Proszę przyjdź do mnie do Sądu Rodzinnego. Porozmawiamy.

— Przyjdziemy razem z mężem...

3.

— (...) Mnie w tej sprawie denerwuje fakt (głos mężczyzny w średnim wieku), i zadaje panom pytanie, dlaczego pomijają tu tego pana konkubina? Czy to nie on jest czynnikiem decydującym o tragedii tej dziewczynki? Póki go nie było w życiu matki Agnieszki, ta potrafiła dobrze spełniać swoje matczyne obowiązki, była dobrą matką. Moim zdaniem, to on jest głównym powodem tragedii w tej rodzinie...

4.

— Sędzia Rotkiewicz?

— Tak, słucham.

— Mam troje dzieci. Już drugi rok walczę o alimenty od mojego eks-męża, właściciela dobrze prosperującego zakładu rzemieślniczego. Przez ten cały czas przekonałam się jak u nas faktycznie pomaga się samotnym matkom.

— Czy może pani do mnie przyjdź?

— Przyjdę z dokumentami. Jestem sama, nie mam kochanka, więc sama zasuwał od świtu do nocy.

— Proszę przyjdź w czwartek, porozmawiamy i postaram się pomóc...

5.

— Ja dzwonię w imieniu Komitetu Blokowego domu przy ulicy Narutowicza 25... Nasz dzielnicowy podał sprawę do Sądu dla Nieletnich o opiekunstwo kuratora. Sprawa odbyła się na początku maja. Kurator miał się z nami skontaktować bo my jesteśmy stale na miejscu i wiemy jak wygląda sprawa tej rodziny (nie chodzi tu o rodzinę Agnieszki — przyp. aut.). Pani kurator, mimo mojego telefonu, jeszcze się z nami nie skontaktowała. A tam jest

6.

A dziecku potrzeba czasem małej chwili, potrzeba wielu rodzinnych spacerów, rozmów, zabaw, potrzeba bajek i wierszy, potrzeba bliskości cielesnej i tych kolan, których Agnieszka skauila jej matka. Przecież to takie proste do spełnienia mimo przerwania. Trzeba tylko dobrze rozumieć swoje rodzicielstwo — rozumieć i mieć wolę spełnienia go... A dziecko jest tylko dzieckiem — małym lub większym egoistą, ale człowiekiem czującym, żądnym miłości i poczucia bezpieczeństwa. Dziecko nie jest rzeczą, którą można dowolnie przemieszczać, gubić, przekazywać innym lub niszczyć jego miłość. Niech o tym pamiętają matki i oikowie, bo przecież zdarzają się ludzie, że gdy będą już starzy pozostanie im drewniany, pusty talerz, i nie więcej poza gorczyzą i smutkiem...”

7.

Z listów i rozmów telefonicznych wybrał:

ZBIGNIEW KORZENIOWSKI

Od dłuższego czasu Komenda Wojewódzka Milicji Obywatelskiej miała informacje, że do Łodzi z zagranicy przemycane są spore partie zegarków elektronicznych i złota w postaci łańcuszków, w zamian wywozi się z Łodzi większe ilości srebra — jako wyrobów jubilerskich albo w postaci styków, nakładek, złepków itp.

Wreszcie następuje feralny dzień dla przemycników: w nocy z 17 na 18 marca br. milicja postanawia „zwinąć” grupę przestępczą. Dlaczego właśnie wtedy? Ponieważ wiadomo, że z Łodzi do Kutna jedzie Fiat 125p i wiezie srebro, by zdać załadować je na pociąg relacji Warszawa — Berlin Zachodni. Wszystko przebiega sprawnie i po chwili prawie wszyscy pasażerowie Fiata są w areszcie: kierowca Marian Maniek, obywatel jugosłowiański Branko Kurjak i Dragoslav Vujčić oraz żona Kurjaka — Anna. Niestety, szef gangu, Boba Popović korzystając z zamieszania, rzuca się w tłum zgromadzony na dworcu i ucieka. Oczywiście ucieka ku granicy, bowiem jako obywatel Jugosławii, może w każdej chwili opuścić nasz kraj. Ale na granicy już na niego czekają i Boba Popović trafia do aresztu.

Teraz rozpoczyna się żmudna i trudna praca dla organów ścigania. Do sprawy przystąpił cały wydział dochodzeniowo-śledczy oraz wydział do walki z przestępstwami gospodarczymi.

WYJAŚNIENIE PODEJRZANEGO MARIANA MANKA: Po załadunku paczek, które wynieśli z mieszkania Kuniy Anna Kurjak i Zenon Kuna, ja i Branko Kurjak udaliśmy się do Kutna na dworzec kolejowy. Kurjak wysiadł z samochodu i poszedł zobaczyć rozkład jazdy pociągów. Gdzie miał jechać Kurjak tego mi on nie mówił. Kurjak wrócił następnie do samochodu, wtedy powiedziałem mu, żeby zabrał swoje bagaże, ponieważ ja chcę jechać do domu. Natomiast on nie chciał zabrać tych bagaży, mówiąc mi, że ma jeszcze dużo czasu do odjazdu pociągu. Kurjak zapytał przechodzącego mężczyznę, gdzie znajduje się w pobliżu jakaś restauracja. Następnie Kurjak kazał mi zamknąć samochód i udaliśmy się do restauracji, którą wskazał przechodzielec. Jak już wyjaśniałem to poprzednio, w lokalu tym spędziliśmy jakiś czas, było tam dużo pijanych osób, doszło nawet do awantury między nimi a kelnerką. Następnie ja i Kurjak opuściliśmy ten lokal i przysiadliśmy na dworcu. Kiedy wróciliśmy na dworzec zauważyłem, że są już tam Anna Kurjak i Dragoslav Vujčić. Kiedy oni przewieźli do Kutna i czym się tutaj dostali, tego nie wiem.

Przebywając na dworcu zauważyliśmy uszczyszczone, że znajdują się tam sporo amunicyjnych funkcjonariuszy MO. Kurjak nawet wypowiedział mi kilka takich słów: „Chyba dzisiaj nie wyjdzie, bo jest dużo milicji”. W pewnej chwili Branko Kurjak kazał wyrzucić kluczyki od samochodu. Mówiąc to nie wskazał mi miejsca, gdzie mam to zrobić. Nie chciałem wyrzucać tych kluczyków, ponieważ musiałem odprowadzić samochód do Marii Walińskiej. W związku z tym nie wiedząc jeszcze co zrobić z tymi kluczykami udaliśmy się do toalety na dworcu i tam ukryłem kluczyki między skrzydła okna, które znajdowało się w tej toalecie. Wychodząc z toalety już nie zdążyłem dojść do Kurjaków i Vujčića, ponieważ zostałem zatrzymany przez milicję. Z nimi spotkałem się dopiero w komisariacie MO. Vujčić i Anna rozmawiali z funkcjonariuszami MO, a ja i Branko Kurjak siedzieliśmy w innym pokoju. Wtedy Vujčić przyłożył palec do swoich ust i to miało znaczyć, że mam milczeć, a także wykonać ruch swoją ręką pod swoją szyją, co miało znaczyć, że jeżeli coś wygadamy, to zostanie mi urnięta głowa.

W samochodzie zatrzymanym na dworcu w Kutnie znalazłem 77 kg srebra w różnej postaci: styki, złepki, nakładki (min. styki są to elementy używane do produkcji w różnych zakładach społecznych np. takich jak zakłady produkujące aparaturę radiową — „Fonica”, „Kasprzak” czy zakłady w Dzierżoniowie, a także w „Ema-Elester” albo w Zakładach Naprawczych Taboru Kolejowego itp.). Wartość zatrzymanego srebra po cenie urzędowej wynosiła ok. 2.500.000 zł. Natomiast przemycnicy zapłacili za nie dużo drożej: 1 kg o próbie 750 do 950 nabywali za sumę 65 do 90 tys. zł. Jest

Srebrny gang

Wiceprokurator wojewódzki CZESŁAW ZALEWSKI opowiada o znanej aferze przemycniczej.

to cena wolnorynkowa. Ale i tak to się opłaca, bowiem cena na rynkach zagranicznych jest dużo wyższa: 1 kg kosztuje od 350 do 500 dolarów. Gdyby się im udało wywieźć owe 77 kg srebra otrzymaliby na czysto około 5 do 7 mln złotych jako różnicę ceny.

Oczywiście nikt do srebra w zatrzymanym samochodzie nie chciał się przyznać, twierdząc, że o żadnym srebrze nie słyszeli, a kierowca twierdził, że to nie jego samochód, bo nawet nie ma do niego kluczyków.

W toku śledztwa wiele spraw, dotychczas niejasnych, udało się rozwiązać, a także stwierdzono ponad wszelką wątpliwość, że część srebra pochodzi z zakładów przemysłu kluczowego, których jest w kraju kilkadziesiąt. Pozostałe srebro pochodzi z przetopów. Teraz trzeba jedynie ustalić rzecz najważniejszą: z ilu zakładów srebro było wyroszone.

WYJAŚNIENIE PODEJRZANEGO MARIANA MANKA: W czasie pierwszego przesłuchania i składania wyjaśnień przed panem prokuratorem, jak i w dniu 8 kwietnia br. nie powtórzyłem o wszystkich faktach, które obecnie wyjaśnię i podam do protokołu, ponieważ bałem się i boję się nadal zemsty ze strony Boby Popovića, który swego czasu groził mi, że jeżeli ja kiedyś ujawnię jego działalność na terenie Polski, to on dokona na mojej osobie zemsty. Innym razem dostawił mi noż do gardła i straszył mnie, że jeżeli ujawnię fakty o nim, to mnie zabije, a także kiedyś w moim domu w obecności mojej żony uderzył mnie ręką w samochodem w głowę i powiedział mi, że jeśli go kiedyś wydam i będzie on musiał przebywać w więzieniu, to on opłaci „Anny”, którzy zemszczą się na mnie i na mojej rodzinie. Także Branko Kurjak ostrzegł, że jeżeli kiedyś komuś powiem o ich działalności, to mnie zabije.

Ustaliśmy, że ci Jugosłowianie, kilkanaście dni wcześniej, przed feralnym dla nich dniem 18 marca br., wywieźli pociągiem zdążającym z Kutna do Berlina Zachodniego około 50 kg srebra. Oczywiście musieli dobrze znać konstrukcję wagonów. Nie jest także wykluczone, że brali w tym udział pracownicy PKP. Wyjaśnimy to w toku śledztwa, które wcale nie jest łatwe, mimo że zostali zatrzymani główni „bohaterowie” afery.

Ustaliśmy także, że osoby pozostające w kontaktach z Jugosłowianami nabyli na terenie kraju około 120 kg srebra. Jest to spora ilość. Srebro to było potem przekazywane mał-

żeństwu polsko-jugosłowiańskiemu Branko i Annie Kurjakom mieszkającym w Łodzi, a będącym pełnomocnikami Boby Popovića, który także ożenił się w Polsce pozostając nadal obywatelem jugosłowiańskim. Natomiast zegarki dostarczał Annie i Brankowi sam Boba Popović. Od Kurjaków nabywali je pośrednicy-hurtownicy, rozwoząc je po całym kraju.

WYJAŚNIENIE PODEJRZANEGO MARIANA MANKA: Po dojechaniu na omawianą stację benzynową pod Łodzią, tam zatrzymaliśmy się swoimi samochodami. Następnie Popović powiedział mi, że on pojedzie swoim samochodem do Łodzi, a ja żebym czekał na niego swoim Fiatem na tej stacji. Kiedy Popović odjechał swoim samochodem, ja wysiadłem ze swojego Fiata i poszedłem do bagażnika. Otworzyłem go i zobaczyłem, że w bagażniku mojego Fiata znajduje się neseser, który był schowany przez Popovića, kiedy wyjeżdżał z Wodzisławia. W bagażniku mojego samochodu, obok tego nesesera zobaczyłem jeszcze dwie paczki w postaci pudełek. Na tych pudełkach widniały napisy „Hong Kong” oraz jeszcze inne napisy w obcych językach, nie wiem co oznaczały i w jakim języku te napisy były napisane. W każdym bądź razie paczki te tak samo wyglądały jak paczki, które swego czasu zawiązałem do Ireneusza Orneka w Cieszkowicach. W związku z tym domyśliłem się, że w paczkach tych znajdują się także zegarki elektroniczne. Następnie zamknąłem bagażnik swojego samochodu i czekałem na powrót Boba Popovića. Po upływie ponad godziny czasu Boba Popović przyjechał ponownie do mnie na stację benzynową. Kiedy Popović podjechał na stację benzynową, zobaczyłem, że przyjechał on innym samochodem niż odjechał on do Łodzi. Za Łodzią, Popović zatrzymał się obok domu typu wiejskiego, po prawej stronie jezdni-drogi. Następnie kobieta i uszczyszczeni wsiadli z samochodem Popovića. Następnie z tego domu wyszedł do nich nieznamy mi mężczyzna. Ten mężczyzna i Popović otworzyli bramę wjazdową i Popović kazał mi wejść na podwórko tego domu. Następnie Boba kazał mi na tym podwórku podjechać swoim samochodem pod szopę. Następnie ja wysiadłem ze swego samochodu i udałem się do toalety. Kiedy z niej wróciłem, zauważyłem, że bagażnik mojego samochodu jest otwarty. Anna Kurjak, Branko Kurjak, Jan Wilk, Popović i ten mężczyzna z tego domu wyjmowali zegarki elektroniczne z pudełek, które były już rozzerwane i wkładali je do plastikowych toreb-reklamówek. Na-

stępnie Boba Popović kazał mi jechać swoim samochodem w stronę Grójca. Przed Wisłą zatrzymaliśmy się. Tam Popović przesiadł się do mojego samochodu i razem pojechaliśmy na działkę ogrodową. Na działce tej był budowany dom. Tam zastaliśmy młodą kobietę o imieniu Elżbieta. Wiem dlatego, że ta kobieta tak miała na imię, ponieważ Popović zwracał się do niej po imieniu. Tej kobiecie o imieniu Elżbieta Popović przekazał pozostałą część zegarków elektronicznych, która znajdowała się jeszcze w tej drugiej paczce złożonej w bagażniku mojego samochodu. Wiem, że ta Elżbieta mieszka w Warszawie, ponieważ w międzyczasie rozmawiałem z inną kobietą, starszą, która była matką tej Elżbiety.

Do kraju było przemycane złoto w postaci łańcuszków oraz zegarki elektroniczne. Sprzedawano to wszystko, by potem kupić srebro. Są to ogromne zyski, wielkie pieniądze, przemysł na dużą skalę. Dotychczas w areszcie przebywa 13 osób. Myślę, że w toku dalszych naszych czynności ta liczba może się podwoić. Ustaliśmy, że wywieziono z Polski srebra za sumę około 6 mln złotych płaćąc za nie około 12 mln złotych, za co dostarczono do kraju około 5 tys. zegarków (w cenie 2.200—2.600 zł za sztukę) na ogólną kwotę 17 mln złotych oraz łańcuszków na sumę około 2.200.000 zł.

Posłuży się ilustracją, która pomoże uzmysłowić wielkość dokonywanych „operacji” handlowych. Jeden z zatrzymanych, nigdy nie pracujący młody człowiek, nazwijmy go Antoni K., sprzedał Jugosłowianinowi 13 kg srebra za 1.500.000 zł, natomiast nabył od niego 1.400 zegarków za 3.200.000 zł oraz 200 g złota za 1.800.000 zł. Inny, Jacek M., także pozostający w utrzymaniu mamusi, nabył od Jugosłowianina 1.800 zegarków płaćąc od reki 3.800.000 zł. Oczywiście natychmiast je sprzedał pomniejszonym hurtownikom zarabiając na tym ciekawe pieniądze. I tak dalej i tak dalej. A weźmy jedną z głównych podejrzaną Annę Kurjak: od pewnego osobnika z Rzeszowa nabyła 28,5 kg srebra za 2.500.000 zł, od wspomnianego już Antoniego K. 13 kg srebra za 1.200.000 zł, od Wilczyńskiego 5,5 kg za 550.000 zł, od Wilczyńskiego 10 kg za około 900.000 zł itp. Albo przyjął od Popovića 900 zegarków za kwotę 2.200.000 zł lub 1.600 takichże zegarków za 3.800.000 złotych. A wszystko to są transakcje jednorazowe dokonywane od reki. Płaci się każdą sumę, choćby była nie wiem jak wielka.

WYJAŚNIENIE PODEJRZANEGO MARIANA MANKA: „Popović mówił mi, że zgłosi się do mnie ten Paweł i mam go wtedy skierować na dworzec PKP w Kutnie. Jadąc z Pawłem do Kutna zabrałem ze sobą dwa małe pudełeczka wielkości pudełek od zapalek, trochę większe, które wcześniej otrzymałem od Popovića na przechowanie. Jadąc do Kutna przejeżdżaliśmy przez Łódź. Na trasie przelotowej, którą jechaliśmy przez miasto, na jednym ze skrzyżowań, blisko miejsca zamieszkania Rostawy Chojńskiej, a więc osiedla Radogoszcz, zobaczyliśmy, że samochodem jedzie Boba Popović. Popović jechał samochodem Fiat 125 pożyczonym od Marii Walińskiej. Razem ruszyliśmy w stronę Kutna. Przed Kutnem w lesie zatrzymaliśmy się. Tam Popovićowi przekazałem te dwa małe pudełeczka, które mi dał wcześniej na przechowanie. Paweł zauważył je pudełeczka i zapytał Boba Popovića, co jest w tych opakowaniach. Popović odpowiedział Pawłowi, że wiezie łańcuszki dla Anny.

Główna postać w tej sprawie, podejrzaną Popovića jest znany organom ścigania, gdyż poszukiwała go zarówno nasza prokuratura, jak i inne prokuratury w kraju. W ogóle tych kilku Jugosłowian to zawodowcy, jeśli zawodem można nazwać przemyt na wielką skalę. Są to ludzie zdecydowani na wszystko, nie bawiący się w żadne sentymenty, z dużym doświadczeniem, posługujący się metodami zachodnioeuropejskich gangów przemycniczych. Są to osobnicy twardzi i hardzi. W czasie swojej działalności stosowali terror, jak w przypadku Mariana Manka, który popadł, tak przynajmniej wynika z jego oświadczeń, w całkowitą zależność od szefa gangu Boby Popovića. Oczywiście Maniek nie jeździł z nimi po Polsce za darmo i widocznie to mu się bardziej opłacało niż uprawianie zawodu taksówkarza w prowincjonalnej miejscinie.

WYJAŚNIENIE PODEJRZANEGO MARIANA MANKA: Jak już wcześniej wyjaśniałem, posiadam własny samochód osobowy marki Fiat 125p, którym jeżdżę w celach zarobkowych na „taksi”. W miesiącach letnich — czerwca lub lipcu 1980 r. — Boba Popović będąc kolejnym razem w Wodzisławiu, spotkał mnie w mieszkaniu mojego kolegi i zaproponował mi, abym ja swoim samochodem zawiążył go do Katowic. Jadąc do Katowic Popović opowiadał mi, że w Katowicach ma się spotkać ze swoim znajomym, nie określił bliżej tej osoby, którą ma mi dostarczyć „towar” dla jego firmy. Później powiedział, że otrzymał od tego swojego znajomego zegarki elektroniczne. Po powrocie do Wodzisławia Popović zapłacił mi dwa tysiące złotych.

„Z Katowic przyjechałem z Popovićem do Wodzisławia. Na następny dzień Boba Popović za ten wyjazd do Cieszkowic i Katowic zapłacił mi chyba 2.000 zł.

„Na następny dzień w Wodzisławiu spotkałem się z Bobą Popovićem i on mi dał 8 tysięcy złotych i sześć zegarków elektronicznych. Były to trzy damskie, aktualnie są u mnie w domu, a trzy męskie zegarki sprzedałem różnym osobom, które były moimi klientami.

Przed nami teraz rzecz najważniejsza: musimy wyjaśnić kto wynosił z zakładów srebro oraz kto i gdzie rozprzestrzeniał przemycane do kraju zegarki i złote łańcuszki. Rzecz wymaga sporo pracy, zaangażowania wielu ludzi, pochłonięto dużo czasu. Przecież w całej aferze są zamieszane osoby z różnych warstw społecznych, do tego zbywanie kontrabandy odbywało się na wszystkich barach kraju. Dziś w areszcie przebywa 13 osób i wiem, że to zaledwie część gangu. Ilu jeszcze przebywa w wolności?

Otóż pragnę zapewnić, że każdy szczegół tej niezwyklej sprawy zostanie rozwikłany i właściwie oceniony, a o ostatecznych wynikach społeczeństwo zostanie poinformowane we właściwym czasie.

Ze względu na toczące się śledztwo, wszystkie imiona i nazwiska podejrzanów o przemyt zostały zmienione.

Wysłuchał:
EUGENIUSZ
IWANICKI

Jak znaleźć srebro w... stoczni?

O wartości złota nie ma co mówić, bo wiadomo, że niejedną już osobę całkiem bezprawnie stracił głowę wąż, a o zdobycie tego złotego metalu. Niemniej i srebro także ma swoją wartość, skoro za sto kilogramów tego szlachetnego metalu można na czarnym rynku zainkasować miliony złotych. Pomysłowi ludzie wciąż znajdują sposoby zdobycia srebra, bogacąc się, a potem, jak to zwykle bywa, mają grube nieprzyjemności.

Komisariat Portowy MO w Gdyni zajmował się ostatnio sprawą małej kopalni srebra odkrytej w Gdynskiej Stoczni Remontowej „Nauta”. Jak ustaliło dochodzenie nadzorowane przez Komendę Wojewódzką MO w Gdańsku, w ub. roku wydawca magazynu nr 114 Gdynskiej Stoczni Remontowej „Nauta”, działając w porozumieniu z kilkoma innymi osobami, jak się to mówi fachowo, „zagarniali” lut srebrny oraz akumulatory. Łup wynoszono sprytnie przez bramy poza strefę kontrolowaną stoczni i sprzedawano z rączki do rączki paserom.

Rozmiary kradzieży wymagały jednak jakiegoś zamaskowania i robiono je w taki sposób, że w dokumentacji zawyżano ilość lutu wydawane rzekomo z magazynu lub dokonywano całkiem fikcyjnych rozchodów tego lutu do produkcji.

Szczęście nie sprzyjało jednak zbyt długo grupie osób podejranych w tej srebrnej aferze. Sprawa została wykryta i zaczęło się śledztwo, kontrole i przesłuchania. Aktem oskarżenia objęto 7 osób, w tym słusza stoczni Henryka S., robotników: Romana K. i Zbigniewa K., spawacza Edwarda P. i konstruktora Edwarda W.

Trudno doprawdy zrozumieć, co skłoniło tych dobrze zarabiających fachowców do parania się tak brudnym procederem. W czasie dochodzenia podejrzanym przysłał się do popienionych czynów, a w zakończeniu postępowania prokuratura wystąpiła do stoczni o lepsze zabezpieczenie cennych materiałów i baczniejszą kontrolę.

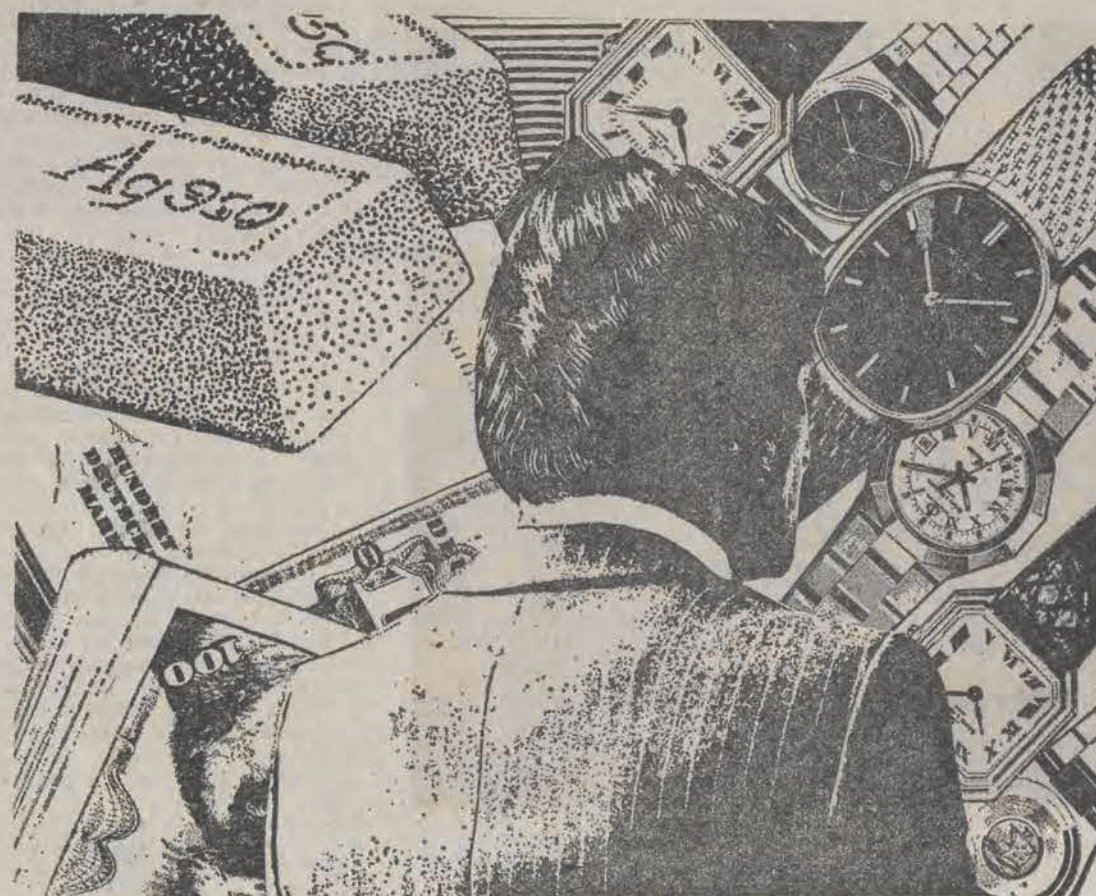
„Express Wieczorny”

Jak nas poinformował prokurator wojewódzki w Krakowie Henryk Solga, w ostatnich miesiącach znacznie wzrosła ilość kradzieży mienia społecznego i prywatnego. Niestety, nadal spotyka się wypadki zatrważającej bez troski w ochronie mienia.

Przestępcy w najprostszy sposób mają dostęp do państwowych magazynów, składów i innych miejsc przechowywania cennych surowców i materiałów. Ostatnio zanotowano 150 kradzieży kradzieży we wszystkich zakładach pracy, które do produkcji używają srebra. Sprawa dotyczy głównie tzw. stępców i srebrnej blochy. Dość powiedzieć, że tylko od 28 lutego do 12 lipca 1983 r. w największym polskim przedsiębiorstwie Hucie im. Lenina dokonano 7 włamań do różnych magazynów zagarniając srebro wartości około 5,5 miliona złotych, licząc po cennych urządzeniach.

Niefrastrasliwość w strzeżeniu państwowego mienia osiągnęła szczyt w ostatnim włamaniu do największej krakowskiej placówki „pewexowskiej” przy ul. 18 Stycznia. Złodzieje po prostu wybili szybę i dostali się do środka w czasie, gdy dwóch strażników pilnowało sklepu, a założona cenna aparatura alarmowa była akurat wyłączona.

(„Trybuna Ludu”)



Na razie członkowie komisji są wypoczęci, choć może trochę spieć obecnością kogoś (to ja), kto będzie notował każde ich słowo, ruch, analizował sposób podejścia do kandydata i oceniał ich mniejszą lub większą fachowość. Jan Machulski dokonuje formalnego podziału na specjalizacje wśród sześciu aktorów, jednego reżysera teatralnego i jednego specjalistę od badania słuchu i głosu, zgodnych z tym co na co dzień robią w uczelni.

Studentka-sekretarka wyczytuje imię i nazwisko, rok urodzenia i miejscowość, z której przybywa kandydat lub kandydatka. Przekłada teczkę osobową, do której komisja prawie nie zagląda. Robię więc to sam, badając — kto jest kto (w przypadku ciekawszych osobowości).

W drugim rzędzie siedzą asystenci, studenci i ja.

Jan Machulski: — No to zaczynamy proszę państwa. Szukamy osobowości, ludzi, którzy potrafia nas sobą zainteresować. Prosimy pierwszego kandydata.

Egzamin na aktora. Wchodzi pierwsza dziewczyna. Mówi fragment z „Burzy” Szekspira, ale tylko kawaleczek, bo zapomina tekstu. Coś niewyraźnie śpiewa.

— Czy pani ma chroniczną chrypkę, czy chwilowe zapalenie gardła?

— Mam chrypkę.

— Dziękujemy.

— Zaczęło się nieciekawie. Druga dziewczyna, Silwana (Łódź) jest już kandydatką modelową. Uroda, głos, dykcja, repertuar, śpiew — mocny i szeroki: „Zaliczył mi się łój z Pyrzyn, łój z Pyrzyn świniarz i co niedziela tu do mnie, tu do mnie przyłóż!”.

Wszystko jest w porządku. Nie widać zdenerwowania, potknięć i szczególnie niemilo tu widzianej — manier, „Kwiaty polskie”, „Pchła szachrajka”, „Fantazy”, „Stiller”. Stop.

— Proszę powiedzieć jeszcze raz to samo, ale po dużym przecięciu, jakiejś osobistej tragedii.

— Nie, nie, tak. Inaczej. — O własnie tak!

— Chce się pani płakać, ale nie aż tak, żeby lać łzy.

— Proszę bliżej. Proszę pokazać zgrzyt. W uśmiechu. Wysszczerzyć się. Z prawej. Z lewej. Proszę powiedzieć: Czapa — szafa.

— I przeczytać informację prasową o dniach w Belchatowie.

— Dziękujemy.

Czekam na konkurentki tej pewniaczki. Będzie podwyższenie czy obniżenie poziomu? Rozpracowuję wzorzec, według którego komisja egzaminuje, opiniuje i stawia punkty. Jak na razie jest on dość stereotypowy.

— Pani Bernadetto (Łódź), co tak późno zdecydowała się pani zdawać do nas?

— Długo się zastanawiałam, aż w końcu postanowiłam, że...

— No to prosimy.

— Słoneczko późno dzisiaj wstało i w takim dziwnym jest humorze...!

— Czym zajmuje się pani na co dzień?

— Skończyłam Studium Techniki Teatralno-Filmowej ze specjalizacją charakterystyka.

— Gdzie pani pracuje?

— W Teatrze Powszechnym w Łodzi.

— Dziękujemy.

— Ha, ha, ha, śmieje się nienaturalnie Urszula (Łódź) w monologu Klary ze „Ślubów panienskich”.

— Ma dziewczyna poczucie humoru i tupet — szepce ktoś z obserwatorów.

— Ha, ha, ha!

— Wystarczy pani Urszulo. Magdalena (Łódź) ubrała się w czarną, wieczorową suknię. Ale poza tym niczym się nie wyróżnia.

Przerwa.

Komisja stawia pierwsze noty i diagnozy.

— Wiersz — nie, proza — nie, wymowa — nie, piosenka — nie...

— Silwana Krokówna? Tak, tak, tak, tak. Dobrze warunki. Przechodzi do drugiej eliminacji.



Janusz Borkowski przed komisją egzaminacyjną PWSFTvT w Łodzi

Jak zostać aktorem?

Czekając na talenty

Prosimy chłopców.

— Panie Dariuszu (Łódź) może pan usiądzie i powie swój tekst w pozycji siedzącej.

— Ale ja zawsze mówiłem na stojąco.

— Tym razem zrobi pan wyjątek.

— Panie Krzysztofie (Łódź), przecież pan jest już po pierwszym roku woliennictwa Politechniki Łódzkiej?

— Ale bardziej interesuje mnie scena.

— To od czego pan zaczyna?

— Od „Trenu Fortynbrassa”. „Teraz kiedy zostaliśmy sami, możemy pomówić mości księżu jak mężczyzna z mężczyzną. Chociaż leżysz na schodach i widzisz tyle co martwa mrówka, to znaczy czarne słońce o złamanych promieniach”.

— Był pan u logopedy?

— Byłem i nie stwierdził wad wymowy.

— A ja ją dostrzegam. Pan ma szczękoscisk.

— Przygotował pan arie Bryndasa z „Krakowiaków i górali” z tańcem?

— Nie, bez tańca. „Każda mi — mówi dziewczyna, żem chłopak hozy i rosy, wysmukły jestem jak trzcina, chodzę jak zuraw wyniosły”.

Ryszard śpiewa: „Kogut zapiał ku-ku-ry-ku”.

Jarek ma nawet dobre warunki i jakąś iskrę w środku. Może więc...

Piotr mówi z tekstem w ręku, bo nie zdążył się go nauczyć. Ktoś z komisji proponuje, żeby kandydatowi ostrzyć włosy, bo nie widać twarzy.

Wszyscy chłopcy są z Łodzi. Trudno mówić o silnej reprezentacji miasta.

Kolejne dziewczęta też mieszkają w Łodzi. Miłe, ale nijakie, z wrodzonymi wadami wymowy.

Na sali zaczyna się produkować reprezentacja kraju.

Basia z Augustowa ma tragiczne warunki zewnętrzne, ale dzielnie recytuje o tym, jak to: „Rada malpa, że się śmieli,

kiedy mogła udać czeka. Widać panią raz w kąpieli, weszła pod stół, cicho czeka...”.

Jola z Płocka mówi tak ciuchutko, że nie słychać jej „Satyry na bożą krówkę” w prawie pustej przecież sali.

— Proszę pani, to jest egzamin konkursowy. Proszę mówić głośniej.

Jola dalej szepce coś o bożej krówce...

— Czy pani wie, że w Teatrze Polskim jest 800 miejsc i każdy będzie chciał panią usłyszeć?

— Niech pani do cholery krzyknie: — pali się!

— I myślę pani, że ją ktoś usłyszy?

— „Jeźtoro, jeźtoro, mętna woda w tobie” — nuci Jola.

— Dziękujemy.

Dorota z Biłgoraja ubrała się w długą, fioletową suknię w kwiaty. Zapewna taka jest moda w Biłgoraju.

Komisję mniej interesuje „Pan Tadeusz” i wiersz Gałczyńskiego w interpretacji Do-

roty, choć recytatorka zdobyła wyróżnienie na wojewódzkich eliminacjach.

— Czy dawno ściera pani włosy?

— Nie, tuż przed egzaminem.

— Szkoda. Proszę podnieść suknię za kolana.

— Dziękujemy.

Anita z Warszawy wciela się w Jagnę z „Chłopów”. Gra ostro, z temperamentem.

— Gdzie pani pracuje?

— Jestem suflerką w teatrze studyjnym.

— Po co robi pani takie straszne miny? Proszę powiedzieć tekst raz jeszcze. Bardziej od siebie. Zwyczajnie.

— Nie, nie tak. Prościej.

— Co pani zaśpiewa?

— Pieśń z repertuaru Chóru Stefana Stulgrosza.

— Może coś łatwiejszego?

— „Pośród ogródeczka stoi jabłoneczka”.

— Kto tak nakreślił tę dziewczynę? Trzeba przyznać, że włożył dużo pracy. Dla nas jest zbyt gotowa.

Małgorzata ze wsi Rogoźno jest miniaturą (wzrost) w supermini spódnice. Śpiewa przebój Barbary Rylskiej: „My jesteśmy mocne, silne, wy słaba pleć, lecz gdy chcemy to możemy zaraz was mieć...”.

— Przerwałam końcowe egzaminu w szkole cyrkowej, aby tu przyjechać.

— Miło nam. Jaka jest pani specjalność w cyrku?

— Woltżerka na koniu.

— Dziękujemy.

Elwira z Radomia zaczyna swój egzamin od śpiewu i tańca.

— „Hi-hi, ha-ha, hu-hu, hej-hej”. Elwira piszczy i wywija dziarsko cholupce.

— Co robiła pani po maturze?

— Kiedy nie dostałam się do PWST w Warszawie, postanowiłam nie wracać do domu. Chodziłam po warszawskich teatrach i prosiłam o przyjęcie. W końcu zaangażowano mnie w charakterze adeptki do Teatru „Ateneum”. Muszę zostać aktorką!

Jolanta z Białegostoku jest jedyną dziewczyną w spodniach. Robi wrażenie zaspanej, takiej co to dopiero wstała z łóżka. Wciąż drapie się po głowie.

— Czy panią coś gryzie?

— Mnie? Nie, nie, ale jestem zdenerwowana. Teksty mówiałam nieźle w domu.

Przerwa. Komisja ze zdumiewającą szybkością otwiera „worek”, do którego wrzuca po minimalnym namyśle losy ludzi.

— Tak — nie, tak — nie.

Nie, nie, nie.

Kto na tak? Raczej przecieżność, choć ogólnie zdrowa. Kto na nie? Niestety, sporo ciekawych indywidualności, gotowych aktorów, lekko scho-

rzalnych.

Po przerwie. Józek z Wierzbicyna ma 18 lat, ale wygląda na lat 15.

Swoje wierszyki mówi jak chłopczyk na szkolnej akademii. Jest taki nieporadny. Ma wadę wymowy. Komisja zatrzymuje się przy nim dłużej i pyta o piosenkę.

„Wlazł kotek na płotek i mruga. Ładna to piosenka, niedługa”.

— Józku, spróbuj zaśpiewać nam tę piosenkę o kotku w różnych wariantach interpretacyjnych?

Józek zdobywa się na takie pokłady „komizmu”, że omal nie przechodzi do drugiej eliminacji. Widzę, że i komisja miewa poczucie humoru. Ale mnie jest raczej smutno.

Bożena (Łódź) to skrajny przykład dziewczęcego infantylizmu. Nawet repertuar dobrała w odpowiedniej proporcji do swojej osobowości. Wiersz: „Najdroższy papo”. Piosenka: „Krasnoludki mają male budki”.

— Pani ma przodujący zgrzyt?

— Tak. W dzieciństwie nosiłam na ząbkach maszynkę korekcyjną.

— To widać. Dziękujemy.

Dariusz z Konstanczowa ubrał się we frak ze wszystkimi niezbędnymi dodatkami. Już samym wejściem robi wrażenie na komisji. Może właśnie o to chodziło?

Zaglądam do teczek osobowej kandydata.

„Inteligentem zostałem po ukończeniu LO w Konstanczowie. W tym samym roku PWSFTvT nie dała mi szansy zdobycia tytułu magistra sztuki, nie przyjmując mnie na wydział aktorski. Zdałem więc na pedagogikę UL. Jestem na IV roku”.

— Dlaczego ubrał się pan we frak?

— Bo wisiał w szafie.

— Nie ma jak szpan, prawda?

— Czy to do mnie?

— Do pana. Czy może pan

mówić niższym głosem?

— Mogę.

— Prosimy mówić głośniej. To egzamin konkursowy. Chcemy pana usłyszeć. Niech pan nas zainteresuje tym co mówi, a nie tym jak wygląda.

— Czy mogę napić się wody?

— Oczywiście.

— No to siurym! Lu!

— Proszę zdjąć górę fraka. Będzie panu lżej przy śpiewaniu piosenki. Co pan zaśpiewa?

„Rozszumiały się wierzyby płaczące, rozplakała się dziewczyna w głos”.

— Ubrał się pan we frak, śpiewa poważną pieśń, a ładuje ręce do kieszeni? To chyba nie jest w porządku?

Po wyjściu komisja ocenia (nieoficjalnie, między sobą) kandydata: „Cham we fraku”.

Renata (Łódź) dwukrotnie wygrała łódzkie eliminacje konkursu recytatorskiego. Może dlatego jest taka pewna i usmiechnięta. Wręcz radosna. Jej słynna i niezbyt nieskalana świeżość pierwszej recytatorki Łodzi nie robi na tej komisji żadnego wrażenia. Ocena nieoficjalna? „Nijaka. Pitu-pitu z aksamitu”. No cóż, gusty fachowców są różne.

— Pani Kasiu (Łódź), dlaczego ma pani wciąż otwarte usta? Proszę je zamknąć.

— Nie może pani? Trzeba coś zrobić, aby naciągnąć górną wargę na dolną.

— Ale na to trzeba czasu, może więc za rok?

Na pożegnanie piosenka:

„Sza dziewczeczko do laseczka, napotkała myśliwiczka...”.

Ocena nieoficjalna? „Nutria”. Jeanetta z Warszawy jest wyjątkowo ładną, wysoką, farbowaną blondynką. Tekst mówi nieszczęście i zdradza jakąś dziwną, choć na swój sposób frapującą manierę interpretacji.

— Dlaczego nie chce pani być sobą, tylko uparcie udaje kogoś innego? Przecież kiedy rozmawia pani z nami, to mówi normalnie?

— Zdała pani do szkoły teatralnej po raz pierwszy?

— W ubiegłym roku zdawałam do Warszawy.

— Pani się nam podoba, co by tu wymyślić, żeby powiedzieć pani coś prawdziwie i od siebie? Może jakiś dowcip?

— To może opowiem jak przychodził grabarz do lekarza i mówił: — panie doktorze, ta baba, co do pana przychodziła nie będzie już przychodziła.

— Pani Jeanetto, czy miała pani kiedyś kłopoty ze zdrowiem?

— Podczas odchudzania. Kiedy się zakochałam, zaczęłam się gwałtownie odchudzać. Udało mi się 7 kg. Później się odkochałam.

Katarzyna-Monika (Starchowice) wchodzi na salę z plecakiem. Robi wrażenie trampa-indywidualistki. Mówi „Szaloną Julkę”, identyfikując się całkowicie z bohaterką. Robi zęza, łapie muncę. Przy różnych zadaniach, które serwuje jej komisja, wykazuje sporą już gotowość aktorską.

— Dlaczego zdaje pani tak późno?

— Musiałam dorosnąć.

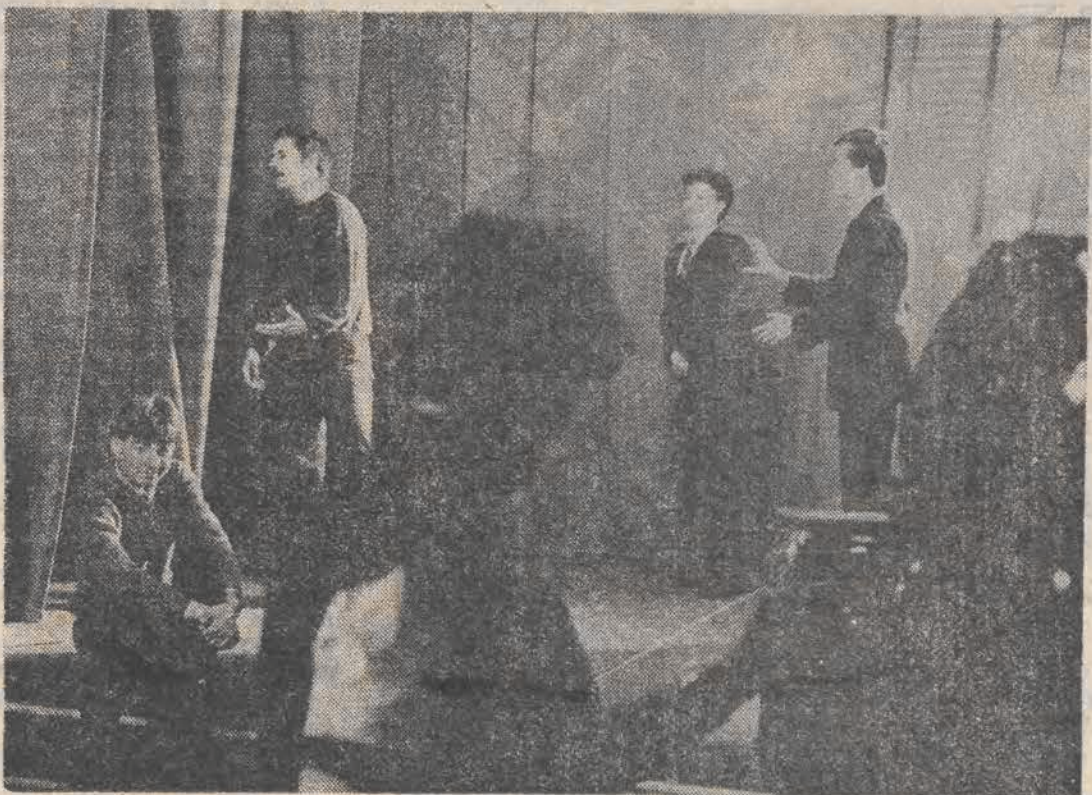
— Kto panią przygotowywał?

— Mówiłam przed różnymi ludźmi, ale w efekcie końcowym i tak robię to po swojemu.

— Wyraża pani tysiące uczuć, ale przy jednakowym wyrazie twarzy. I po co pani tak się nadeła w tej Julce?

— W życiu prywatnym też czuję się szaloną Julką.

Sława (Zamość) ubrała się w czarno-złotą suknię cocktailową. Przy dekolcie złoty motyl. Włosy do kolan. Piękna, pełna trochę wymuszonego wdzięku dziewczyna. Zachowuje się jak gwiazda i jest wyraźnie zdziwiona, że musi mówić wiersz, prozę i jeszcze śpiewać. Jest nieprzygotowana do egzaminu i chyba nie bardzo wie, gdzie i po co przyszła. A może Sława powinna wejść, pokazać się z przodu, tyłu i en face i... zostać od razu przyjętą. Albo najlepiej otrzymać dyplom za urodę i błyszczenie na ekranach. Sprawdzenie słuchu boskiej Sławy. I tu prawdziwy kłopot! Sława nie słyszy. Drewniane ucho. No cóż, Sława nie będzie chyba sławą.



Przygotowanie kandydatów z elementarnych zajęć aktorskich

Foto: Mirasław Zajdler

W sieradzkiej knajpie

Cygan płacze perła romansu grozi złotym zębem czasu świeci rubinem sygnetu dodatkowej wartości pieczętuje się piątym kołem u wozu bez którego nie dogoni taboru choć wypije ze mną w tej pluszowej knajpie z widokiem na resztki zamku i Warty (którą razem przeszliśmy aby być Cyganami-Polakami) jest ich dwóch: skrzypce plus harmonia po stowie biorą od kawałka pierwszej brgady albo coś o lwowskich batarach bo jeden Cygan aż ze Lwowa taborami tu przywędrował (grał Cyganie!) — woła we mnie setka przemieniona w słowa — o strzelcach co maszerują i potem o pakach białych róz — kiedy stwierdzam że wagabunda wygrał u mnie patyka na skrzypcach — wracam na stację po rozum i wytrzeźwienie

Zabawa w ludzi

Rzuciłem piłkę między trzy koty i natychmiast jeden z nich zostaje sędzią bramkami są różne zakamarki pod fotelami i kredensem — koty są uczciwe w swej grze tak że kot-sędzia rzadko skazuje w środku akcji i odmiarkuje faul: siedzi przeważnie na fotelu (aby dobrze wszystko widzieć swoimi złotymi oczyma) z autentycznym zainteresowaniem kołysze się z boku na bok pochyla się to znów wysoko unosi swój łeb w czarnych okularach z białym koinierzykiem pod szyją — mecz trwa już dosyć długo: wynik jest remisowy a zawodnicy niezmordowani w pomysłach



Rys. Janusz Szymański-Glanc

Sąsiedzi

Jeden z moich sąsiadów — budyler milioner leje gorącą wodę na mrowisko przy furtce i zadowolony jest z dobrej jego zdaniem roboty

Drugi z moich sąsiadów — młodziarz różnych zawodów tłucze dechą pajaki których boi się jego żona: i śmieje się z dobrego pomysłu ich dziecko

Sąsiadka — plastyczka — ma psa którego nie lubi więc wypuszcza go w nocy grudniowe aby zginał albo zamarzi zaś sama maluje pogodny pejzaż przy akompaniamencie wycia „ulubieńca”

Trzeci sąsiad — technik samochodowy permanentnie wali swoją żonę która wrzeszczy jak opętana i po miesiącu nie wytrzymuje i biegnie o północy po mundurowych z pałkami a ci wiozą go do czubków

A tak poza tym w mojej dzielnicy wszyscy żyją szczęśliwie czyli podobnie ale nie daj Boże dostać się w nasze ręce w przypadku jakiegoś drobnego zatargu

Nie jeden spośród polskich czytelników głośnej powieści Horsta Bienka może się zdziwić, iż realizuje ona motyw, który zwykliśmy uważać za specjalite de la maison polskiej kuchni literackiej — mianowicie motyw wesela. Polskie wesela literackie stanowiły za zwyczaj okazję do pokazania przekroju naszej współczesności w istotnej chwili historycznej. W powieści Bienka mamy chwilę historyczną, ale nie zdecydował się on na przedstawienie różnych warstw społecznych, pozostając w kręgu drobniomieszczanstwa. Wynika to w jakimś sensie z faktu, iż „Pierwsza polka” ma wyraźnie wspomnieniowo — rozrachunkowy charakter (na pewne autobiograficzne tropy wskazuje w przedmowie Wilhelm Szewczyk). W tym też tonie utrzymane zostało motto powieści, zaczerpnięte z Trumana Capote'a: „Było, powiedziało ziele; minęło, rzekło niebo; umarło, szepnęło las...”

Powrót do lat dziecięcych spędzonych w Gliwicach — to najwęższe określenie zawartości treściowej „Pierwszej polki”. Zaczął się on jednak znacznie wcześniej. Jego poetyckim wyrazem był poemat zatytułowany „Gliwickie dzieciństwo” („Gliwitzer Kindheit” — 1966), jego ślady znajdujemy w innych utworach. Dopiero jednak „Pierwsza polka” („Die erste Polka”) — ukazała się w 1975 roku nakładem Carl Hanser Verlag, München Wien — początkowo cały cykl powieściowy, którego przedmiotem staje się oglądanie z nie maskowanym sentymentem gliwickie dzieciństwo: „Wrzesniowe światło” („Septemberlicht” — 1977), „Czas bez dzwonów” („Zeit ohne Glocken” — 1979). Horst Bienek urodził się w Gliwicach w 1939 roku. Swoje rodzinne miasto opuścił jako 16-letni młodzieniec. Początkowo przebywał w Niemieckiej Republice Demokratycznej, gdzie nawet uczestniczył w swego rodzaju szkółce literackiej dla młodych adeptów pióra w Bad Saarow. Po różnych tarapatkach osiadł na stałe w Republice Federalnej Niemiec. Jego twórczość spotkała się tu z uznaniem — został laureatem kilku nagród literackich, stał się też członkiem Niemieckiej Akademii Języka i Literatury, a także Bawarskiej Akademii Sztuk Pięknych.

Obok miejsca akcji, którym są naturalnie Gliwice, niezwykle istotne znaczenie posiada czas akcji — 31 sierpnia 1939 roku. Akcja trwa do momentu, w którym padają pierwsze strzały Wehrmachtu na Polskę. Ta chwila, w której kończy się pokój i zaczyna II wojna światowa, stanowi jakąś metaforę

Ludzie wychodzili z kina rozczarowani. Tom Horn — legendarna postać Dzikiego Zachodu, odtwarzana przez gwiazdę, krwawą, bezwzględna rozprawa ze złodziejami bydła. A jednak ten atrakcyjny film nie trafił w gusty publiczności. Normalne, zwyczajne, znane już od początków historii X Muzy. Nienormalne (!?) jest to, że rzecz cała dotyczyła... westernu.

Wydawało się, że ten gatunek trwać będzie w kinie wiecznie, że nie załamie go nowe: mody, myślowe prądy, reżyserskie koncepcje. Przypomnijmy: western pojawił się już przed rokiem 1900 i wtedy „grał” w nim autentyczni kowboje, tworząc na ekranie coś na kształt dokumentu czy kroniki filmowej.

Moment narodzin oznacza również moment akceptacji. Na wszystkie frustracje tamtego świata potrzebny był, jako swoiste katharsis, gatunek, którego siłą była wiara w porządek moralny. Klasyczną zasadą, żelazną regułą westernu stała się — odmieniana na tysiące sposobów rozprawa dobra ze złem, zakończona zwycięstwem dobra, z wyrazistym podziałem na postacie uczciwe i czarne charaktery.

W czasach „prehistorycznych” podział ten podkreślał jeszcze dodatkowo strój: bandyci byli odziani w czarne kurtki i spodnie, niechlujni, obdarci; o szlachetności szeryfa, czy też innego kowboja występującego w obronie prawa, świadczyły nienagannie manieiry oraz nieskazitelny wygląd (nosił się na biału).

A schemat dramatyczny mógł wyglądać następująco: uczył hodowca bydła zostaje okradziony przez silniejszych, bo wyposażonych w szybkostrzelne colty, sąsiadów, trzymających zresztą w szachu całą

Wesele w hotelu „HAUS OBERSCHLESSEN”

TADEUSZ BŁĄŻEJSKI

ryczną soczewką, poprzez którą pisarz przygląda się swemu dzieciństwu i ziemi, z którą był związany. „Pierwsza polka” posiada bowiem dwa wyraźnie odrębne, choć niekiedy bardzo zbieżające się, motywy. Pierwszy jest bardzo osobisty, autobiograficzny. Dotyczy dziejów dość rozgałęzionej rodziny, ale nie sięga zbyt głęboko w przeszłość, ot, gdzieś na głębokość dwóch pokoleń. Motyw drugi — pisanie przez pół-Zyda, Georga Montag, książki o Wojciechu Korfantym — stanowi jakby pendant do dziejów rodziny Piontków, swoistą próbę rekonstrukcji historii Górnego Śląska (a jednocześnie jest polemiką z książką Ernsta Sontaga o Korfantym, która ukazała się w 1954 roku w Niemczech Zachodnich). O stopniu zafascynowania Bienka postacią Korfanta, wymownie świadczy fakt, iż pisarz korespondował z sekretarzem wybitnego śląskiego polityka.

W galerii postaci ukazanych w powieści Bienka przewagę mają ludzie, którzy obawiają się wojny, nie to, żeby wojny nie chcieli, są bowiem zbyt bierni i trochę zastraszeni, po prostu nie wiedzą, co im wojna przyniesie i z tej to niepewności rodzi się strach. Wśród weselnych gości, zgromadzonych w hotelu „Haus Oberschlesien” (co po polsku znaczy „Dom Górnośląski”) jest tylko jeden członek partii hitlerowskiej, doktor Kamenz, nowy, przysłany z głębi Rzeszy, dyrektor biblioteki miejskiej. Mówi on językiem jako żywo przypominającym partyjne okólniki czy wstępniaki z „Völkischer Beobachter”. Jako przykład posłużyć może wygłoszony przezeń program z zakresu twórczości literackiej: „literatura, zrodzona tutaj, musi odpowiednio wyglądać, zaan-

gażowanie, tendencyjnie, bojowo, my, strażnicy i obrońcy, ale także zainteresowani i najbardziej powołani pośrednicy, musimy zachować dawną różnorodność i barwność, specyfikę naszego ducha narodowego w niemieckiej kulturze, ba, w obrębie wielkośląskiego obszaru kulturowego”. Po tej peroracie dzielny uzdrowiciel literatury znajduje się nagle osamotniony, co nie znaczy, że nikt spośród obecnych nie podzielał jego wywodów. Po prostu, w takiej chwili mało kogo interesowała literatura.

Wolno sądzić, iż dla polskiego czytelnika najciekawszy będzie w tej książce nie wybuch wojny światowej, czy opis prowokacyjnego napadu hitlerowskiej bojówki na gliwicką radiostację, a dyskusja o „śląskiej muzyce słów”, o śląskich nazwach miejscowych (o nazwiskach w powieści nie dyskutuje się, nazwiska się zmienia pod presją urzędowych rozporządzeń, a także własnej woli). Pochodzący z Lublińca ksiądz Pattas czyni wszystkim zgromadzonym na weselu wykład z historii i topografii Górnego Śląska, jednym tchem wymienia kilkadziesiąt nazw miejscowości w ich prawdziwym brzmieniu. Tylko na chwilę przerywa mu Valeska Piontek, nauczycielka muzyki, słowami: „To nie są nazwy, tego się nie pisze literami, tylko nutami, trzeba by to śpiewać...”. A ksiądz potaknąwszy jej skinięciem głowy, ciągnie dalej swą lekcję śląskiego patriotyzmu i kończy mocnym, proroczym akcentem, skierowanym do przybyśzów z głębi Rzeszy, którzy nie potrafią wymówić takich słów, jak Seiborzyce czy Gwoździany: „Nie zrozumieście tego kraju i nie zrozumiecie, i zbliża się pora, przysięgajcie, że to mówię, by-

ście znowu ten kraj opuścili”. Cisza, jaka zapadła po tościsie proboszcza, wykracza zdecydowanie poza dom weselny, mówi sama za siebie.

Georg Montag, emerytowany prawnik, zajmuje się biografią Korfanta, bo chce przez nią lepiej zrozumieć siebie chce dokładniej poznać krainę, w której mieszka. Tak dalece zatracą się w tej robocie, iż w pewnym momencie poczyna niejako identyfikować się z postacią Wojciecha Korfanta. Starał się napisać biografię ambitnego, czasem demagogicznego, niekiedy nacjonalistycznego polityka, tymczasem w coraz większym stopniu, poprzez interpretację historycznych faktów i dokumentów, odkrywał człowieka — myślicęgo, czującego, uwikłanego w politykę człowieka, który zaskarbiał sobie coraz większą sympatię swojego biografa. Tym bardziej, że z drugiego wielkiego (obok Piłsudskiego) syna Rzeczypospolitej, stał się Korfany wkrótce dzieckiem nie kochanym. Większość jednak odnieśli sprowokowanych biografia Korfanta wykracza poza fabułę „Pierwszej polki”.

Kontrapunktowe wobec zamiarów i dokonań Montag są przeżycia i doznania kilkunastoletnich bohaterów powieści: Josela Piontki, jego kuzyna Andreasa oraz Ulli Ossadnik. Przeważnie nie zdają oni sobie sprawy z tego, co się wokół dzieje, rzeczywistość odczuwają jak dzieci — powierzchownie i na ogół z aplauzem. Prawdziwie rozczarowania dopiera przed nimi. Nim to jednak nastąpi, ruszają zafascynowani do pierwszej w życiu polki, która niewiele ma wspólnego z tańcem chocholim

Warto zwrócić uwagę na jedną jeszcze sprawę. Oto wśród weselnych toastów spełniających w recepcyjnej sali hotelu „Haus Oberschlesien” gospodyni wznosi w pewnej chwili kieliszek z okrzykiem: — za prawdziwą, grzeszną świat! i w tym to okrzyku zawiera się najogólniejsza formuła przedstawionego w „Pierwszej polce” świata. Bowiem prawdziwy świat jest zawsze grzeszny, występny, złowrogi. Toczy się naprzód szybko, gwałtownie, głośno — jakby w rytmie oszalałej polki.

Horst Bienek: „Pierwsza polka”. Przełożyła Maria Przybyłowska. Przedmowa opatrzył Wilhelm Szewczyk. „Czytelnik”, Warszawa 1983, s. 380, nakład 30.320 egz., cena zł 120.—

PROSTO Z KINA

Umieranie westernu

okoliczną społeczność. Legalne, prawne sposoby dochodzenia sprawiedliwości nie przynoszą rezultatu. Zil sąsiedzi nie liczą się z nikim i z niczym. Wtedy w okolicy zjawia się niezadowolony. Przygląda się istniejącym stosunkom. Ponieważ jest czuły na krzywdę i niesprawiedliwość, a przy tym wie do czego służy colt czy strzebla, przystępuje do rozprawy z bandytami. Dochodzi do tego także motyw osobisty: zakochuje się bowiem w pięknej, choć zaplątej po szyję, córce hodowcy. Oczywiście dobro musi zatriumfować, a dziewczyna odwdzięczyć się uczuciem.

Kryształowy świat dawnego westernu trwał, przyciągał do kina miliony, ale coraz częściej zaczęły pojawiać się filmy w mniejszym lub większym stopniu, zrywające z wszechwładnie panującą regułą Nawet tak klasyczny obraz, jak „W samo południe” nie jest klasycznym... westernem.

Szeryf, grany przez Gary Coopera, pozbywa się tu bowiem jednego z bandytów, strzałem od tyłu. Metoda nie do przyjęcia dla tradycyjnego westernu. Odstępstwo to nie jedyny. Film Freda Zinnemana nasycony jest bowiem sceptycyzmem wobec nieskazitelnej jednoznaczności tego świata. Szeryf musi się imać nierycerskich sposobów walki, gdyż przyszło mu samemu stawić czoło całej bandzie oprychów. (a jest już niezbyt młody i zmęczony), bowiem mimo apeli i prośb, żaden z mieszkańców

miasteczka nie zdecydował się przyjąć mu z pomocą.

I chociaż wierzący w tradycję Howard Hawks — ten od „Rio Bravo” — powtarzał: „Gdy ktoś nie umie zrobić porządnego westernu, bierze się do wszystkich tych nowych pomysłów”, to przecież powoli inność, odmienność — zaprzeczająca schematowi — stała się wyznacznikiem nowego westernu. Proces ten dokonywał się na naszych oczach, świadczą o tym, nie tak dawno widziane filmy: „Mały wielki człowiek” — Arthura Penna, „Zawodowcy” — Richarda Brooksa, „Niebieski żołnierz” — Ralpa Nelsona, „Strzały o zmierzchu” — Sama Peckinpaha czy wreszcie „Pat Garrett i Billy Kid” tegoż reżysera — bodaj najbardziej obrazoburczy western jaki moglibyśmy zobaczyć.

Na jego przykładzie zrozumieć można, dlaczego westernów pojawia się coraz mniej, a te które się ukazują, daleko odbiegają od klasycznego wzorca i nie wzbudzają już takiego entuzjazmu. Film ten bowiem totalnie niszczy legendę Dzikiego Zachodu.

Dzieje się niby wszystko w myśl znanych rozwiązań, z historycznymi nawet postaciami, ale...

Pat zdając sobie sprawę, że czas anachronicznej wolności skończył się, ponieważ także Teksas opanowała dyscyplina i bezwzględność wielkiego kapitału, że tylko stając po jego stronie można przetrwać, wy-

stępuje, z woli hodowlanego przedsiębiorcy, przeciwko swemu przyjacielowi — Kidowi, który pozostaje nadal „bandytą w dawnym stylu”. Po długim i żmudnym pościgu robota zostaje wykonana, choć Pat, zabijając Kida, zdaje sobie sprawę, że niszczy świat, do którego sam faktycznie należy, że „nowe” nigdy nie zostanie przez niego zaakceptowane.

Oto ogólne fabularne ramy filmu, który tak naprawdę pokazuje świat rządzący się jedną regułą: „obojętną brutalnością”. Zabije człowieka nie wywołuje tu żadnych moralnych frustracji, każdy strzał do każdego, także bez powodów — jest taka scena, imając się wszelkich możliwych sposobów: np. Billy tamie pojedynkowe reguły — odwracając się wcześniej i strzelając przeciwnikowi w plecy, dla pewności, że to nie on, choć szybszy, zostanie zabity.

„Zabójstwo jako potoczne zdarzenie codziennosci” — w westernie! — trudno sobie wyobrazić, że można pójść jeszcze dalej. Trudno też sobie wyobrazić, że możliwy jest powrót do moralnie pięknych „staroci” sprzed lat.

„Tom Horn” zaledwie zbliża się do tej granicy nakreślonej przez film Peckinpaha. A przecież wyraża to sama myśl — stary western, którego symbolem jest także odtwórca tytułowej roli — Steve Mac Queen, umiera.

Dziś w nowych warunkach, czasach pełnych sprzeczności nikt nie uderzy w „uniwersalną moralność”, w ostateczny sukces dobra, proste i jasne podziały. Tylko czy taka wiara nikomu już nie jest potrzebna?

PAWEŁ STRZELECKI

Wsiąść do pociągu...

Foto: M. Zajdler

Dialogi plażowe



— Morze jak morze, proszę pana. Woda, tyle że jest jej więcej niż gdzie indziej... I chyba jeszcze brudniejsza...

— Niech pan na te fale popatrzy — biją i biją! Co za strata energii! Gdyby tak to wykorzystać, Boże drogi! Napędzać jakieś maszyny czy co. W mig byłoby po kryzysie...

— Po kryzysie? Już to widzę! Panie, biurowiec by postawił na piętnaście pięter, urzędnicy, zarządzenia, konferencje, delegacje. Zaraz by wyszło, że to deficytowe, państwo musi subsydiować, że potrzebny import części, wsad dewizowy, komórka naukowo-badawcza i ... klops! Ja tam panie nie wierzę w koniec kryzysu.

Chyba, żeby papież pomógł...

— Papież? W jaki sposób?

— Pan to dziecko jesteś... Pan wiesz, jaki to wykształcony człowiek? Ile języków zna? A jeszcze czytałem w gazecie, że sztuki pisze do teatru. Dojechał jakieś ma! W całym świecie... Nawet w Pekinie!

— No, przyjemnie się gawędziło, przepraszam, muszę iść do sklepu, już pierwsza.

— Rzeczywiście! Poczekaj pan, ja też skoczę. Bałtycka to proszę pana jakby firmowa wódka tutaj, no nie?

— Uwaga! Uwaga! Tu radiowęzeł ośrodka sportów wodnych. Do biura ośrodka sprowadzono chłopczyka lat około trzech w niebieskich majteczkach. Mówi, że nazywa się Piotruś. Rodziców lub opiekunów prosimy do biura ośrodka. Powtarzam...

— Wojtusi, Wojtusi, nie odchódź za daleko, bo się zgubisz! Więc powiadam pani, że wczasy to dla mnie raj na ziemi...

Wojtusi, nie syp piaskiem na tego pana, bo sobie rączki ubrudzisz, a woda dzisiaj zimna!

Raj na ziemi, słowo daję, mam spokój od garów i od tego bydłaka...

Wojtusi, nie rób siusiu na koc, zrób tam dalej, obok tej pani!

Już patrzeć na niego nie mogę. Tego biura też mam po dziurki w nosie.

Wojtusi, oddaj pani biustonosz, pani nie może się przewrócić na plecy!

Sze! ciągle ma za złe, ciągle wściekły, że na przykład rozmawiam prywatnie przez telefon. A jak się mogą porozumieć z mężem jak nie w godzinach pracy? Po południu wiecznie go nie ma...

— Wczasy rzeczywiście fajne, tylko jedzenie... Była już delegacja u kierowniczk, że kartofle śmierdzą. Kierowniczka — owszem — powiada — śmierdzą — powiada — ale — powiada trzeba zjeść, bo — powiada — będą straty. No fakt, byłyby straty...

Uwaga! Tu radiowęzeł! Pan Janusz A... proszony do biura ośrodka. Czeka żona. Powtarzam: magister Janusz A. z Warszawy...

— Ten, co go wywołują, to przy naszym stole siedzi — taki blondyn na jeża strzyżony. Z taką wysoką. Przyjemni obydwom, wszyscy myśleli, że to małżeństwo, ale recepcjonistka mi powiedziała w tajemnicy, że nazwiska inne, adresy inne i nawet z różnych miast...

— A tu buch, żona przyjeżdża... Ale się narobiło!

— Takie są te chłopy... Ciekawe, co teraz mój robi... Pewnie na basenie. On, jak tylko ciepłej, to zaraz na basen. Basenowy taki...

Uwaga! Tu radiowęzeł! Przypominamy plażowiczom, że w biurze ośrodka można wypożyczyć sprzęt sportowy i plażowy. Przypominamy również, że kosze plażowe zajmować można wyłącznie po wykupieniu biletu...

— To może wrócimy na koc?

— Coś ty, jak ktoś przyjdzie z biletem to ustąpię, cham nie jestem. Ale frajer też nie! Co będę płacił, jak mam za darmo?

— Tak jak z wykupem mieszkań. Możesz kupić mieszkanie za ładną sumkę. To mieszkanie, co już masz...

— Co to za plaża, nic nie wolno. Byłem pod Warszawą na plaży tych naturystów. W Oborach, Chałupach czy jeszcze inaczej, tak po wiejsku jakoś. Tam wszystko wolno! Wybory miss były... było na co popatrzeć. Te, co wybierali, ustawiali się za tymi dziewczynami. Myśmy z Wackiem też stanęli za jedną, ale nie przeszła. Tam najlepiej wyglądają tacy nowi — tyłki mają czerwone, bo to skóra delikatna. Jak pawiany, mówię ci, jak pawiany wyglądają z tymi czerwonymi dupami! Myśmy z Wackiem też mieli czerwone...

Uwaga! Tu radiowęzeł! Kierownictwo ośrodka przypomina, że dziś o godzinie 19.00 odbędzie się, jak co dzień, wieczorek taneczny w klubie wczasowym „Bursztyn”. Powtarzam...

— Ciekawa jestem, czy dziś też ten na jeża przyjdzie z tą blondynką na dancing? Czy z żoną... Czy może wcale? Codziennie przychodził... Elegancki, jak milicjant albo strażak...

— Słyszała pani? Jeden się utopił, mówią, że pijany był, żonę zostawił i teściową na plaży. Przekąpie się — powiedział — no i przekąpał się...

Zona podobno w ciąży jest.

— To dlatego tak dużo ludzi koło ratowników?

— Ciekawe, czy wdowa ma czarny kostium kąpielowy?

Tu radiowęzeł! Ostrzega się zmotoryzowanych plażowiczów, że nie wolno parkować samochodów w strefie przyplażowej...

— Patrz pani, patrz, ten na jeża ładuje bagaże do wozu! I wsiada z nim jakaś inna, szatynka...

— To ta żona, co ogłaszała...

— Co też będzie z tą wysoką? Też wyjedzie? Pytałam recepcjonistki, mówiła, że to mężatka...

— Co będzie wyjeżdżać? Wczasy opłacone, pogoda na medal, a chłopów nie brakuje...

— Pewnie, a mąż tam sprząta mieszkanie i kwiatki szykuje na powitanie...

— Albo też z dziwką. Takie są chłopy...

— Mnie to jej nawet szkoda. Wszyscy teraz na nią patrzą i uśmiechają się dziwnie... Ja bym na jej miejscu wyjechała.

— Słyszała pani? Znow się ktoś utopił!

— Trzeci w tym tygodniu! Roże święty!

Wojtuś! Wracaj, wracaj! Tam głęboko!!!

**Aufentyczne dialogi plażowe
podłuchał i zapisał:
ANDRZEJ KAROL**

W dzień świąteczny „zapaść” się na autobus do Spawy nie da rady. bilety zamyka sprzedawca już dzień wcześniej, na ranne pokaazy. W dzień powszedni, kiedy w dodatku od rana pada deszcz, dojechać można spokojnie. Półtorę godzin jazdy i jesteśmy na miejscu. W ośrodku wypoczynkowym FWP dziesięć kilometrów od Tomaszowa Mazowieckiego. Bo cała Spawa to jeden wielki ośrodek FWP-owski. Wszystko tam jest FWP-owskie, nawet domy prywatnego nie usiadłszy. Stałych mieszkańców jest w Spawie około trzydziestu, pozostali to czasowicze. Sprawa ważna z Łodzi, Warszawy i okolic. Ponad osiemdziesiąt procent. Bo to i bardzo blisko, i wygodnie dojechać. A sezon w Spawie trwa cały rok okrągły. Zimą i wiosną, gdzieś tak do końca czerwca przeważają emeryci i matki z małymi dziećmi.

DYGRESJA pierwsza — o zaskoczeniu:
Pierwsze kroki, wiadomo, najlepiej skierować do Biura Zakwaterowań. Tutaj pewnie najwięcej wiadomości i trochę informacji dla łódzkiej gazety można będzie zdobyć. Ale, niestety, nie było pana kierownika, a zastępcy mówić nie nie będą. W ogóle, jakże to tak bez uprzedzenia i wcześniejszego anonsu przyjeżdżać do Spawy, żeby nie dać czasu na przygotowanie dla kierownictwa. Zresztą, po co tutaj żurnalista? Także żadnych „wywiadów” do czasu przyjazdu kierownika nie będzie i koniec.

W biurze zdania były podzielone — jedni byli za tym, żeby coś niecoś powiedzieć, inni, żeby milczeć.

Faktem jest, że znalazł się jeden odważny — Ryszard Pająk, który nieco tajemniczo reporterowi zdradził:

Dowiedziałem się od pana Pajaka, który jest w Spawie szefem od kultury, sportu i rekreacji, że ostatnio oddano do użytku dwa domy czasowe,

Dzień powszedni w mieście Spawa

mini-centrum kulturalne w podziemiach nowego domu, w którym znajduje się sala bilardowa, sala telewizyjna i biblioteka z czterema tysiącami książek, co na warunki czasowe jest bardzo duża sprawa.

Dowiedziałem się od pana Pajaka, że kino „Wczasowe” jest już od dwóch lat nieczynne, bo remont się przeciąga. A swoją drogą to kino miało zawsze deficyt, bo repertuar nie był najlepszy. Ale jest potrzebne, to fakt i gdy tylko znajdzie się wykonawca — Ryszard Pająk, Bo nie ma go.

Dowiedziałem się też, że na terenie Spawy jest basen odkryty, tylko nie ma... w nim wody, bo jest jakaś awaria i basen trzeba remontować.

Dowiedziałem się też, co czasowicze może w Spawie robić, żeby czas miler spędzić. I tak — w poniedziałek można było o dziesiątej wybrać się na zorganizowany spacer w okolicę Spawy, o piętnastej pojechać na wycieczkę rowerową — leśna (tu R. Pająk zdradził, że do dyspozycji czasowiczów jest 20 rowerów). W tenże, poniedziałek o godzinie piętnastej odbywały się zajęcia sportowe (siatkówka) na boisku. Tylko, jak twierdzi szef od kultury, sportu i rekreacji, sport nie bardzo w tym turnusie się rozwijał, bo przeważnie byli na czasowcach emeryci, a oni bardziej biernie chcieli odpoczywać.

We wtorek — o dziesiątej można było wybrać się na pogadanki do klubu-kawiarni „Historia Spawy i okolic” (dziś takiej pogadanki odbyła się pod koniec turnusu — nie wiadomo), o szesnastej przewidziano zabawę dla dzieci, a od 19 do 23 wieczorem połączny dla starszych.

Dowiedziałem się na koniec, że ten turnus wypożyczył 1.100 książek, co po podzieleniu przez 200 czytelników daje prawie 6 książek na głowę. Czyli turnus bardzo „czytelniczy” i bardzo dobrze.

Na zakończenie pierwszej dygresji chciałbym z tamów bardzo gorąco podziękować panu Pajakowi za pomoc i odwagę, która przyczyniła się do podania do druku kilku bardzo ważnych i tajemnie zastrzeżonych tylko dla kierownika FWP w Spawie.

DYGRESJA druga — o zdzierstwie:

Bo trzeba powiedzieć wprost i bez ogródek, że w Spawie szczyt się zdzierstwo. Wczasowicze, mimo wysokiej opłaty (nazwijmy ją podstawową) musi zapłacić także klimatyczną i oddać kartkę na kilogram mięsa. Musi też płacić codziennie za inne „przyjemności”. I tak według cennika:

— za wypożyczenie kajaka — dwadzieścia zł za godzinę,

— za wypożyczenie roweru — dwadzieścia zł za godzinę,

— za wypożyczenie rakiet tenisowych — dziesięć, za piłkę — pięć plus sto zł za godzinę korzystania z kortu.

Płacić też trzeba za organizowane wycieczki autokarowe, w zależności od długości trasy, od pięćdziesięciu do dwustu złotych. Wczasowicze może pójść na wycieczkę za siedemdziesiąt złotych, albo na popołudniowy fajf za trzydzieści złotych.

Wszystko, na razie, w złotychkach.

Podobno niektórzy emeryci nie chodzą na wycieczki taneczne tylko z powodu tej opłaty, bo ich nie stać. Ale cóż, wczas to dla bogactw, nie dla takich tam skąpców.

DYGRESJA trzecia — o kolejkach w Spawie:
Nie da się ukryć, że w Spawie też są kolejki. Widziałem kolejkę na... postój takśówek widziałem kolejkę w sklepie z artykułami przemysłowymi. Bo jak przywozić atrakcyjny towar, jak twierdzi wczasowicze-kolejkowicz, to wczas wczasami, a życie życiem. Jest okazja i kupować trzeba, i czas szybciej zjeść do obiadu.

Ludzie tak się do tych wszystkich kolejek przyzwyczaili, że jak na tablicy ogłoszeń zawieszono informację, że o tej a tej godzinie będą przyjmowane zapisy na wycieczkę autokarową, to też się ustawiają parę minut wcześniej, chociaż chętnych czasami mniej niż miejsc w autokarze. Z przyzwyczajenia podobno.

Inną sprawą są kolejki przed jedynym w Spawie kioskiem „Ruchu”. Ludzie stoją w kolejkę po gazety, które przywożą do Spawy gdzieś tak około dziesiątej, wpół do jedenastej i kioskarka bardzo ubolewa, bo gazety przywożą, kiedy wszyscy są już

po śniadaniu i idą na wycieczki. Później gazety zostają i nikt już po południu nie kupi, na ten przykład, „Głosu Robotniczego”. I są duże zwroty. W ciągłej sprzedaży dyżurnej są — „Rzeczywistość” i „Barwy”, Brakuje „Polityki”, „Kobiety i Życia”, „Przyjaciółki”, „Odgłosów” też nie było, chociaż do kiosku „przychodzi” 7 egzemplarzy.

Najbardziej „idą” te z krzyżówkami.

DYGRESJA czwarta — o gastronomii w Spawie:

Wczasowicze posilki jedzą w FWP-owskich stołówkach. Turysty indywidualni, których najwięcej w soboty i niedziele, mogą zjeść obiad w restauracji „Pod Złotym”, w barze-bistro, albo frytki z kielbaską w okragiaku, pod kufłowem piwo. I tutaj poddygresja o przestrzeganiu ustawy antyalkoholowej w mieście wypoczynkowym Spawie. Bufet ubrojeny w kilkanaście antyalkoholowych wywieszek wyraźnie daje do zrozumienia, że wódeczkę i piwo (podobnie zresztą jak obiady) podawać się będzie od trzynastej. I żal bierz, kiedy się patrzy na znużonych i spragnionych amatorów napojów mocnych, którzy gdzieś tak od dwunastej, postanowili czekać... Może by tak w miejscowościach czasowych odstąpić od zasady i podawać chociaż piwko wcześniej? Chociaż, znając życie, trzeba mieć nadzieję, panowie, że kelnerki przekupione uśmiechem podadzą wódeczkę w butelce od oranżady jeszcze przed godziną „0”.

Teraz o obiadach. Zjeść można w dzień powszedni sporo, przynajmniej kilka dań jest do wyboru. W restauracji „Pod Złotym” kaczuszkę z ziemniakami za 161 złotych, albo w barze bistro bryzoł w jajku za 135 złotych. Można też taniej — kaszę z sosem za dwadzieścia dwa złote. Niestety, nie jadłem...

DYGRESJA piąta — o pewnej koszarnej imprezie:

Byłem świadkiem zabawy dla dzieci w klubie-kawiarni „Pod Krasnoludkami” o godzinie szesnastej. Na podłodze dla orkiestry muzyki stroili instrumenty, w środku na parkiecie czekały podniecone dzieciaki od lat dwóch do piętnastu, przy stołkach siedziały mamusie i emeryci z twarzami zwróconymi na „zespół” (dziaczego, nie wiem).

Wreszcie chłopaki zagrali jakiś wesoły kawałek. Moje wyjątkowo niemuzyczne ucho zadziwiło, dzieciaki zaczęły się kręcić na dancinowym parkiecie w oparach kawiarnianego dymu, zapachu piwka i cienkiego wina. A zespół nadal fałszował. Nikomu też nie przeszło, że w międzyczasie wpadł do klubu-kawiarni spóźniony perkusista, którego zastępował gitarzysta, który następnie przeszedł od perkusji do gitary, ustępując miejsca swojemu spóźnionemu koledze. Starym dancinowym zwyczajem, po trzech „kawałkach” zespół podziękował bardzo i poszedł na papierosa. Tymczasem rozgrane taborem dzieciaki zaczęły biegać po parkiecie, między stołkami i pod stołkami, i między... nogami też biegały (jednej) kelnerki z tacą załadowaną piwkami, winkiem, kawą i napojami niewysokowymi. Kelnerka się potykała, dzieciaki przewraczały, rodzice i emeryci uciekali swoje pociechy i zabawa trwała. Koszarne i żalozne to wszystko, niestety. Kiedy jedenaasta zespół zaczął śpiewać przebieg P. Francuskiego o mistrzu karate, jakimś tam Bruce — wyzłodził...

Po pewnym jednak czasie (głowi rzetelności reporterkiej wrócić na salę) wodzieliśmy przejał jakiś człowiek znajdujący pewnie psychikę i potrzeby dzieciaków i było trochę przyjemniej. Impreza przypominała troszeczkę, dzięki temu zdrowo myślącemu człowiekowi, zabawę dla najmłodszych dzieci.

DYGRESJA szósta — o dniu powszednim wczasowicza w Spawie:

Dzień powszedni spawskiego wczasowicza wygląda tak: wstaje około ósmej, żeby zdążyć na śniadanie, później jakiś indywidualny lub zorganizowany przez ob. Ryszarda Pajaka spacer, później obiad, później znowu spacer albo odpoczynek na ławeczce, albo lektura wypożyczonej z biblioteki książki. Do kolacji. W niektóre dni pogadanka, wieczorek albo wycieczka autokarowa. Krótko mówiąc, przeżyć można — twierdzą emeryci, i ogólnie z wczasów są zadowoleni, chociaż jedzenie w stołówkach do ubiegłych lat znacznie się pogorszyło. Gdyby jeszcze nie trzeba było za wszystko płacić — to nawet znośne to wczas. Generalnie emerytom jest dobrze.

Młodszym brakuje wody w basenie i kina. Te dwie rzeczy konieczne by się przydały. I więcej spotkań z ciekawymi ludźmi. Takich, jakie było w tym turnusie — z aktorem, co grał Juranda w „Krzyżakach”.

A co, na ten przykład, robią samotne matki z dziećmi? Samotne matki z dziećmi mogą w godzinach rannych i popołudniowych oddać dziecko pod opiekę pani przedszkolance i pójść na spacer z wczasowym tatusiem (autentyczna relacja). Gorzej wieczorem, kiedy jest dancin. Wieczorem wczasowe przedszkole nie funkcjonuje i dziecko trzeba albo szybko uspić, albo oddać pod opiekę nierozrywkowej sąsiadki. Krótko mówiąc, sposobów jest wiele na mile spędzone wczas. Bez specjalnych programów organizatorów czasu wolnego w Spawie.

DYGRESJA siódma — o turystyce w gminie Inowódz ogólnie:

Spawa była niegdyś terenem polowań carskich, później letnią rezydencją przyrębentów Rzeczypospolitej, a w roku 1949 Bierut przekazał cały ośrodek FWP. I tak pozostało do dzisiaj. Spawa, jako enklawa podlegająca pod FWP, jest w jakimś sensie niezależna od gminy. Przez Spawę przewija się rocznie około 20 tysięcy wczasowiczów, nie licząc turystów, którzy przyjeżdżają na weekendy. Tylko że sytuacja turystów indywidualnych, niestety, nie jest najlepsza. W całej gminie nie ma hotelu. Turysta indywidualny, kiedy nie ma miejsca we wczasowych ośrodkach, noclegu nie znajdzie. Władze gminy twierdzą, co prawda, że hotel by się przydał, ale to dalekie plany. A szkoda, bo gmina Inowódz należy do turystycznych. Ponad sześćdziesiąt procent gminy to lasy, w ten sposób nawet tomaszowski „Wisłom” nie zatrzyma powierza i ludzie chętnie przyjeżdżają do Spawy, Teofilowa i Inowódza na wczasy.

Ostatnio, jak mówią władze gminy, największym osiągnięciem z dziedziny turystyki było uruchomienie zielonej linii autobusowej z Tomaszowa Maz. do Inowódza. Na razie autobus kursuje tylko w soboty i niedziele. Jak będzie częściej uruchomiony jest codziennie — mówi władza, mimo iż wiadomo, że frekwencja jest już teraz. Ano, zobaczmy. Szkoda tylko, że to już wszystkie inwestycje, jeżeli chodzi o turystykę. A przecież cztery restauracje na całej turystycznej gminie i jeden camping to trochę za mało.

I sprawa kolei. Bo niestety, bezpośredni pociąg do Spawy od dwóch lat już nie kursuje. Dlatego ja się pytam, skoro jest ten kolejkowy i stacja?

I to by było na tyle. To by było na tyle dygresji o miejscowości wczasowej Spawie i okolicach. A swoją drogą, taki dzień powszedni dla człowieka z zewnątrz, nie wliczonego niejako we wczasowy kolowrót, we wczasowy marazm, takie refleksje z boku, z przymrużeniem oka, troszkę do myślenia dają.

Bo Spawa, w gruncie rzeczy, to ładna i sympatyczna miejscowość. Troszkę pomysłów, zainwestować, wyremontować, zorganizować mądrze i prawie wszystko będzie OK!

Tymczasem dzień się kończy, a „Spawa by night” pewnie nie istnieje. Dobranoc — miły wczasowicze!

JACEK BINKOWSKI

Topić się można i po południu

ROBERT GLUTH

Niniejszy reportaż jest z konieczności tematyce okrutny i raczej przeznaczony dla ludzi o silnych nerwach. Rzecz ważna, że Sieradz w moim wypadku stanowi właściwie tylko rodzaj przypadku. Mogłoby być to każde inne miasto, w którym opisane zdarzenia zdarzyłyby się. W rzeczywistości zdarzenia zostały przez dwa czynniki: okrutną i niebezpieczną rzekę i stokroć okrutniejszą używkę — tak eufemistycznie zwaną — a właściwie najstraszniejszy z polskich narkotyków — wódkę.

W pierwszej dekadzie lipca 1983 r. droga autobusem pędzącym do Sieradza przedstawia obraz sielski, acz nietypowy. W okolicach Łasku, Zduńskiej Woli, żyto już całkiem dojrzale, tak na oko 50 proc. już stoi w miedlach, a gospodarze koszą resztkę.

W Komendzie Wojewódzkiej MO, a później w Komendzie Miejskiej moimi informatorami byli naczelnicy Wydziału i Sekcji Kryminalnej. Na początek pocztowano mnie sprawą najświeższą. Nad Wartę przybył rekonesans punktów. Rekonesans był rzeczywistym reprezentatywnym. Młodzi ludzie wraz z dziewczynami pochodzili z Rzeszowa, Łodzi i Bielska-Białej. Początkowo nikomu nie wadziło, jeśli nie leżył zbyt głośno hard-rocka. Aż któregoś nocy wypili sporo wysokoprocentowych napojów i rozpoczęli nocną rzeź. Ofiarą kozików i noży padły namioty turystów. Można sobie wyobrazić przerażenie, krzyki rozpacz, kiedy pod ostrzami ginął cenny sprzęt. Patrole milicyjne szybko ujęły sprawców. Było ich dziesięciu. Część powędrowała do aresztu i czeka na proces, mniej zaangażowani stanęli przed kolegium.

— Warta jest rzeką ogromnie niebezpieczną — powiada naczelnik Wydziału Kryminalnego KW MO. — Przed wszystkim jest na całej swojej długości nie uregulowana. Masa w niej zatorów, mielisz, bardzo zdradliwych, bo tuż za mielisz może „wyskoczyć” głębia na 10 metrów. Ponadto nurt rzeki nieustannie jest bardzo wartki. Sympatyczny sierżant kieruje motorówką jak zawodnik.



Zna tę kapryśną rzekę na pamięć, skręca, lawiruje, stale zachowuje maksymalną szybkość. Po obu brzoach brudna, zgnila zielen. Taki jest kolor tej rzeki. Towarzyszący mi milicjanci powiadają, że w lecie stulecia, kiedy woda bardzo opadała, widad było lawice martwych ryb. Jest nad Wartą „Przystań”. To wielka wina Urzędu Wojewódzkiego, że restauracja ta w ogóle istnieje w aktualnym stanie. Każda ilość wódki, wina i piwa, o 100 metrów od rzeki, można tu otrzymać. Są tacy, co z niecierpliwością czekają na godzinę 13. Ot, i cała koryść z ustawy sejmowej. Topić się można po południu.

Z mostu, w stanie pijanym, młody człowiek oddał się do towarzysza i skoczył. Rzeką porwała zwłoki, zaniosła kilka kilometrów dalej i osadziła je wśród zamulonych konarów. Po trzech miesiącach koparko-pogłębiarka wyciągnęła ciało w stanie rozkładu, przy czym straszliwa w tych warunkach obdukcja lekarska wykazała rozległe złamanie kręgosłupa i strąskanie czaszki.

Naczelnik Wydziału Kryminalnego powiada:

— Zasadniczo to, że człowiek się utopił w stanie nietrzeźwym, dowiadujemy się od jego towarzyszy od kieliszka, ponie-

waż zwłoki badane w stanie rozkładu wydzielają tyle związków fermentacyjnych, że praktycznie nie sposób określić, ile denat wypił przed śmiertelnym skokiem.

Warta nie puszcza szybko swoich ofiar. Przykładem tego jest taki makabryczny fakt. Młody robotnik, w styczniu 1983 r. poszedł na zabawę na drugi brzeg. Tam bardzo dużo wypił i postanowił zrobić sobie spacer po lodzie. Efekt był do przewidzenia. Łódź się załamała, a rzeka wyrzuciła ciało dopiero w lipcu.

Na dobrą sprawę każdy taki przypadek Wydział Kryminalny KW MO i Sekcja Kryminalna KM MO muszą traktować przez pewien czas jako zaginięcie bez wieści. Rosną akta, przesłuchania... i wreszcie okrutna rzeka powiada „to ja”.

Nieidentyfikowanym toplem był człowiek, w którego kieszeni znaleziono jedynie bilet kolejowy relacji Katowice — Karsznice. Ostatnie, żmudnie zebrane zeznania pozwoliły ustalić jedynie, że mieszkający w tym mieście, w którym toczył się wypadek młody dziewczyna, 19-letniej, w trzech miesiącach przed wypadkiem również piła, a zginęła w miejscu, które tradycyjnie nazywane jest zlabanem, ponieważ przed wojną był tam istotnie zlaban i przejeżdżający chłopcy musieli opłacać myto.

Naczelnik Wydziału Kryminalnego MO najbardziej dramatycznie wspomina wypadek, który się zdarzył w warunkach zupełnie niecodziennych. Dwaj młodzi ludzie, jeden w wieku 30, drugi w wieku 20 lat, urządzili sobie libację. Według zeznań kelnerki wypili półtora litra wódki. Potem poszli plażować. I tak zaskoczyła ich burza. Starszy powiedział, że najlepiej się kapać w czasie, gdy biją pioruny i wszedł w samą głębie, tracąc grunt pod nogami. Jego kolega próbował początkowo ratować go, ale — ludzie — cóż to był za ratunek, kiedy w głowie szumiał alkohol. Zaalarmowana milicja stawiała się w wyjątkowo licznym składzie. Sam kierownik Sekcji Kryminalnej kierował akcją, stojąc na moście w ulowie. Niebo roświetlały błyskawice, gdy wezwany ze straży pożarnej pletwonurek buszował po dnie na przestrzeni 200 metrów. Wszystko okazało się daremne. Zachłystnięcie, szereg uderzeń o kamienie. Trup.

Do remontu kotłowni miejskiej przyjechał na delegację trzech specjalistów, wszyscy pochodzili z Łodzi. Robota jak robota — nie ucieknę, a że słoneczko przygrzewało, więc sympatyczne towarzystwo wybrało się do miejscowej Czerwonej Oberży, czyli wspomnianej „Przystani”, wódka nie wystarczyła, więc wzięli ze sobą baterie piwa i udali się na plażę. Podział ról był następujący: jeden, najbardziej ostrożny, opalał się na kocu, drugi, już bardziej zuchwały, brodził sobie po kolana w mętnej wodzie, a trzeci popłynął. Ciekawa była reakcja dwóch kolegów: wzięli ubranie pływaka i po paru godzinach udali się na kwatę. Później tłumaczyli się, iż szadził, że kolega popłynął sobie do dziewczyny. W każdym razie milicja została zawiadomiona przez nich po dwóch dniach. I znow żmudnie dochodzenie, penetrowanie Warty, aż wreszcie dwa kilometry od plaży znaleziono zwłoki w stadium rozkładu.

Kierownik Sekcji Kryminalnej KM MO powiada:

— Proszę sobie wyobrazić, że na przestrzeni 50 km takiej rzeki jak Warta, znajdują się tylko cztery małe kąpiele kąpieliska strażnicze, gdzie znajdują się ratownicy WOPR. Są to miejscowości: Warta, Sieradz, Zamość i Burzenin. Oczywiście bez przerwy patrolujemy, ale trzeba być, co najmniej w sile batalionu, żeby upilnować wszystkich potencjalnych denatów. No, chociażby taki przypadek. Grupa dzieciaków wybiera się bez żadnej opieki nad staw — bo takich różnych stawów, zakoli, glinianek to jest tu od pioruna. Ten akurat staw jest głęboki na 10 metrów. I wąski kawałek piasku powodu-

je tylko złudzenie. Efekt: 7-letnie dziecko, wędrując po korytarzach zwisających nad wodą, upada. Panika, krzyk, pomoc natychmiastowa, ale już bez żadnych szans.

— Jeżeli chodzi o odratowania w sytuacjach prawie beznadziejnych — doradza sierżant z motorówki — to mamy na koncie osiem, w tym dwu nie-trzeźwych. A wszyscy, niestety, młodzi.

Ostatnio Komenda Wojewódzka MO ma nie lada orzech do zgryzienia. Zaginął starsze 70-letni. Co stwierdzono? Stał na moście, w samej maszynarni, i tak był ostatni raz widziany. Szczegółowe śledztwo wykazało, że starszek uprzednio sobie wypił, a wcześniej jeszcze brał udział w poważnej kłótni rodzinnej. Przypuszczenie, że starszek utonął, może być tylko myślą prywatną prowadzącego dochodzenie. Dopóki okrutna woda nie wyrzuci zwłok, można domyślać się wszystkiego: zabójstwa, ucieczki z rodzinnego miasta...

Od 8 lipca 1968 r. Komenda Miasta rozpoczęła wielką akcję pod kryptonimem „Bezpieczny wypoczynek nad wodą”. Wydała się, że chodzi tylko o patrolowanie brzegów. Tymczasem ambicje funkcjonariuszy są znacznie poważniejsze. Patrole mają za zadanie zwracać uwagę na ludzi pijanych i pijących, karać i nie dopuszczać ich do wody. Bo nie bądnym idealistami: piaka od wody nie odciągnie dyskoteka ani kino, tylko mandat, kolegium i kryminał. W imię najwyższej wartości — jego życia. Ponadto patrole natychmiast interweniują stwierdzając brak opieki nad dziećmi, zwalczają klusownictwo, dzięki blwki, karzą za nieprzestrzeganie warunków sanitarnych, rozniecanie ognisk (przecież niedaleko płoną lasy) i — co mnie szczególnie zaskoczyło — dbają o ochronę przyrody przed wandalami. Chociaż bowiem brzegi Warty nie mają statusu parku narodowego, ale jednak są piękna oaza zieleni. Patrole ruszają w teren już o



4 rano, towarzyszą im przeszkoleni specjalnie członkowie ORMO, współdziałają ratownicy WOPR. Sieradz czekać się zorganizowanej akcji prewencyjnej, do czasu — niestety, chyba odległego — gdy okrutna rzeka zostanie uregulowana.

A oto, jak obiektywnie i bez emocji, charakteryzuje przyczyny tych opisanych i innych przypadków naczelnik Wydziału Kryminalnego KW MO:

— W kolejności należy wymienić alkohol, nieznajomość wody i przyczyny obiektywne, jakimi są ruchome płaski Warty i bardzo szybki nurt. Oczywiście, oprócz zdarzeń tragicznych, mają miejsce sprawy poważniejsze, takie jak kradzieże z namiotów czy torebek niefrakobliwych plażowiczów... Ale ciekawa rzecz, że ze starszymi zasadniczo nie mamy kłopotów.

Na zakończenie warto chyba jeszcze jeden — mimo że już opisywany — fakt przytoczyć. Chociażby dlatego, że znalazł swój finał sądowy. Głośny gwałt na 19-letniej dziewczynie, dokonany niedawno przez chłopców 18- i 20-letniego, zakończył się wyrokiem. Jeden sprawca otrzymał 3 lata, drugi trzy i pół.

W kręgu fantastyki

„Jeszcze jest noc. Ale zapewne nadeszła już pora, by wstać poranek... Teraz jeszcze trochę do góry... O, już można wypuścić jedną łapę, która otrzymała odrobiny światła i powietrza. Zrobi jej się lepiej. I wtedy zaczepię się o kamień. Radość udzieliłaby siły. Wujcie na zewnątrz i będę się grać w pierwszych promieniach słońca. One są dla mnie najkorzystniejsze, najlepsze...”

A potem dowiem się, jak żyją ptaki. Poprzedniej nocy były jakby czymś przestraszone. Dzi-

nie po falach. Fala jest lekka i uparta... Coś tam zgrzyta. Czyżby tracił świadomość, czy też mając...? Z prawej strony ktoś jest. Tfu, czort jeden! Pien sterczy, a ja się wystraszyłem...”

„Żywe, a nie rusza się. Nie może się ruszać. Coś w jego systemie rozregulowało się. A moje ciało już się regeneruje... Jakże trudno go zrozumieć! On się mnie boi, jestem mu nie-miły. O, jaki równy biorytm! Ale dlaczego jestem mu nie-miły? Jestem przecież śliczny i

teraz kogo chcesz zobaczyć i usłyszeć? Ja jestem ni to, ni owo. To ty tak wymyśliłeś... Nie ruszaj się! Czuję, że mogę cię zregenerować...”

— Zregenerować? A ja myślałem, że mnie ugotujesz...

— W twoim świecie są takie prawa?

— Chwytać przyjaciela i gotować go.

— Nie. W naszym świecie prawa są sprawiedliwe. Ale ja nie wiem, kim ty jesteś, a wiem jednocześnie, że w ludzich

przeciw tłumom powstańców. Nie jest to zwykły tłum — to naród idący na śmierć, żeby zwyciężyć... Mroczne obrazy średniowiecza. Bezsensowne pojedyńki. Jedną zakuci od stóp do głów w dyby. Zabijać, żeby zdobywać, zdobywać, żeby zabijać i grabić. Martwe spojrzenie Krzyżaka z żelaznej maski i szczerą, niebieskooką twarz Słowianina... Głuche czarne zamki imperatorów i królów. A na białej, wapiennej ścianie cerkwi — cud! — ożywia się fresk Glotta...

Jak znalazła mnie ta żywa, rozumna istota? Kim lub czym ona jest? Czy sama wykryła miejsce awarii, czy też ja naruszyłem jej miejsce życia? O, znowu słyszę czyjś głos. Nie, nie głos Myśli, radę rozkaz... Tak, skupię się na swoim ciele. Wszystkie odpowiedzi potem, potem... No, już jestem na progu świadomości. Jestem rozciągnięty na powierzchnię jak cieniułka błonka, czy wyciągnięty w jedną, bardzo cienką, niekończącą się nitkę... Czy przyćmięty skałą? Wokół chłodna warstwa planety, obcej planety. Wątpliwości, jak zimne pełzną do mego mózgu, pograżają się i wysysają, jak lepka i błotnista woda... Tutejszy rozum rozpuścił mnie w sobie, dając w zamian słodki, uspokajający i trujący sen... Sen i nic więcej. Tylko sen... Cóż to? Niewola? Czy mimo wszystko regeneracja? Już nie mam siły stać się człowiekiem. Mógłby mi pomóc być dla nich... A kim będę potem? Człowiekiem? Czy szarym odcieniem nieznanego czegoś...? Kogoś? Niewolnikiem? Zdobycą? Złotem? Złotem? Kłatką, karmiacą jego mózg...? Maczką, czy okiem...? O, znowu słowo, rada, rozkaz...!

— Ty sprzeciwiasz się i jest mi trudno. Ostabiłem... Twój statek spalił mi połowę ciała. Znalazłem siły, żeby zregenerować się, ale teraz ty mi wiele zabierasz. Moje ciało nie jest najważniejsze. Chce ci pomóc i robię to. Twoja myśl — wątpliwość szkodzi nam obu. Bardziej szkodzi sobie... W mojej pamięci jest wiele światów. Opowiadania o nich przynosi mi mój przyjaciel. Chce, żeby on był i twoim przyjacielem, nie wiem tylko, kiedy znowu przyjdzie...

Byli i inni, z którymi znajdowałem wspólny język, ale ty jesteś pierwszym, który rani mnie wątpliwościami, niewiarą. Wątpię w dobro moją wadę, kiedy przed tobą jest konkretna zła, konkretny wróg. I wtedy dobiegam do ciebie tylko śmierć wroga lub zagłada zła...! Twoje wątpliwości — to krok do kłamstwa. Nie zapominać — jesteśmy teraz jednym bólem, naszym wspólnym życiem jest przeżyć. Mój i twój ból złączył się razem, żeby uratować się radość. Mogę przywrócić cię do poprzedniego stanu, zabierając życie już ci dane. I mnie zrobi się źle. Ale wtedy ty zginiesz. A ja dokonam zdrady...

Ciemna fala strachu wezbrała. Pozostał jeden krzyk — rozpaczliwy, niemy, straszny...

— Poczekaj, nie zostawiaj mi! Tracę rozum, zapominam siebie! Zapominam wszystko!

— Twoje uczucia są czasowe, ty musisz takim być. Inaczej twój mózg burzy się i zginie. I wszystkie moje wysiłki pójdą na marne...

— Nie jesteś człowiekiem, ale powiedz, kim jesteś? Nie jesteś człowiekiem, ale myślisz po ludzku! Tak nie może być. Odpowiedz mi...!

— Nam nie wolno wchodzić w cudze myśli, tracimy czas. Ale odpowiem ci i być może sobie tym też pomogę... Tak, ja nie myślę po ludzku. Ale ty sam chciałeś, żebyśmy myśleli jednakowo, w jednym biorytmie...! Gdzieś tam, w twojej pamięci, mignęła niejasna idea... fraza... obraz... o tym, że ludzie nigdy nie będą mogli zrozumieć siebie, sensu swojego istnienia i, że to może pojąć inny rozum. Pomagam ci i możliwe, że tym samym próbuję zrozumieć cię...

Chcesz jeszcze wiedzieć... Tak, nas jest wielu na tej planecie i my nie jesteśmy ludźmi. W twoich pojęciach istnieje słowo „naród”. Jako naród jesteśmy jedyni i inni również, tak jak i ja, mogą cię zrozumieć, twoje myśli, słowa, symbole. Gdybyś był nawet człowiekiem pierwotnym, jakiego pokazała twoja pamięć, to i wtedy mógłbyś porozumieć się z tobą. My żyjemy tym, co ty nazywasz Dobrem. Dobrem i Jednością. Dla ISTOT ROZUMNYCH to jest właśnie sprawiedliwość...!

W historii twojej planety było wiele strasznego, złego i niesprawiedliwego. Ale, na przykład, w uszytych, przeżył. To znaczy zwyciężyło. Dobro, zwyciężyła sprawiedliwość. Pomogłem ci i według ciebie postąpiłem sprawiedliwie. Odpowiedz mi tym samym, a zrozumieję się nawzajem. Zadowolony wątpliwość! Zadowolony wątpliwość o tym, co jest Dobrem i Rozumem. Nigdzie i

nigdy! Inaczej wszystko i zawsze będzie niepotrzebne... To wszystko, jestem gotów... Spój, to nam obu pomoże...

Szary omrok napłynął i tajał, ledwo wyczuwalne światło ściemniało się, ciemniało. Iles tam trwała noc, znowu przyszedł świt, po czym znowu wszystko skryło się w czarnym chłdzie... I tak było długo, bardzo długo... I nagle...!

Słońce wysunęło się, wiaterek ukuł lekkim dreszczem. Zbudził rześkość i zupełnie przegnał ospałość i resztki snu. Położył stół oświetlonego słońcem zielonego wzgórza. W dole rzeczka. A przecież prawie jak na Ziemi...! Oto i ostatki mojego „orzyszka” — dosłownie jak gdyby ktoś specjalnie ogroził powykręcany metal ładownika niewysoką grządką krzaków... Zapewne zaraz pojawi się robot poszukiwacz... Czy też śladzie drugi ładownik? Oto znowu odpowiedź z boku. Tak, słyszę: statek wyładował o sto kilometrów na południe. Tak, pójdę na południe...

— Nie mogę odejść nie pozegnawszy się. Gdzie jesteś? Pokaż się chociaż. Twoje myśli przyjmują jak swoje własne, jak znajomy i przyjemny głos przyjaciela. Na pewno wróce do ciebie.

— Wiem, że wrócisz...

— Chcę mówić z tobą.

— Ciekawe jak wszystko się pomieszało. Czuję, że obok jest ktoś żywy i niezrozumiały dla ciebie, jeszcze niezrozumiały. A myślimy jednakowo...

— No to gdzie jesteś?

— Wejść na wierzchołek wzgórza.

Biegłem na górę...! Cóż to? Co to takiego? Sen czy rzeczywistość...? Tak, to rzeczywistość, tak jak i to, że stoję na wzgórzu w swoim roboczym kombinie.

Na rozpostartym do horyzontu zielonym polu, dotykając czubkiem do nieba, wznosi się, nie poddający się kleskom i czasowi, potężny dąb... Coś się przemieszcza, zamigło... Szeroka rzeka, na brzeg której wyszli ludzie, wielu ludzi! Śmieją się i wyciągają do siebie ręce... I od razu jakby z urwiska — glebia, niekończąca się glebia kosmosu...! Z niezmienną ciżmą, tkającą, bardzo dalekiej dzieciństwa, rozbrzmiała pieśń pieszczotliwa, delikatna... Te pieśń kładęś matka śpiewała zamiast kołysanki...

„Środkiem doliny...”

— Gdzie jesteś?

— Wszędzie jestem. Wszędzie.

Teraz i w tobie też...!

Tłumaczenie:

ALICJA

MURYNOWICZ

Kronika

USTALONA została kalendarz europejskich konwencji science-fiction na najbliższe lata. W roku przyszłym gospodarzem Euroconu będzie Brighton w Wielkiej Brytanii. W roku 1985 — Moskwa, a w 1986 — Zagrzeb.

Miasta te będą też podejmować uczestników World SF: Brighton w 1984 roku, Moskwa — w 1985, a Zagrzeb — w 1988.

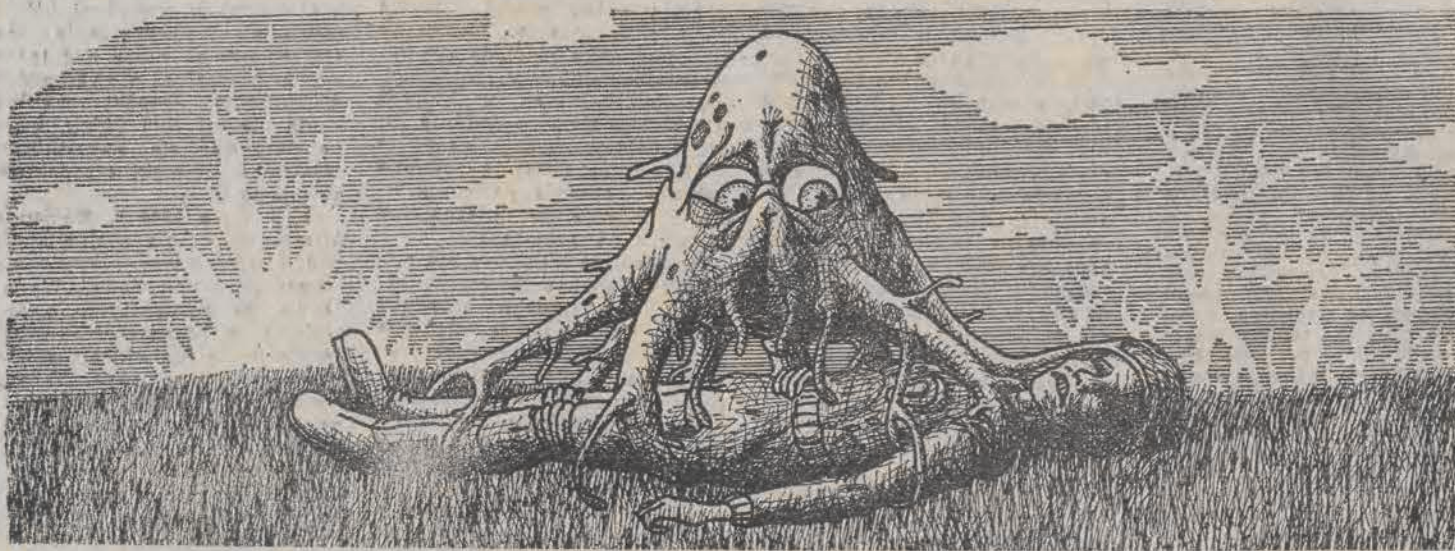
W roku 1983 Eurocon organizuje Jugosławia. Polskie Stowarzyszenie Miłośników Fantastyki, które już od pięciu miesięcy jako Polish Science Fiction Association jest członkiem Europejskiego Stowarzyszenia Science Fiction, reprezentować będzie Tadeusz Markowski.

NASTAPIŁA zmiana siedziby Rady Głównego Polskiego Stowarzyszenia Miłośników Fantastyki. Mieści się ono obecnie w Warszawie przy ul. Żwirki i Wigury nr 30. Korespondencję należy nadsyłać pod adresem: RG PSMF, 00-973 Warszawa, ul. Żwirki i Wigury 30, skrytka pocztowa 77. Telefon 25-73-39.

W nowej siedzibie RG PSMF czynny jest w czwartki od godz. 17 klub SFera. Można tam dyskutować, poczytać nowości, a także w każdy ostatni czwartek miesiąca kupić lub sprzedać książkę na giełdzie.

Stalymi bywalcami SFerki są między innymi: Krzysztof Boruń, Adam Wiśniewski-Snare, Janusz A. Zajdel.

Zrozumieć i pomóc



Rys. Andrzej Biedrzycki

stęjsza noc minęła spokojnie. Jakby to było dobrze, żeby i dalej nikt nie przeszkadzał w słodkim rozleniwieniu... Tak, tak będzie codziennie rano... Tak będzie cała wieczność. Jak to dobrze żyć wiecznie, tak dobrze codziennie budzić się pierwszym i witac poranek. I zawsze cieszyć się ciepłem i światłem. A za dziesięć nocy będzie deszcz i nasycę swoje pragnienie. Wykapie ciało w ciepłym deszczu... Przyleci wiatr i owionie mnie rześkim strumieniem powietrza... Już czas... Co to? Ono też na mnie! Pali się! Nie, to nie jest przyjaciel. Przyjaciel tak nie przychodzi. Przyjaciel nigdy nie zadawał mi bólu. Boli mnie, boli... nie mam dokąd uciec, wokół skała... Boli mnie!”

„Czy latarnia awaryjna zdążyła się włączyć, czy nie...? Chociaż teraz to już nieważne. Mózg cały pracuje normalnie, a ciało... Hm... dziwna sprawa, nic nie czuję. I trawa wokół jakaś wysoka, nic nie widzę. Niepotrzebnie wyszedłem z ładowiska, z powrotem już nie dopadnę. Interesujące, jak ja się wydostałem? Ręce i nogi polamane... Czyżby wyrzucił mnie wybuch? Gdzieś w kieszeni na kolanie jest apteczka... nie mogę jej dosięgnąć... Jedyna pociecha — to powietrze, przyjemne, smaczne. Pełzał też nie najgorszy. Trawa zielona — jak! drogi i przyjemny kolor. Leżą niby spokojnie, a w głowie kręci się. Czyżby zaczęło się trzęsienie ziemi? Strefa tutaj odporna na działania sejsmiczne... mimo wszystko czuję plecami słabe wstrząsy...”

„Pułapka! Jestem w pułapce! Z jednej strony skała, a z drugiej — ogień! I jakiś dziwny zapach — wszystko jest obce, nieprzyjemne. Ukląć się i przejechać! Może ogień zniszczy, nieprzyjemne zapachy znikną i wtedy... Nie, zostanę tu. Ogień słabnie i już mi jest lepiej. Już można odwrócić uwagę...”

„O! Obok jest coś żywego, ktoś się rusza. I wydaje niezrozumiałe dźwięki. Zaraz się nastrój, zaraz... Tak, żywe. A jakie maleńkie, zupełnie jak mały kawałek biomasy. I ile w nim bólu, jakie ono cierpi! Czuję w takim maleńkim kawałku mogło być tyle bólu! Ono jeszcze oddycha, jeszcze żyje, nie poddaje się... Zarzykuje. Ogień zupełnie zgasł i nie jest straszny. Już jest jasno... Tylko spojrzeć...”

„U! Ciemno w oczach. Trochę naprężyłem szyję i czuję się, jakbym górze kamieni przesunął. Jak! poranek! Szkoda, ptaki nie śpiewają. Byłoby zupełnie jak na Ziemi. Domy nad Wólgą. I wiatr taki zimny. Zamknąć oczy i... już jesteś z dziadkiem w łódce. A łódka su-

mo! radacy są najdoskonalsi z żywych. Ja nigdy i nikomu nie czynięm zła... On przecież przyjmuje świat tak jak i ja. A jaki ma maleńki mózg! Tak mało go ma, że nie potrafi zrozumieć własnego istnienia. W takim razie, jakie siły przyniosły go tutaj...? Mój przyjaciel przychodził inaczej. Oni nie spadali z nieba...”

„A jednak to nie pień. Jakiego zwierzę, miejscowy kret czy co? Czarno-bura pokręcone ciało... Zapewne część ciała, białe szparki, jak wąskie oczy. Może on jest jak góra lodowa? Czubek na powierzchni, a pod spodem gmaszysko na dwadzieścia pięter...? A przecież cieszysz się mną. Czyżby najpierw obwąchiwał mnie zanim zreze? Dziwnie wrażenie, jestem jakby na wskroś przezroczysty. Hipnotyzuje! No, tego to ja się nie boję. Mogę się zmusić i zupełnie wyłączyć. Tak, nie jest to zupełnie przyjemne, kiedy nagle zaczyna cię żreć nieznanne stworzenie, a ty nie możesz się ruszyć. Prawda, na psychotreningach nie takie rzeczy polykaliśmy... A teraz mnie ktoś polknie...! Anegdota jak z czarnego, przecznego humoru...”

„Jaką on ma bogatą pamięć! I jak chytrze stara się ją ukryć...”

„A to bydlę, już się przyniema! Głupszy śmiereć nie wymyślił. Potem powiedzą, że zginął, jak bohater. I jakiś pomnik wymyśli postawia. A to zwierzę jest bardzo interesujące. Pokażę je potem, czy nie? Czyżby ich tu całe stado pod ziemią się pasło...? No właśnie, zaczęły się przedśmiertne halucynacje. Czyżby przegryzł mi głowę? Kto jesteś? Tego tylko brakowało! Krowożerca i rozmowny tyranozaur zaraz opowie mi przedśmiertną bajkę... Poczekaj! A niby dlaczego to on...? A nie ono? — przecież przemówiło do mnie po rosyjsku... przemówiło, a przecież naprawdę przemówiło. Może przypomnieli sobie perskie bajki i jak śliczna dziewczyna przeciągnęła trochę czas. A co? Spróbuj... Tylko z kim ja mam rozmawiać? Z tym głazem, garbem? Hm, wesołutki rozmówca nieznanego rodzaju, wieku i wzrostu...”

— Ktoś ty...? Czekam na odpowiedź.

— Ach tak...! Kim jestem? Jestem człowiekiem...

— A co to takiego człowiek? System? Obraz? Kompleks? Czy też jesteś zlepkiem biomasy i energii?

— Jestem gościem na tej planecie. A z kim rozmawiam?

— Widzisz mnie. Jestem garbem... grzybem... papórkiem... Ty mnie tak widzisz. A teraz chcesz, żebym był drzewem. A

tkwią jeszcze atawistyczne instynkty. Nieznane rodzi strach i agresywność. Lecz większość z nas potrafi utrzymać kontrolę nad swoimi uczuciami.

— Jak to? Interesujący świat! A dlaczego to wasz rozum nie pozwolił wam wybrnąć się tych przesądów...? Czy pytanie jest zrozumiałe? Czy się jasno wyraziłem?

— W zupełności.

— To dlaczego nie odpowiadasz?

— Po to, żeby to wyjaśnić, trzeba znać całą historię ludzkości. A ja nie jestem specjalistą w tej dziedzinie. Mogę przypomnieć sobie tylko najważniejsze rzeczy i to też nie wszystkie.

— Pomogę ci.

„Ledwie udało mi się zaciąć o jakieś smutne, nieświadome wspomnienie, a zrobiło mi się źle. Otworzyłem oczy i ból, niczym tysiącnożywy gwałt walił się na mnie. Lecz jakby czyjaś obca wola zmusiła mnie, abym powrócił do wspomnień. Dosłownie tyk żywej wody...! Czyżby autochton pomógł? Czy też mnie samemu udało się...? Nie, sam bym nie dał rady... Co dalej? Program szkolny z historii. Od czego zacząć? No, chociażby... I otworzyła się stubarwna panorama. Ile zieleni i światła! Glebia jezior pije glebie nieba...! A ono jest takie nieobjęte i dobre, jakie bywa tylko na Ziemi... Czym załudnić Ziemię? Wypuścić gigantyczne straszdyra ery mezozoicznej? Nie, lepiej tak... Oto na słonecznej polanie siedzi goły, owłosiony człowieczek. Dopiero co rozłupał płaski kamień i otrzymał dwie cienkie, wyszczerbione połowki, które mogą się przydać... A oto i całe plemię grzeje się przy ognisku. Wokół lodowce i śnieg. Lecz ludzi ratuje nie tylko ogień, oni są już ubrani. I całym plemieniem polują na mamuta. Szare migotanie niezrozumiałych napisów... No, jeszcze dalej, dalej... stop! Dech zatykało, kiedy widziałem to po raz pierwszy; niewolnicy taszcza wielotonowe głazy, wyżej i wyżej. Budują piramidy. Piękny, nieładzi trud! Kaprys faraona, nie więcej. I pomnik całej kulturze na tyśniece...”

Burzą się piękne pałace — gnie Kartagina... Zadziewająco piękny statek płynie po morzu, w jego wnętrzu znajdują się dzwiczące pod dotknięciem amfory... Rzymskie legiony

Polemiki • Listy • Opinie

„RUFĄ DO ORKIESTRY”

Tygodnik „Odgłosy” w nr 29 zamieścił artykuł pt. „Rufa do orkiestry” uatrakcyjniając prezentowany tekst hasłem — „Filharmonia kontra Wydział Kultury UML”.

Rozumiem, że „ogórki” w pełni. Trudniej zrozumieć, dlaczego Wydział Kultury i Sztuki Urzędu Miasta Łodzi użył został w charakterze wabiącego czytelników potwora z Loch Ness. Czy polityka kulturalna — to bulwersowanie opinii społecznej tworzeniem sztucznych i nie mających miejsca konfliktów między środowiskiem artystycznym a administracją? Na dodatek w samym artykule o Wydziale Kultury UML ani słowa. Proszę powyższego nie rozumieć na zasadzie „to nie ja, to kolega”. Wydział nasz czuje się odpowiedzialny za całokształt życia kulturalnego Łodzi, niezależnie od faktu, kto jest organizatorem poszczególnych imprez. Nie musimy przekonywać, ile problemów, generalnych i jednostkowych niesie ze sobą to poczucie odpowiedzialności. A także o tym, że ich rozwiązanie nie jest proste, ani nie przynosi natychmiastowych efektów.

Zamieszczony w „Odgłosach” artykuł dotyczy sprawy niezwykle ważnej. Sprawy generalnego problemu działalności artystycznej w okresie letnim w miejscach rekreacyjnych. Zdajemy sobie sprawę z luk istniejących w tym miejscu. Jej zapewnienie wymaga czasu, przełamania stereotypów myślowych powołanych do prowadzenia takiej działalności instytucji i stowarzyszeń. I nad tą sprawą będziemy czuwać, starając się budzić inicjatywy i egzekwować efekty.

Nieodłącznie z powyższym łączy się jednak sprawa miejsc prezentacji — a więc tzw. bazy. Systematycznie dewastowanej i pozbawionej nadzoru. I tu, podejmując oczywiście własne działania, potrzebujemy sojuszników. Myślę, że znajdziemy ich także w redakcji „Odgłosów”. Gospodarze terenów (a to już nie resort kultury), na których znajdują się muzeum i estrady, muszą czuć się odpowiedzialni za powierzchnie im mienie. Zanim w muzeum koncertowej zagrają artyści z Filharmonii, powinien w niej znaleźć się dozorca. Efekt będzie ze społecznego punktu widzenia nie tylko lepszy merytorycznie, ale znacznie bardziej ekonomiczny od okazjonalnych kapitalnych remontów tych obiektów.

W nawiązaniu do meritum artykułu J. Wronskiej, Informujemy, że prezydent miasta zobowiązał Wojewódzki Zarząd Gospodarki Komunalnej do rozwiązania sprawy zabezpieczenia terenu muzeum w parku im. Poniatowskiego, a Wydział Kultury i Sztuki UML uzyskał zapewnienie naczelnika Dzielnicy Łódź-Śródmieście o podjęciu działań na rzecz zapewnienia warunków do kontynuowania działalności kulturalnej na tym terenie.

URSZULA RACZKOWSKA-REITER
zastępca dyrektora
Wydziału Kultury i Sztuki UML

KONCERT, KTÓRY SIĘ NIE ODBYŁ...

Serdecznie dziękujemy za zainteresowanie się sprawą koncertu plenerowego Orkiestry Symfonicznej PFL, który nie odbył się ze względu na brud, bałagan i dewastację muzeum koncertowej w parku im. Poniatowskiego. Odwołując ten koncert mieliśmy na względzie zasygnalizowanie opinii publicznej problemu niszczenia w naszym mieście niefinansowych obiektów kultury, które ze względu na brak konserwacji i dozoru po prostu rozpadały się, a przecież kilkanaście lat temu włożono w ich budowę pracę, zapal wielu ludzi i spore pieniądze. Dlatego też wydaje nam się, że nie czas w tej chwili na śledztwo i szukanie winnego odwołania koncertu, a po prostu trzeba zakasać rękawy i ratować to, co jeszcze pozostało. To oczywiście apel pod adresem instytucji odpowiedzialnej za stan muzeum i innych obiektów znajdujących się w parkach łódzkich. Taki był generalny powód, dla którego zdecydowaliśmy się mówić otwarcie, o tych sprawach zarówno w TV, jak i z dziennikarką Waszego poczytnego tygodnika.

Jakież było nasze zdziwienie, kiedy z artykułu w „Odgłosach” z dnia 16.VII.83 r., a ściślej mówiąc z tytułu, jakim został opatrzone, dowiedzieliśmy się, że Filharmonia występuje przeciwko Wydziałowi Kultury UML. Nie wiem skąd wzięło się to stwierdzenie, ale na pewno nie miało ono swego źródła w rozmowie, jaką na ten temat przeprowadziliśmy z Jolantą Wronską. Wręcz przeciwnie, zawsze mogliśmy liczyć na pomoc naszej jednostki nadzornej, zarówno merytoryczną, finansową, jak i koncepcyjną. Dzięki takiej właśnie współpracy, nacechowanej serdecznością i wzajemnym zrozumieniem, Filharmonia Łódzka stała się placówką, zaliczaną przez znawców do grona najlepszych w Polsce.

Jeszcze raz dziękując za zainteresowanie się tym tak ważnym dla społeczeństwa naszym miastem tematem.

Przesyłamy wyrazy szacunku
KAZIMIERZ MIKOŁAJCZAK
Państwowa Filharmonia w Łodzi

SPRZECIW W SPRAWIE „ŻÓŁTEGO KUBKA”

W numerze 26 „Odgłosów” z 25 czerwca 1983 r. Eugeniusz Łaski w artykule „ŻÓŁTY KUBEK” przedstawił, jako „haracz” placę prostopadłą do ulicy, którą w portierze Hotelu „Centrum” aby móc w towarzystwie gości hotelowych przebywać na terenie obiektu. Zdaniem E. Łaskiego praktyka taka stosowana jest we wszystkich hotelach Przedsiębiorstwa Turystycznego „Łódź”.

Przytoczony artykuł poświęcony został przede wszystkim łapownictwu pracowników recepcji i portierów, niemniej jednak podważa się w nim prawidłowość funkcjonowania komórki kontroli gospodarczej przedsiębiorstwa.

E. Łaski, opierając się na fragmentach akt sądowych z toczącej się sprawy karnej i dodając swój własny komentarz, przedstawił obraz pracy Przedsiębiorstwa Turystycznego „Łódź” w sposób daleko odbiegający od rzeczywistości. W efekcie artykuł zawiera wiele nieścisłości zarówno w przedstawieniu faktów, jak i ich interpretacji.

Uważając za konieczne sprostowanie przedstawionego w „krzywym zwierciadle” obrazu funkcjonowania przedsiębiorstwa, pragnę poinformować:

1. E. Łaski, nie zadając sobie trudu sprawdzenia faktów, połączył sprawę łapówek ze sprawą braku kontroli gospodarczej w przedsiębiorstwie.

Przedmiotem procesu karnego było — jedynie łapownictwo recepcjonistów i portierów Hotelu „Centrum”, a nie zabór mienia na rzecz przedsiębiorstwa. Faktem niezaprzeczalnym jest, że to właśnie w wyniku przeprowadzonej przez przedsiębiorstwo kontroli gospodarczej w grudniu 1980 r., stwierdzono znaczny nadbór spowodowany przez dwóch materialnie odpowiedzialnych pracowników recepcji Hotelu „Centrum”. W takim wypadku, zgodnie z obowiązującymi przepisami, informuje się organ ścigania, co też uczyniono pismem do Prokuratury Dzielnicy Łódź-Polesie 5 stycznia 1981 r. Wszczęto dochodzenie i przy okazji natrafiono na przestępstwo łapownictwa.

Jednocześnie praca recepcji Hotelu „Centrum” była przedmiotem kontroli przeprowadzonej przez Wydział Finansowy Urzędu Miasta Łodzi. Sporządzone protokoły kontroli nie zawierały żadnych założeń pokontrolnych i w pełni potwierdziły tylko nasze poprzednie ustalenia. Tak więc fakt ten potwierdza, że kontrola gospodarcza przedsiębiorstwa prawidłowo wykonywała i wykonuje swoje obowiązki, ale nie mogła mieć żadnego wpływu na stwierdzone w trakcie dochodzenia zjawisko łapownictwa.

Łapownictwo, będące przestępstwem, jest jednocześnie zjawiskiem i jako takie nie może wynikać z prawidłowo czy nieprawidłowo wykonywanej pracy, prawidłowo czy pobieżnie dokonywanej kontroli. Ponadto jest trudne do uchwycenia. Nie oznacza to jednak, że jest ono dla nas objęte. Dochodząc wysoki stopień jego spo-

lecznej szkodliwości, w stosunku do pracowników Hotelu „Centrum” objętych aktem oskarżenia wyciągnięto już właściwe konsekwencje.

2. Wydany przez E. Łaskiego jednoznaczny „wyrok”, ustalający winę nie tylko recepcjonistów i portierów Hotelu „Centrum”, ale i obu tych grup zawodowych zatrudnionych w innych hotelach, jest daleko szkodliwy ze społecznego punktu widzenia. Przesądzenie o „winie” w sytuacji, gdy toczy się proces sądowy, braku prawomocnego wyroku, świadczy o szkodliwości prasy w wychowywaniu obywateli we właściwej kulturze prawnej. Generalizowanie sprawy na tle konkretnego procesu karnego i wydawanie „wyroku” za łapownictwo również wobec osób nie objętych aktem oskarżenia, jest nie tylko przekroczeniem etyki zawodowej dziennikarza, ale godzi ponadto w godność wielu uczciwie pracujących recepcjonistów i portierów, zatrudnionych w innych hotelach, a także i w Hotelu „Centrum” (nie wszyscy pracownicy recepcji i portierzy tego hotelu byli objęci aktem oskarżenia), budząc ich słuszny sprzeciw i rozgorzczenie.

3. Efektem osłabieniem przez artykuł jest zaobserwowana sytuacja polegająca na tym, że „sympatyczne, niewinne i harujące na wszystkich panienki”, które korzystały, korzystają i będą korzystać z hoteli, zachowują się obecnie jak osoby nietykane. Na każdą zwróconą uwagę reagują natychmiastową odpowiedzią w postaci: — Spróbujcie się na nas poskarżyć, to pójdziemy do prokuratora i oskarżymy was o łapownictwo!

Chyba nie to było celem artykułu?

4. Przedstawione w artykule fakty odnośnie uruchomienia hoteli „Centrum” i „Światów” również mają się z prawdą. Hotel „Centrum” został oddany do użytku 18 sierpnia 1976 r., a nie jak podano 18 lipca. Ponadto Hotel „Światów” nie mógł być „szkołą” dla Hotelu „Centrum” — z uwagi na to, że oddany został do eksploatacji — dopiero w maju 1977 r. Skoro tak elementarne fakty nie zostały sprawdzone, może zachodziło podejrzenie, że cały artykuł jest luźnym komentarzem opartym na nie sprawdzonych faktach.

Przedstawiając powyższe, Przedsiębiorstwo Turystyczne „Łódź” uważa, że opublikowany artykuł stanowił rażącą niegodność z rzeczywistością. Prosimy uprzejmie o wyjaśnienie przyczyn dopuszczenia do opublikowania artykułu, zawierającego poważne zarzuty w stosunku do dużej części pracowników przedsiębiorstwa i oczekujemy na sprostowanie zawierające rzetelną informację w tym przedmiocie.

mgr KAZIMIERZ MADALIŃSKI
dyrektor PT „Łódź”

UMOWA O... WIAZUJE OBIE DRYN

W nawiązaniu do krytycznego felietonu Jana Kuleszy zamieszczonego w „Odgłosach” z 21 maja 1983 r. przesyłamy kilka informacji dotyczących zagadnień w nim poruszonych.

Rzeczywiście przedstawiona w liście sytuacja w zakresie wywozu nieczystości stałych ma miejsce. Trudno jednak za ten stan rzeczy całkowicie obciążać Miejskie Przedsiębiorstwo Oczyszczania, gdyż nasze działania przebiegały w ściśle określonych warunkach. Ostatnio bardzo niekorzystnych z uwagi na trudności zaopatrzenia oraz braku w zatrudnieniu. Mimo to staraliśmy się ze swych obowiązków wywiązywać w sposób prawidłowy, co niestety nie zawsze się udało.

Niewątpliwie wiele niezadowolona wśród naszych zleceniodawców spowodowane jest niewłaściwym wykonywaniem obowiązków przez pracowników MPO. Dotyczy to głównie wystawiania pojemników, ich wstawiania oraz podmiatania miejsc zaśnieżonych podczas ich opróżniania, jak również zabierania śmieci luzem składowanych na skutek opóźnień w wywozach. W stosunku do winnych zaniedbań wyciągane są konsekwencje służbowe z potrąceniem lub pozbawieniem premii włącznie. Występuje więc sytuacja zmniejszania zarobków pracownikom, co sugeruje autor artykułu.

Wiadomym jest jednak, że samo karanie jest metodą najprostsza, lecz nie zatawiająca sprawy. Dlatego prowadzimy również rozmowy z pracownikami pouczające i przypominające o obowiązkach na nich spoczywających. Nasze pouczenia nie przynoszą wszakże oczekiwanych skutków, co wynika z dużej rotacji zatrudnienia oraz mentalności osób wykonujących tę pracę. Dajemy mimo to, w sposób ciągły, do niwelowania tego zjawiska. Dla oddania pełnej jasności sprawy pozostawiamy pojemniki oraz innych zaniedbań w zakresie wywozu, należy również podać następujące przyczyny takiego stanu rzeczy:

— brak odpowiednich dróg transportowych pojemników i ich miejsc ustawienia pod kątem bhp.

— brak dostępu do posesji, jako że znaczna ilość właścicieli posesji woli, aby obcy nie poruszał się po ich terenie, nie zawsze są w domu i sami wystawiają, i wstawiają pojemniki.

— pozostawione pojemniki uszkodzone, które podlegają wymianie nie powinny być zapalniane, gdyż bryzgały wymieniane są nie ma możliwości zabierania pojemników pełnych.

— niedostateczna ilość ludzi i sprzętu mocno już wyeksploatowanego sprawia, że pojedyncze samochody obsługujące rejon są mocno przeciążone, a wymagane jest od nich maksymalna wydajność. Stąd też pewna niechęć pracowników do podmiatania miejsc załadunku pojemników, gdyż często doprowadziły by to mogło do braku czasu na wykonanie zleconej pracy.

Podane powyżej przyczyny istniejącej sytuacji w zakresie wywozu stanowią pewne jej uświadczanie, lecz nie mogą i nie są dla nas parawanem, który mógłby nas zwolnić z przyjętych na siebie obowiązków. Mówiąc o obowiązkach nie należy zapominać, że pewna ich część spoczywa również na naszych zleceniodawcach i też nie ma powodów, które by mogły ich z nich zwolnić.

Tak więc sztywno trzymając się treści umowy winniśmy zaniechać wywozu z bardzo wielu posesji na skutek nie przestrzegania ustaleń umowy, która, jak autor artykułu pisze, obowiązuje na równi obywatela i urząd lub przedsiębiorstwo.

Dla przykładu chcemy podać fakt, że niemal wszyscy właściciele posesji prywatnych wykorzystują pojemniki do ładowania nie tylko odpadów bytowych, ale także ziemi, gruzu, szlaku itp., a więc tego co jest zabronione. Stąd też i przesypanie się pojemników, gdyż przy wstawieniu pojemników na posesję nie uwzględnia się tych dodatkowych ilości odpadów, jako że sprzęt typowy do takich celów nie jest przeznaczony. Mimo to, nie odstępujemy od umowy i dlatego prosimy o większą niecierpliwość również dla nas i dla warunków, w jakich pracujemy.

Na zakończenie jeszcze kilka słów odnośnie lotnych kontroli, o które autor artykułu postuluje. Otóż przedsiębiorstwo nasze do przeprowadzania kontroli pracy sprzętu i ludzi w terenie zatrudnia 6 osób. Kontrola objęta są działalnością eksploatacyjną: oczyszczania ulic, wywozu nieczystości, pracy szaleatów oraz wyłuski i wysypisk. Wykorzystywane są do tego celu samochody służbowe w ilości 1—2 szt. Na ogólną ilość ok. 200 szt. sprzętu pracującego w mieście nie jest to relacja zadowalająca, lecz na jej poprawę aktualnie nas nie stać zarówno jako przedsiębiorstwo oraz w skali gospodarki krajowej. Mimo to wystarcza to na codzienne kontrole wielu pojazdów oraz innych obiektów. O skuteczności tych kontroli świadczy wypływające nieprawidłowości, które stanowią podstawę wyciągnięcia wniosków bądź organizacyjnych, bądź służbowych w stosunku do osób nieprawidłowo wykonujących swoje obowiązki.

Dużą część czasu przeznaczoną na kontrolę wykorzystuje się na sprawdzanie zasadności zgłaszanych reklamacji, które w 40 proc. nie mają pokrycia. Chcąc podnieść skuteczność i zakres kontroli należałoby zaopatrzyć o rzetelniejsze zgłaszanie reklamacji, które w wielu przypadkach wynikają z winy zleceniodawców.

Uwaga ostatnia dotycząca krytyki treści umowy. Nie twierdzimy, że nie posiada ona pewnych braków, lecz chyba dla wszystkich jest oczywiste, że każdy zainteresowany jej mocą prawną ma dwie możliwości: podpisać się pod nią jeśli zgadza się z jej treścią lub niepodpisać i ewentualnie zgłoszenia do nas swoich zastrzeżeń.

WOJCIECH PODCZASKI
zastępca dyrektora
MPO w Łodzi

AGNIESZKA SZUKA MATKI

Otrzymałam list od p. Leokadii Nowackiewicz z Tczewa. Sprawa jest nietypowa, trudna i skomplikowana. Leokadia Nowackiewicz obejrzała w TV audycję i doszła do wniosku, że kobieta poszukująca córki jest jej matką. Zwraca się więc do wszystkich z prośbą, aby pomogli jej znaleźć kobietę, która szuka swej córki Agnieszki. Audycja ta nadana była we wrześniu 1982 r. Oto istotne fragmenty tego listu.

Nie znam imion moich rodziców ani też mojego rodzowego nazwiska. Widziałam tę audycję. Wiek mojej Matki określiam na około 65—66 lat. Matka moja jest do mnie zdumiewająco podobna. Przytaczam słowa, które wtedy powiedziała:

„Poszukuję mojej córki. Zaginała mi we wrześniu 1939 r. Miałam wtedy 3 lata. Uciekałam z Siedlca. (?) Chciałabym się przedostać do Łomży. Nie pamiętam nazwy tej miejscowości, ale wiem, że było to gdzieś w woj. kieleckim. Szukałam jej wszędzie, nigdzie jej nie znalazłam. Szukałam jej już 43 lata. Jestem pewna, że moja córka żyje. Nie mam już nikogo więcej na świecie. Jestem już stara i chora, i moja córka jest mi bardzo potrzebna. Może ktoś wie coś o niej, napiszcie. To była moja jedyna córka. Na imię miała Agnieszka”.

Plakała przy tym tak bardzo, że nie mogła mówić. A ja? Ja wtedy naprawdę jeszcze nie wiedziałam, że jej słowa, jej błagalny apel jest skierowany przede wszystkim do mnie. Nie poznałam własnej Matki. Potem, kiedy uporządkowałam całą biografię, gdy byłam pewna, że to moja Matka omal serce mi z żalu nie pękło. Pisałam do Telewizji list za listem. Telefonowałam. Nie otrzymałam żadnej odpowiedzi. Trzykrotnie byłam w Radiokomitecie. W tym dwa razy tylko pod bramą. Jeden raz udało mi się rozmawiać z redaktorem, który w 1982 r. prowadził audycję pt. „Świadkowie”. Pan ten powiedział mi, że nie przypomniał sobie takiej sprawy. Pojechałam do Łomży. Byłam tam dwukrotnie. Szukałam mojej Matki poprzez tamtejszą prasę, parafie, rozgłoszenie radiową w Białymstoku. W USC w Łomży nie znalazłam zapisu metrykalnego o imieniu Agnieszka z 1936 r. Po ukazaniu się art. w „Kontaktach” pt. „Agnieszka szuka Matki” zaofiarowała mi swoją pomoc red. Małgorzata Mokrzycka z „Expressu Wieczornego”. Artykuł ukazał się 1.04.83 r. Nosił tytuł „Życie wydarzeń pamięci”. Niestety, gazeta ta nie dotarła do mojej Matki. Zdziwiła mnie jednak to, że nie dotarła do redaktora, który był autorem tej audycji. Opłaniał mi była cała moja biografia. Dom, z którego uciekałam, o soboty które jechały ze mną na wozie. Podawałam miejsce mojego zaginięcia, przyczynę itp. Podawałam powód, dla którego przywłaszczili mi obcy ludzie.

Na imię miałam Agnieszka. Miałam włosy jasne jak len i niebieskie oczy. Miałam na sobie sweter koloru szarego. Ucieczki nie zapomniałam nigdy. W pobliżu Buska uciekałam dosłownie pod gradem niemieckich kul. Nazw wóz był przy końcu kolumny. Uciekałam z szosą „Wiślicka”, a potem raptownie skręciłam w lewo. Konie podziły wtedy co sił w kopytach. Na zakręcie omal nie wypadłam. Na wozie spała moja Matka i być może babcia. Kobieta powoziła mój dziadek lub ojciec. Miał wazy, włosy jasne lub siwe. Jego ubranie: koszula i spodnie były prawie jednakowego koloru — wyblakła zieleń lub bardzo jasny beż. Za wsią Zbludowice koło Buska-Zdroju wozu na chwilę zatrzymały się. Polami w kierunku lasu biegło niezliczone mnóstwo ludzi. Był niesamowity krzyk i panika. Ktoś krzychał, że droga jest zatrasowana. Mężczyzna, który powoził naszymi koniami pozwolił mi na chwilę zejść z wozu, przykazał mi jednak: „tylko nie odchódź od wozu”. Chciałam wejść na wóz z przodu, ale było to za wysoko. Próbowaliśmy wejść po kole, ale bałam się, że konie ruszą i może wkręcić nogę w koło. Kobieta, która spała na wozie, nie budziłam. Patrzyłam na ten biegący tłum ludzi. Tył naszego wozu był wypełniony jakimś tobolem. W tej

Warszawie nie zauważyłam kiedy nasz wóz odjechał. Ktoś krzyknął do mnie „zejdź z drogi”. Stałam przed koniami wozu, który stał za naszym wozem.

Do wsi, którą poprzednio mineliśmy przyprowadziły mnie jakieś dzieci. Z początku spałam u nich w sieni na słomce. Potem w sąsiednim domu zmarła dziewczynka o imieniu Kryśka. Była młodsza ode mnie. Bawiliam się z nią cały dzień. Zmarła w nocy na dyfteryt. Dziewczynka ta miała ogoloną główkę, chodziła cały czas w chusteczce na głowie. Po jej śmierci, jej rodzice zabrali mnie do siebie. Matka Krysi zmieniła mi pierwszego dnia imię z Agnieszki na Alusię. Ogoilił mi włosy.

Moja Matka wróciła, szukała mnie, chodziła od domu do domu i pytała. Za pierwszym razem ukryto mnie za stołową właściciela budynku. Za drugim razem opiekunka moja ukryła mnie pod stołem, który szczególnie przylegał do parapetu okna. Wyszyła na podwórzu i rozmawiała z kobietą, przed którą mnie ukryła. Za każdym razem jakaś usłużna kobieta ostrzegała ją słowami: „ta kobieta jest we wsi i szuka swojego dziecka”. Poszukiwano i ukrywano mnie niemal do końca wojny. Pośpiesznie zmienili mieszkanie. Jeszcze meble nie były wyniesione, a już mnie wyprowadzono poza zabudowania do drogi.

Po wojnie wyjechali na Ziemie Odzyskane. Mnie zabrali ze sobą. Nie posiadałam metryki aż do dnia 22.05.1939 r. Wyrobił mi ją opiekun na podstawie zeznań świadków. Ich kuzynka Barbara Nowackiewicz była zastępcą kierownika USC w Busku.

Naukę rozpoczęłam w szkole podstawowej w 1947 r. Zapisu dokonano podając dane ustnie. Kazano mi powiedzieć, że mam na imię Leokadia. Rok wcześniej leżałam chora w A.M. Gdańsku, gdzie jeszcze figurowałam jako Alicja. Miałam malarię. Przywieziona przez moją opiekunka metryka zawierała dwa imiona: Leokadia — Krystyna. Opiekunowie moi zafalili przede mną fakt, że nie są moimi rodzicami. Przed wyrobieniem mojej metryki USC w Busku przysłał mi metrykę zmarłej Krystyny ur. w styczniu lub w lutym 1938 r. Teraz, kiedy prosiliam o przyślanie metryki, to okazało się, że Krystyna nie figuruje w aktach USC w Busku. Podano mi w wyjaśnieniu, że przed wojną magistrat nie prowadził aktów urodzeń. Wiem od moich opiekunów, że Krystyna nie była ochrzczona. Nie figuruje nawet w aktach parafialnych. ZBoWiD w Busku poinformował mnie, że Niemcy wkroczyli do Buska 9.09.1939 r.

Zwróciłam się do Komendanta MO w Busku z prośbą o przeprowadzenie wywiadu środowiskowego we wsi Zbludowice. Nie byłam tam od 1945 r. Wywiad potwierdza zaginięcie podczas ucieczki we wrześniu 1939 r. dziecka oraz że Matka i Rodzina bardzo długo poszukiwali zaginionej. Szukali w całej okolicy. Powróciła cała rodzina. Zatrzymali się przez kilka dni u pani Tekli Pałka.

Tyle list. Czy Leokadia Nowackiewicz jest rzeczywiście poszukiwana Agnieszka? Czy trzyletnia dziewczynka może tyle pamiętać? Czy wszystkie podane okoliczności są prawdziwe? Mimo tych wątpliwości publikujemy ten list. Może ktoś pomoże rozwiązać jej zagadkę?

Oto adres Leokadii Nowackiewicz:

Al. Zwycięstwa 19/74
83-110 TCZEWA.

ODGŁOSY 13

Skandal w Łdzaniu

Dokończenie ze str. 1

Samochodami, autobusami, rowerami i na piechotę ciągnęły golasy — jeszcze w tekstyliach, na swą „pierwszą” plażę. Tam się obnażały zgodnie ze statutem, opalały, grywały w piłeczkę. Nie tylko, jak się okazało w dalszym ciągu relacji. Idylla trwała jednak krótko, jedną bodaj niedzielę, bo już następnej zdrowa moralnie część obywateli rolników popędziła golasów ze swoich pastwisk nad Grabią. Jak wiesz, wsią, takiej Sodomie i Gomory jeszcze tu nie było. I nie będzie.

Z łódzkiego Manhattanu, obrzydliwego dla naturystów betonowego wytworu cywilizacji, jest równo trzydzieści kilometrów. W Dobroniu trzeba skręcić w lewo, jeszcze trzy, cztery kilometry — i wiesz Łdzan. Czterdzieści kilka numerów, w pobliżu czysciuteńka Grabia, nad nią leży i pastwiska, koło miły kompleks stawów, hodowlanych i „na wędkarstwo”, admistrystrowanych przez koło z Pabianic. Stare i młode lasy. Od lat więc tak w Łdzaniu, jak i sąsiednich Talarach czy Baryczy powstawały domki letniskowe, budki i baraczki pod nazwą „dacz”. Kolorowa, druciana siatka grodziła lasy, nieużytki. W Łdzaniu jest takich działek blisko sześćset. I miejscowi, do których często-gęsto rodziny całe na letniaki przybywają, w zgodzie i symbiozie z posiadaczami działek i ich gośćmi żyli całe lata. Dopóki nie zaczęła się inwazja golasów, nie zrobił się wstyd i obraza boska, a zbrodniecy nie zaczęli gonić dzieci.

Pierwszą ekspedycję poprowadziła gospodyni Stacherowa. Tablice wytyczające plażę, na których stało co i kto, oraz „prosimy o niefotografowanie”, polamała i wygrużyła do rzeki. Ekspedycje powtarzały się falami, chłopcy i ich kobiety stanowczo sprzeciwiali się demoralizacji, i raczej nie byli w tych kwestiach skłonni do dialogu, jak Polacy z Polakami. Tak, że trzeciej niedzieli, 17 lipca 1983 r., żadnego golasu na pastwiskach nad Grabią już się nie usłyszało. Co prawda dwóch wysiadło z autobusu na przystanku przed domem soltysa i się o plażę golasów wypytowało, ale soltys, człek jeszcze młody i stanowczy, zawrócił ich, błądzących, z niemoralnej drogi metodą łagodnej perswazji.

I tak skończył się nader krótki żywot „pierwszej w tym rejonie Polskiej plaży naturystycznej”. Biedne, szukanowane i przepędzane golasy podniosły larum słowami swego prezesa Wiesława Niedzielskiego, w wywiadzie udzielonym W. Uchmanowi w „Expressie Ilustrowanym” z dn. 15—17 lipca 1983 r. Warto zrelacjonować pokrótce niektóre wypowiedzi, jako że w krzywym zwierciadle przedstawiają one i fakty, i mieszkańcy Łdzania, obrazując rzekomą krzywdę około setki golasów.

Otóż prezes stwierdza tamże, że ludzie w Łdzaniu z nieklamną sympatią przed kilku tygodniami powitali propozycję zorganizowania na ich terenie pierwszej etc. plaży naturystów, a potem tak ich coś odmieniło, że samo pojawienie się golasów stało się wręcz niebezpieczne. Ze wsi plażę nie widzą, a kto chciał podglądać, musiał się fatygować specjalnie przez trudny odcinek drogi. Na stwierdzenie wywiadowcy W. Uchmana, że ludzie protestowali mimo posiadania pisemnej zgody naczelnika, ustnej „stosownych organizacji” i władz, a także milicji, prezes rzekł: „opowiada znany nam już przebieg przeodeńcia golasów. Stwierdza, że interweniował u soltysa, który grzecznie go przyjął i obiecał przekonać oraz uspokoić włóścił. Ale gdy 10 lipca był ponownie u soltysa, „ku memu zaskoczeniu jakby ich ktoś odmienił”. Rzekomo grożono pobiciem, a nawet samosądem ze strony miejscowych, jeżeli golasy się nie wyniosą. Co było robić — kontynuuje prezes — pierwsza etc. plaża przestała istnieć — oraz prosi o opublikowanie ostrzeżenia, aby dla własnego bezpieczeństwa członkowie towarzystwa więcej do Łdzania nie jeździli.

W Dobroniu w lewo, jeszcze trochę jazdy waskim i nierównym asfaltem, i wiesz Łdzan. Obywatel soltys Strzelec Wiesław swą syrenkę skończył w cień przestawiać, ręce obtarł i siedliśmy w obejściu. Zimnym, kwaśnym mlekiem poczęstował i mówić zaczął, nie bojąc się magnetofonu, bo w słusznej sprawie mówił. A za plecami, na schodach i w obejściu zaczęły się gromadzić kobiety, z rodziny i sąsiadki, miastowe i miejscowe, młode i już stateczne, a także dzieci, mające opowiedzieć, jak ich zbrodniecy gonili. A tak zawzięcie gonili, że mały Michałek nawet skarpetki nad rzeką zostawił, jak uciekał. A soltys pośmiewisko wsi, zeoszczenie mieszkańców i wpuszczenie wszystkich w maliny opowiadał.

JAK TO BYŁO NAPRAWDĘ...

— Nikt na to zgody nie wyraził na wsi... No, i wie pan, tu jest bardzo dużo letników, którzy sobie nie życzą tego. Normalni ludzie są z jednej strony rzeki, a te golasy wchodziły sobie z drugiej, nie patrząc czy to matka z matymi dziećmi, czy kto — to ci ludzie, co są na letnisku, uciekają, bo nie życzą sobie, żeby dzieci na to patrzyły...

Tak, widok, proszę pana, jak był w zeszłą niedzielę. Ojciec niósł takie małe dziecko na ręce, może z rok miało, a taki chłopczek, może miał cztery lata, za fajfusa go trzyma i do rzeki prowadzi... Panie, no taki widok, koniec świata.

W pierwszej niedzielę to ich było może koło setki, w drugą to już mniej, a dziś tylko dwóch się pytało.

Przypominają się słowa prezesa od nagusów ze wspomnianego wywiadu, że część „tekstylnych” (takim protekcyjnym mianem określają naturystów „normalnych” plażowiczów) stanęła w naszej obronie, że przecież nikomu nie przeszkadzamy. A teraz soltys inny obrazek rysuje. On tu władza, na jego wyjść powinno, ale... Przecież oni pisma mieli, zezwolenia?

— Zaraz to panu wytłumaczę. Naczelnik gminy Dobron mógł im takie pismo wydać, ale niech naczelnik da im teren. Komendant mi-

Nagusy na pastwisku

licji podpisał, ale też terenu nie dał... Ja wiem, że naczelnik nie chciał podpisać, ale poszli do sekretarza partii, Pawlaczyka, i on im podpisał... No, i jak sekretarz podpisał, to naczelnik już musiał wyrazić zgodę. I oni tutaj wtargnęli siłą, po prostu siłą chcieli wejść, żeby to się przyjęło...

— Panie soltysie — powiadam, żeby urzędową osobę z szacunkiem traktować, a jednocześnie spróbować uporządkować historię o inwazji nagusów na Łdzan, bo za wiele rzeczy się nie zgadza — panie soltysie, ale tu tyle lat letnicy, działki, domki, to i chyba wiesz się do miastowych dziwactw przyzwyczaila?

— Tu nie ma golasów — stanowczo odpowiada soltys Strzelec. — Na działkach, żeby tak chodzili... Podobnież właśnie od nagusów jeden tutaj na letnisko jest, i może on ich sprowadził... Pan mówi, że oni mieli zgodę ode mnie? Ja się z tym nie spotykałem, proszę pana. Jak on tu przyjechał, ten prezes, to mówił, że oni są naturysty, a ja zrozumiałem, że maturzysty. To mi się tak skojarzyło, że maturzysty, i myślę, jeżeli są ludzie, co po skończyli szkoły i chcą sobie zrobić jakiś biwak czy na niedzielę przyjechać, no to niech se będą, normalna sprawa. Nic do tego nie miałem, tylko mówię, uzgodnijcie sobie z rolnikami, bo to jest teren prywatny, jak wam rolnicy wypuszczą, to możecie być. Był ten prezes, taki facet z brodą, myślę, że to jakiś ze szkoły czy — coś... No i wyraziłem zgodę, ale nie wiedziałem, jak oni się będą zachowywać...

Jak widać, między brodatym prezesem a nagusami a soltysiem zaszło nieporozumienie. No, ale zakres panasoltysowych obowiązków nie zmusza do czytania np. Kopalnińskiego...

Kobieta, co była na jej polu te tablice, wzięta, wyrzuciła do rzeki i mówi: zwijajcie się. Nie ustąpił, przyjechali jeszcze na drugą niedzielę. Nikt nikogo nie bił, ani nie. Pośzedłem tam z ludźmi, żeby nagusów przepędzić, to był jeden taki pijany, cholera, facet, ledwo na nogach stał, a jeszcze się odgrażał: soltysa trzeba zmienić, mówi, bo soltys jest nieświadomiony. Gorzka od niego leciała jak od psa. Jakże się nachlał gorzał, człowieku, mówię, to idź spać, a nie będziesz mi się tu jeszcze wyjęczał... Panie, ludzie to byli tak oburzeni, że mówią — jak nie odejdą po dobrowoli, to kię się weźmie i ich wygna...

Córki mam, młode, no do czego to podobna, żeby dziewczynka 10 lat szła oglądać chłopów. I nad rzeką nie puszczałem. Panie, chłopaki takie po 10, 12 lat, to z drugiej strony takie rokity są, to oni w tych rokitach siedzieli i podglądali, jak te kobiety wchodziły do rzeki. No panie, sekretarz gminy jak chce, to niech se weźmie sekretarkę, niech mu osiem godzin na nago po jego biurze chodzi, a nie po moim polu...

Naturalia non sunt turpia — ta maksyma łacińska głosi, że rzeczy (sprawy) przyrodzone nie są obrzydliwe (brzydkie, haniebne, grzeszne). Więc za co soltys i jego ludzie tak nie znoszą nagusów? Wszak ci ustami swego brodatego prezesa złote góry i obustronne korzyści proponują. „Może któraś z gmin lub jakaś konkretna wieś położona nad rzeką i dysponująca położoną na uboczu plażą uświadomi sobie korzyści płynące z urządzenia u siebie pierwszej etc. plaży naturystycznej. Dzięki zlokalizowaniu u siebie plaży wiesz bez trudu be-

dzie mogła zbywać nadwyżki mleka, owoców, czy drobiu — zapala prezes zielone światło dla rolnictwa, wiezi między miastem a wsią zadzierzga. — Wzrosło także zainteresowanie kwaterami prywatnymi. My zaś obiecujemy wszechstronną pomoc, również w pracach polowych, oczywiście już ubrani, tak aby nikogo nie gorszyć... — kokieta prezes od golasów. I jak ich nie lubię?

— Na prywatnym sprzedaniu mleka to się traci — soltys-rolnik nie daje się nabrać. — Bo tak: mamy pasze, mamy węgiel. Nawet drożej się nie opta letnikom sprzedawać, bo tamto tracimy. I ludzie nie dopuszczają, żeby oni tutaj byli. Niech im naczelnik wydzieli jakiś plac, niech się ogrodzą dechami dwumetrowymi, żeby dzieci ich nie oglądały... A tak, to ten brodaty prezes przede mną ukrywał, o co chodzi. Jak przyjechał drugi raz, to mówię, panie, zwijaj pan zagle i zabieraj swoich ludzi, bo jeszcze dostaniecie wnyki. Wiesz jest oburzona, mówię, to zgorzenie ludzi. Ci ludzie co byli nad rzeką, to przychodzili do mnie i oburzeni, mówią: no i jak soltysie, tyle czasu tu był spokoj, człowiek elegancko wypoczywał, a teraz trzeba się kryć z dziećmi po dziurach... Ja nie chcę jego pomocy w polu, i nie chcę, żeby on mi tu nago chodził i zgorzenie miał. A w polu to się robi w tygodniu — pytam, który z nich przyjdzie? Kto w niedzielę w polu pracuje?

Soltysa jeszcze nie trzęsie, jak sobie tego pijanego golas przypomniał, który go chciał stołką pozabawić za „brak kultury”. Taki pijany był, że tylko do złołka — a naturysty ponoć pić nie wolno. I przyznaje łdziańska władza, że już był gotów jednej ulomnej naturystce, co akurat tam była, kulę od nogi zabrać i pijacką nią pomazać. Ale nie zrobił tego.

Rekonstruujemy zajście nad rzeką. Był soltys, a jakże, bo go od obiadu do tej sodomy zawołali, że nagusy nad rzeką latają, a mieli być maturzysty. Poszli właściciele gruntów, cała piątka, między nimi Stacherowa, która tablice (na nich jeszcze pisało, że naturysty „zapraszają”) do rzeki wyrzuciła, i Jan Socha, rolnik, z którym też prezes pertraktował. Prezes cwany, ale Socha niezgorzeły, zamiarkował co i jak — i zgody nie dał. Inni też — a to grunty prywatne, pastwiska, więc w prawie byli nagusów ze swego przepędzić. Ale ci się na chamską pchał, mówi soltys i milknie, jeszcze to coś niesłychanego w sobie przetrawić musi i do władzy ma żal, że mu takie coś podrzuciła do sodomy wsi.

SODOMA I GOMORA NAD GRABIĄ

Soltys milknie, ale w obejściu już kobiet pełno. I co urzędowej osobie nie przystoi, one w trosce o własną cnotę i niewinność działek szybko dopowiadają, a groza bije od tych słów, że ach!

— Zgroza patrzeć, siedzieć nad wodą, łapać ryby. Wyszli z wody, ze rzeki, i włożyli jedno na drugie i się rympolą. No zgroza, i to na otwartym terenie, i tylko tabliczki, że to jest ich teren, że zapraszają, żeby nie fotografować. A kto ich tam będzie fotografował, co to za sprawa zobaczyć faceta w kapeluszu, z olbrzymim bruchem, na golasu...

— W ostatnią niedzielę to było dużo chach-

metów, i starszych też, nawet po sześćdziesiątce. Potem zostali i stawiali się, co my takiego robimy, że się rozbiegamy... przecież to jest natura...

— Ja tu z dziećmi przyjeżdżam piątą rok, ale czegoś takiego jeszcze nie było. Auta wprowadzi do lasu, a tego nie wolno robić, żeby się nie poniszczyły. Ja dzieciom zabroniłam chodzić nad rzekę, bo się zdarzało w ciągu tygodnia — nie wiadomo, czy to naturysta, czy zbrodniec, to aż tu na łękę za dziećmi przybiegł — kobiecie głos drży z przejęcia, więcej w nim strachu o dzieci niż oburzenia. — Ciepło było, poszły się popłukać. A ci ich gonia, prawie pod obejście... wszystkie rzeczy nad wodą pozostawiali...

— Jak będą ci, to będą to też wykorzystywać zbrodniecy, taką sytuację. I nie daj Boże coś się zdarzy, to co mi po milicji? Co ja mam opowiadać jeszcze, jak taki nagus był ubrany, po czym go poznać, ja mam milicji drogi prostopadłe?

— Dzieci poszły nad rzekę, to wróciły z takimi opowieściami... Myśmy poszły, ale się wróciłyśmy, bo na co patrzeć? W piękę grają, latają, biegają, pośród normalnych ludzi. A ludzie się sami od nich odsuwali... Tu też taki jeden przyszedł, pyta gdzie ta plaża, bo chciał popatrzyć. Dopiero go mąż pogonił, bo albo pan do nich należysz, albo kibicować przyszedłeś... Dolepić się chciał...

— Niech państwo im tak da, żeby nie było ani włości, ani wczasowiczów. I spokoj żeby był, a nie tak jak ten pijany — to panie, potłamsz takie było, i soltysa trzeba zmienić, wrzeszczą, bo kultury nie ma... A on ma kulturę z gołym tyłkiem chodząc? — soltys nie może darować, no, po prostu nie może.

— Śmieją się już z naszej wsi. Do mnie towarzystwo przyjechało i śmiech o tę plażę. A tu ruch na drodze, stale ktoś pyta, gdzie to? Tu żaden gospodarz nie wyrazi zgody, bo tu każdy żyje po sąsiedztwie i każdy ma dzieci... Taka przyjemna była miejscowość, cicha, spokojna. To dla zwykłych ludzi powinno być, dla nas, no bo nie pojedziemy nie wiadomo gdzie. Jak ktoś chce wypocząć — proszę bardzo. Też mam teren za rzeką, to już nawet krów tam nie ganiam, niech sobie latem namiotami stoją, jak nie mają gdzie...

— Ale uczucie, uczucie. Co, już taki kryzys jest, że na ten szepek do majątek ich nie stać. Po co tak na nagusa, przy tych dzieciach. One sobie opowiadają potem, jak Monika, jak ten pan miał brzuch i jakiego siusiała, albo o tym garbatym w kapeluszu, co miał jąsla do kolan...

— Jak chcą już być tacy naturalni, niech sobie idą do lasu, korzonkami żyją, listkami, korą z drzew, to jest natura. A nie — samochód, kolorowy telewizor, kurdemol, a z gołym tyłkiem chodząc koło rzeki...

— Im się teraz dużo czasu poświęca, plażę się o nich, bo ludzie się wtedy zajmują gołą dupą. Jak się naród zdeprawowany, to jest nie jedność, i nie z takiego narodu nie ma. A jeszcze wypisują, że my jesteśmy nienowocześni, że kultury nie mamy. Już pretensje, jak jedna naguska: ja jeszcze się dobrze nie zdążyłam rozebrać, a już nas przeganicają... Ja też ze wsi wychodzę, mówię, jeszcze się nie rozebrałam, już gonicie... To ja mówię, jak pani ze wsi pochodzi, niech pani idzie matce krowy paść, bo może matka staruszką się przewraca, a nie ma jej kto pomóc, tam iść, zamiast tu goły tyłek opalać...

— Nikt im nie broni, ale niech nie pokazują się po prostu ludzimi. I jeszcze oni są tak różni „urody”, i grubasy, i garbaci... Jeden pan nad rzeką się ucieszył, jak poszliśmy ich przepędzić, bo mówi — ja lubię gołe babki, popatrzeć, ale — jedna, za to dobra. A tu są makabryczne...

— Pierwsze początki, to jak ja pamiętam, jak się gdzieś pojawił jakiś nagus, to milicja jeździła, szukała, bo to był wampir. A dzisiaj, cholera, to ten nasz rząd zezwolenia im daje — to znowu soltys Strzelec, który choć sam władza, to posunięć wyższej władzy pojąć nie może. I na próżno go uspokajam, i kobiety także, że towarzystwo golasów jest jeszcze nie zarejestrowane, nieprawne.

— Jak dzieciaki przyjeżdżają i mówią o nagusach, to nikt nie chciał wierzyć. W tamtą niedzielę to połowa wsi nie wiedziała... A jeszcze oni namawiali chłopaszków, co byli w namiotach: rozbierajcie się, bo to natura... nie krępujcie się. No to chłopaki namiot zwinęli i odjeżdżali.

Mówi najmłodsza ofiara nagusów, chłopczyk, może sześciolatek — zeznał, i nie miał nic przy sobie... Gonił, gonił, że musieliśmy — i ta dziecko spłoszone na samo wspomnienie tej grozy ucieka.

HECA CZY PROBLEM?

No i teraz jest tak — wiesz Łdzan nagusów sobie nie życzy, zrzeszonych, czy też nie. Tak mieszkańcy, jak soltys, posiadacze działek i „niedzielnicy”. Pretensje są o: wprowadzenie w błąd wiejskiej władzy przez brodatego prezesa golasów, o zajęcie bezprawnie gruntów i pastwisk pięciu tutejszych gospodarzy, bez ich zgody, o gorszenie wszystkich, pijaństwa i gonitwy. Obawy są o: atakowanie dzieci i kobiet przez zbrodnieców, kręcących się wokół „legalnych” nagusów, o dalsze gorszenie. Ze słów wzburzonych kobiet licznie przybyłych do obejścia soltysa, z wypowiedzi jego samego żal przebiega o rzecz nie określoną do końca: o ośmieszenie wsi przed okolicą, że to na Sodomę i Gomorę u siebie pozwala.

Kanikuła, moda na potwory i golasów. Byłoby to obrazek obyczajowy jakich wiele było i sporo jeszcze pewno będzie dopokąd lekceważeni „tekstylni” nie zarejestrują towarzystwa naturystów, nie przydzielą im plaż i terenów z dala od innych, podatnych na gorszenie. Ot, takie golasy daleko od szosy. Byłby, gdyby nie rzeczywiste zagrożenia, zagrożenie dewiantów towarzyszących zbiorowości nagusów. A to już problem, któremu ani oni, ani „tekstylni” nie zaradzą.

MAREK TRUSZKOWSKI

NR 31 (1322) XXVI 30 LIPCA 1983 R.



Relacja nauczycielki z Hamburga Heike Lebeck

„Nie pluj na mnie”

Nauczycielka jest świadkiem tego, jak jeden z jej pierwszoklasistów wymyśla małej koleżance szkolnej, posługując się słownictwem najbardziej pligawym. Spokojnym, uprzejmym tonem prosi tego ordynusa do siebie, tak, jak ją uczono tego nigdy w seminarium i co odpowiada jej normalnemu stylowi.

— Całuj mnie w d... ty stare ścierwo! — wrzeszczy małe. Czy jest to uzasadnione pedagogicznie czy też nie — jest jej to w danym momencie obojętne — nauczycielka wzywa chłopca, aby dzisiaj opuścił szkołę. Ten hałaśliwie wlecieł do drzwi, zamyka je z hukiem za sobą, po to, żeby natychmiast je otworzyć i na ostateczne pożegnanie wrzasnąć potężnie „D...!” wśród ciszy pełnej grozy. Nauczycielka biegnie przez dziedziniec szkolny, aby schwycić zbiegłego małego dzikusa. Jej mali uczniowie, pozostawieni bez nadzoru, wleżą w tym czasie na stoły i ławki. Jeśli coś się stanie, ona ponosi odpowiedzialność.

Jedną z nauczycielek wygania dzieci z korytarzy krzaków. „Stara k...!” rozlega się z bezpiecznej odległości. Nauczycielka wyjaśnia grupie uczniów, dlaczego nie wolno im bez nadzoru wchodzić do pracowni; są tam pily elektryczne. „Stul mordę!” słyszy w odpowiedzi na uprzejme pociągnięcie.

Listę słownych impertynencji można by ciągnąć w nieskończoność i ukazać ich zasięg, jeszcze mniej kwalifikujący się do druku. Czy są one orzeźwiający dowodem tego, że w niemieckich szkołach federalnych nie rosną już obecnie przystosowani obłudnicy? Czy są dowodem tego, że — przeciwnie — większość naszych dzieci i młodzieży opanowała już znakomicie cnoty demokratyczne — zdolność do krytyki i odwagę wypowiadania się bez lęku? Jeśli tak jest, to można by przytoczyć dalsze przykłady równie pomyślnego „wychowania emancypacyjnego”:

— Mogę pisać jak mi się podoba! — w taki sposób ośmiolatek sprzeciwia się próbie wniesienia poprawek przez nauczycielkę.

— Usiądź, kiedy będę chciał — brzmi odpowiedź na łagodnie wypowiedzianą uwagę, że przetrwa się skończyła. — Nie pluj na mnie! — odpowiada uczeń na ostrzeżenie.

CO ROBIA NA LEKCJACH!

Wszyscy chyba wiedzą o tym, że na lekcjach uczniowie jedzą,

piją, robią na drutach, czytają, bawią się, żują gumę i że pod pulpitami niekiedy rozpala się ogień. Uczniowie są też poinformowani o możliwościach ruchomego czasu pracy; są tacy kandydaci, którzy codziennie rano spóźniają się blisko o godzinę, ale za to również wcześniej wychodzą. Spóźnienia nasilają się z natury rzeczy w poniedziałek, po intensywnym oglądaniu telewizji pod koniec tygodnia; dopóki szedł serial „Dallas” dotyczyło również środy.

Chamy klasowe ustąpiły miejsca chamskim klasom, w których niewielu uczniów dobrej woli i „dostosowanych” jest okazami egzotycznymi. Do takich klas mają odwagę wejść już tylko doświadczeni mężczyźni, którzy mają budzące respekt wymiary ciała, potężną skalę głosu albo wiarygodne zainteresowanie muzyką pop. W szkole na jednym z przedmiotów hamburskich nad Łabą rozważa się obecnie podzielenie klasy szkoły zasadniczej licealnej dwanaście osób na dwie! Jeden nauczyciel nie daje już sobie rady z tą klasą!

Coraz więcej kłopotów przysparzają nauczycielom narastająca nerwowość wśród uczniów, kłopoty z koncentracją i nauką, wszelkiego rodzaju zaburzenia w zachowaniu, coraz większy spadek wyników w nauce, grubiańskie i ordynarne zachowanie oraz agresja. Już w szkołach podstawowych każdego dnia biją się, kopią, boksują, plują, szczypią i zadają sobie obrażenia. Na przykład w jednej z hamburskich szkół podstawowych chłopiec dziewczynce swawolnie rozorał gumą gimnastyczną bliznę pooperacyjną na głowie, mimo że nauczycielka szczegółowo poinformowała o stanie zdrowia dziecka oraz prosiła o szczególne względy i ostrożność. Wkrótce po tym w tej samej szkole inne dziecko w podobny sposób zostało przez współuczniwa zranione w głowę. W szkołach zasadniczych jest już od czasu do czasu nóż w robocie...

NIE SĄ TO FIGLE SZTUBAKÓW

Nie tylko w USA i w W. Brytanii, lecz również w RFN coraz częściej są przejawy agresji w szkołach; godzi to coraz częściej w nauczycieli. Czy nauczyciele niemieccy będą musieć, podobnie jak ich koledzy angielscy, zawierać niedługi specjalne ubezpieczenie od ryzyka?

Nauczycielkę szkoły podstawowej trafił w plecy rzucony za nią stołek, inna dostała w twarz od drugoklasisty. Jednej

z nauczycielek szkoły zasadniczej cyrkielec przeleciał obok głowy i wibrując utkwiał w tablicy ściennej, na której właśnie pisała. Z tego powodu wielu nauczycieli używa już tylko zapisu świetlnego, co pozwala im na obserwowanie uczniów; co za kosztowna samoobrona!

Wszystkie opisane tu przykłady wzięte są — przynajmniej to — ze środowiska „społecznie niedostatecznie uprzywilejowanego” — co tak eufemistycznie jest upiękzone w języku socjologów. Niezależnie od tego podobne historie słyszy się ze szkół znajdujących się w „dobrych” okolicach mieszkalnych. Nauczyciele przerywają wcześniejsze lekcje i zdenerwowani opuścują klasę. Całe klasy gimnazjalne zrobiły sobie sport z wyprawowania nauczycieli z wynowagą (obojga płci) subtelnymi metodami tak długo, aż z płaczem uciekają z klasy.

RODZICE NIE MAJĄ NIC PRZECIWKO TEMU

Okropne historie ze szkół niewątpliwie rzadko budzą przerażenie opinii publicznej, współczucie albo nagane ze strony rodziców. Wręcz przeciwnie. Grubiańskie historyjki z życia sztubackiego mają w kręgu przyjaciół, przy stolicu kawiar-nianym i w domu rodzicielskim jak zawsze niezwykły powab anegdotalny. Niejeden ojciec zamienia się i potajemnie odczuwa złośliwą satysfakcję, kiedy jego rozbrzykana latorośl mówi przy stole o puszczalskiej koczce takiej a takiej i przy okazji chętnie sprzedaje takie czy inne własne wspomnienia z lat szczenięcych... Złośliwość społeczeństwa obraca się zawsze przeciwko nauczycielowi. W końcu przecież każdy musi! raz kiedyś minąć lub więcej cierpieć z ich powodu!

Belfer jest po prostu belfrem, nie lubianym przedstawicielem przymusowej instytucji państwowej, w dodatku jeszcze urzędnikiem z niezastępowalnymi przywilejami wyższej kasty! Za to powinien nieco zakosztować czyszczał Status społeczny nauczyciela zajmuje wciąż jeszcze w warstwach wykształconych rangę niższą niż inne zawody akademickie. Dla nauczyciela szkoły średniej żywi się nieco protekcyjne lekceważenie; odczuwało się je już będąc maturzystą w stosunku do kolegi szkolnego, który ledwie się wyzwolił z rygorów sztubackich, zamierzając wygodnie i unikając ryzyka, nie wając w ogóle na nic, do zapewnienia

sobie filisterskiego bezpieczeństwa urzędniczego bytu.

W warstwach „społecznie niższych”, nauczyciel, ze względu na wykształcenie i władzę, ma wciąż jeszcze raczej status osoby cieszącej się szacunkiem i autorytetem, jednakże i tu jego prestiż fatalnie podupada. W stylu swoich latorośli rodzice odnoszą się po chamsku, wymyślają nauczycielom, grożą im i wywierają presję, tak, że nie-rzadko zwracają się oni do kolegów i kierowników szkoły, żeby pośpieszyli z pomocą i byli świadkami.

— Zabiję panią, jeśli mój syn nie przejdzie!

— Wniosek skargę, jeżeli pańska żona nie będzie dłużej przychodzić do szkoły. Moje dziecko ma prawo do nauki!

— Z powodu takich ludzi jak pani, nie będę się denerwował!

W żadnym innym zawodzie nie znajdzie się tylu kompetentnych, spoza fachowców, co w zawodzie nauczycielskim. Laik nie będzie sobie raczej rościć pretensji do tego, że mógłby tak samo dobrze, jeśli nie lepiej, wykonywać prace biurowe, technika dentystycznego, sekretarki albo lekarza. W zawodzie nauczycielskim jest jednak inaczej: każda mama, każdy tata, każdy Kowalski i Wiśniewski, ma w zanadrzu metody i sposoby, wie lepiej, miałby odwagę, nie bałby się stanąć przed klasą, ba: ująć ją w kark! Nauczyciel, który ma trudności w pracy nie nadaje się do niej. Kropka!

SAMOTNOŚĆ NAUCZYCIELA

I ponieważ tak jest, nauczyciel milczy. Kto ma zajęcie na pół dnia i dwanaście tygodni wakacji w roku nie ma powo-

du do narzekania w kręgu znajomych i rodziny!

W gronie nauczycieli tym bardziej chowa się, w miarę możliwości, głowę w piasek i przy kawie z papierosem odsuwa się palące problemy. Ze wstydu, z lęku przed niepowodzeniem i dla samoochrony. Pewnego dnia jednak samoochrona okazuje się samobójstwem. Kiedy jakiś kolega ma dość, zaczyna pić, awanturować się, kiedy ktoś na parę miesięcy trafia do zakładu psychiatrycznego — po tym, jak któregoś dnia załamał się płacząc w pokoju nauczycielskim — pojawia się konsternacja. Rodzi się zazdrość, jeżeli komuś znowu udało się nie wrócić po wakacjach, nie pojawić się znowu w szkole.

Liczba bezrobotnych nauczycieli jest znana. Nie jest natomiast znana liczba pedagogów, którzy ze statusem urzędnika i szansą na awans marzą o innym zawodzie. Ci stawiają sobie codziennie trwożliwe pytanie: jak długo jeszcze wytrzymam? 20 lat, 30 lat? Nigdy, ale co wtedy? Ilość depresji, neuroz, psychoz, ba, nawet samobójstw, jest wśród nauczycieli znacznie wyższa niż w innych grupach zawodowych z wyższym wykształceniem. Stanowi liczbę nieznana, gdyż władze szczególnie dyskretnie odnoszą się, rzecz jasna, do przypadków chorób psychicznych.

Szczególnie złamani i przygnębieni są akurat ci młodzi jeszcze nauczyciele, którzy w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych wnieśli nowy powiew do stęchniałych szkół. To oni swoim liberalnym stylem nauczania, nowoczesnymi metodami i przyjacielskim postępowaniem stworzyli pełną zaufania i odprężoną atmosferę w szkole. Podobno się to uczniom i większości rodziców. Nauczycieli tych ukształtował

polityczny i pedagogiczny ruch reformatorski: równość szans, wychowanie kompensacyjne (a więc pomoc szkoły dla wyrównania zaległości w nauce upośledzonych społecznie), oświata służąca emancypacji, społeczny sens nauki, wychowanie w duchu dojrzałości politycznej — oto hasła ich okresu, burzliwych oczekiwań i nadziei.

REFORMATORZY PONIEŚLI FIASKO

Szok nastąpił natychmiast, ponieważ ogromna była rozbieżność między roszczeniami a realiami codzienności. To co miało być pracą twórczą, zaangażowaną, stało się dla wielu walką z wiatrakami. Liberalny styl nauczania i koleżeński ton były fałszywie rozumiane, nadużywane w celach niewłaściwych i często odpowiedziało na to: były: opryskliwy ton i bezczelny brak dyscypliny, z czego nie można już było się śmiać.

Pobłażliwość spotykała się z lenistwem, zrozumieniem i gotowość rozmów z roszczeniami a magającym gadulstwem, pomoc z obojętnością, uprzejmość z bezczelnością. Pozostał rozpaczyliwy wysięg i tak skąpym czasem nauczania, którego jest coraz mniej ze względu na coraz liczniejsze zakłócenia różnego rodzaju. Często nie starcza go, ażeby przekazać z powodzeniem niezbędne minimum materiału. Ukochane dzieci reformy, społecznie upośledzeni, pozostają coraz bardziej w tyle. Winę za to ponosi także państwo, które kiedyś samo rozpa-lilo umysły, a teraz, wskutek oszczędności, samo zadaje sobie kłam.

(„DIE ZEIT”)



Śmietnisko wydziedziczonych

Zachodniemiecki tygodnik „Der Spiegel”, który ostatnimi czasy sporo uwagi poświęca sprawom oświaty szkolnej w produkujących krajach zachodnich, ocenia w numerze 25 z tego roku sytuację w szkolnictwie Stanów Zjednoczonych, opierając się na niedawnych amerykańskich raportach. Najświeższa z tego rodzaju ekspertyz, z udziałem 18 pedagogów, opracowywana była przez przeszło półtora roku, a jej przedmiot stanowiła „jakość wykształcenia” pobieranego przez ogół amerykańskiej młodzieży. Sytuacja odnosi się do większości spośród 48 milionów uczniów, uczęszczających do 86 tysięcy szkół publicznych, a trzeba wyjaśnić, że prawie wszyscy młodzi Amerykanie w wieku 14-17 lat uczą się w szkołach średnich (high-school), odpowiadających formalnie naszym liceom lub technikom. Ich ukończenie bowiem daje maturę.

Eksperti stwierdzają bez osłonek, że „mierny poziom szkolnictwa publicznego stawia pod znakiem zapytania dalsze perspektywy kraju pod względem militarnym (i) gospodarczym i społecznym”. Komentarz „Spiegla” w związku z tym przypomina, iż od dobrych dwóch dekad lat ta katastrofalna sytuacja dostrzegana jest zarówno przez wielu pedagogów, jak i urzędy oświatowe z terenu.

Co ciekawe, ostatnie próby gruntowniejszej reformy systemu oświatowego podjęto w USA w 1950 roku pod wpływem szoku, jaki przeżył cały kraj w związku z wystrzeleniem radzieckiego satelity. Zaczęto wówczas, przy wydatnej pomocy państwowych środków, zwiększać nacisk na kształcenie w przedmiotach matematycznych i przyrodniczych w całym kraju zaczęto zakładać nowe biblioteki, a także intensywnie dokształcać nauczycieli. Ale kiedy, po paru latach, szok minął, odżył stary bogłód. Państwowe szkoły są nie tyle od tego, żeby przekazywać wie-

dzę, ile przede wszystkim od tego, by uczyć jak w Ameryce żyć”. Toteż znow, jak stwierdza raport:

„prawie we wszystkich stanach odczuwa się gwałtowny brak nauczycieli przedmiotów matematycznych i przyrodniczych”, „wśród 17-latków co ósmy jest praktycznie analfabeta, jeden na pięciu absolwentów potrafi po 12 latach nauki napisać sensowne wypracowanie, co trzech rozwiązać zadanie matematyczne z kilku niewiadomymi, a tylko 60 proc. potrafi właściwie zinterpretować zadany tekst”.

„w międzynarodowych konfrontacjach amerykańscy uczniowie w żadnym spośród 19 testów nie znaleźli się na pierwszym lub drugim miejscu, ale aż 7-krotnie na ostatnim”.

Winę za ten stan rzeczy ponoszą po części, wybierane przez rodziców, lokalne komitety nadzorujące szkolnictwo, wywierają one bowiem nacisk na obniżanie poziomu programu nauczania i ułatwianie warunków egzaminacyjnych według coraz niższych kryteriów. Ale przede wszystkim uczniowie przysługują prawo wyboru grup przedmiotów, które można też opanować „bez liczenia i pisania”. Należą do nich przedmioty zapewniające uzyskanie „dyplomu kierowcy samochodu ciężarowego”. Jeszcze w roku 1969 zaledwie 0,3 proc. uczniów wybierało sobie tego rodzaju maturalny „kierunek”, ale w 1981 roku już 59 proc. W tym samym okresie wzrosło też bardzo zainteresowanie uczniów takimi grupami fakultatywnymi, jak „orczytowanie do małżeństwa i dorosłości” czy też „gotowanie”, a zwłaszcza „sport”. Notuje się natomiast znaczny spadek frekwencji na tzw. kierunkach akademickich, jak: język angielski, historia (pod nazwą „cywilizacji zachodniej”), czy też algebra.

Aby powstrzymać ten niebezpieczny dla państwa trend, komisja proponuje, by w przyszłości wydawać świadectwo ukończe-

nia szkoły średniej tylko tym uczniom, którzy będą mieli poza sobą przynajmniej 4 lata nauki angielskiego, po 3 lata matematyki, biologii i nauki o społeczeństwie oraz półroczne zaznajomienie się z problematyką komputerów. Proponuje się w związku z tym przedłużyć rok szkolny ze 180 do 220 dni, a liczbę godzin szkolnych zwiększyć z 6 do 7 dziennie.

Propozycja reformy obejmuje także przygotowania nauczycieli, którzy, jak się stwierdza, często nie władają należycie angielskim w piśmie. W 20 stanach poddano już nauczycieli próbom nowego testu i okazało się, że na przykład w Kalifornii nie sprostało wymaganiom aż 33 proc. egzaminowanych. Zawód nauczyciela szkół publicznych jest zresztą kiepsko opłacany, a umowę o pracę zawiera się przeciętnie na 10 miesięcy, toteż w pozostałym okresie nauczyciele dorabiają sobie w najtrudniejszy sposób, a ponadto najzdolniejsi od dawna uciekają do przemysłu.

Ta sytuacja spotkała się ostatnio z krytyczną oceną byłego wiceprezidenta Waltera Mondale, który, rozpoczynając kampanię przedwyborczą w partii demokratycznej, skrytykował prezydenta Reagana za to, że „nie dba o kraj, o jego dzieci i ich przyszłość”. Prezydent zresztą zapewnia publicznie: „Pod względem technologicznym jesteśmy nadal światową czołówką”. Na co raport: „Jakoś kosztuje dużo, przeciętność wprowadzić nie od razu, ale za to o wiele więcej!”

Zresztą i Reagan, zorientowawszy się, że sprawy szkolnictwa publicznego mogą stać się przedmiotem przedwyborczej kampanii prezydenckiej, wypowiedział się za „opłacaniem nauczycieli według zasług i kwalifikacji”. Jednocześnie jednak zredukował budżet na oświatę w roku bieżącym do 13,5 miliarda, czyli o 900 milionów dolarów mniej, niż dotychczas. Prezydent zapalał przy tym o... przywrócenie modlitwy w szkołach i obiecał ulgi podatkowe 22 tysiącom szkół prywatnych i wyznaniowych. Do tych szkół właśnie — znakomitych pod względem wyposażenia i poziomu nauczania, i oczywiście drogich — uczęszcza jedynie co 9 młody Amerykanin.

Szkoły publiczne, mające charakter powszechny, stają się coraz bardziej — jak stwierdza raport — „śmietniskiem wydziedziczonych”.

Opracował: J. K.